„Powieść Kitamury łączy w sobie styl książek Elleny Ferrante z napięciem, jakie możemy znaleźć jedynie w najwyższej klasy dreszczowcach". „ELLE"

# ROZSTANIE

POWIEŚĆ

KATIE KITAMURA

# KATIE KITAMURA

# ROZSTANIE

Przełożył
MACIEJ ŚWIERKOCKI

Wydawnictwo Literackie

Copyright © 2017 by Katie Kitamura
All rights reserved
© Copyright for the Polish translation by Maciej Świerkocki
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2018

Tytuł oryginału: "A Separation"

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Jaya Miceli. OPRACOWANIE OKŁADKI NA PODSTAWIE ORYGINAŁU: Marek Pawłowski
REDAKTOR PROWADZĄCY: Anita Kasperek
REDAKCJA: Anna Milewska
KOREKTA: Kamil Bogusiewicz, Ewelina Korostyńska, Anna Rudnicka

**Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.**
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-06691-1

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

# Spis treści

DEDYKACJA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

# PODZIĘKOWANIA

Dla Hariego

# 1.

Zaczęło się od tego, że zadzwoniła do mnie Isabella. Chciała wiedzieć, gdzie jest Christopher, a ja znalazłam się w kłopotliwym położeniu, bo musiałam jej zakomunikować, że nie wiem. Na pewno zabrzmiało to niewiarygodnie. Nie powiedziałam, że Christopher i ja od pół roku nie mieszkamy razem i że nie rozmawiałam z jej synem prawie od miesiąca.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie jestem w stanie jej poinformować, gdzie przebywa Christopher, i zareagowała w sposób dla mnie miażdżący, chociaż nie sprawiała wrażenia całkiem zaskoczonej, co w pewnym sensie tylko pogorszyło sprawę. Poczułam się upokorzona i zmieszana — te dwa doznania zawsze charakteryzowały moje stosunki z Isabellą i Markiem, mimo że Christopher często mi mówił, że ja dokładnie tak samo działam na nich i nie powinnam się silić na zbytnią rezerwę, bo bardzo łatwo można ją odczytać jako formę arogancji.

Czy nie wiem o tym, spytał, że są tacy, którzy uważają mnie za snobkę? Nie wiedziałam. Nasze małżeństwo zostało ukształtowane przez to, co wiedział Christopher, i przez to, czego nie wiedziałam ja. Nie była to wyłącznie kwestia intelektu, chociaż pod tym względem Christopher też miał nade mną przewagę, był bowiem niewątpliwie mądry i inteligentny. Chodziło o to, co zatrzymywał dla siebie, o informacje, do których on miał dostęp, a ja nie. Krótko mówiąc, chodziło o zdrady — niewierność zawsze stawia jednego z partnerów w pozycji osoby, która wie więcej, drugiego zaś skazuje na niewiedzę.

Mimo to zdrada wcale nie była i nie musiała być głównym powodem rozpadu naszego związku. Wszystko działo się powoli, bo nawet kiedy już postanowiliśmy się rozstać, pozostały jeszcze kwestie praktyczne — rozbiórka gmachu małżeństwa nie jest taka prosta. Perspektywa rozwodu wyglądała na tyle zniechęcająco, że przyszło mi do głowy, czy któreś z nas nie zaczyna mieć co do niego wątpliwości i czy gdzieś za całą biurokracją nie kryje się niepewność, schowana w dziesiątkach dokumentów i formularzy dostępnych online, których wypełnienia tak skwapliwie chcieliśmy uniknąć.

Isabella zachowała się więc absolutnie rozsądnie, dzwoniąc do mnie, żeby zapytać, co stało się z Christopherem. Nagrałam mu się trzykrotnie — powiedziała — w jego komórce od razu włącza się poczta, a kiedy zatelefonowałam czwarty raz, sygnał wybierania zabrzmiał jakoś obco, jak gdyby Christopher był za granicą…

Słowo „obco” wypowiedziała ze znaną mi mieszanką podejrzliwości, zdumienia (nie umiała sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego jej jedyny syn chciałby znaleźć się daleko od niej) i urazy. Wtedy przypomniały mi się inne jej słowa i sformułowania, które słyszałam w trakcie naszego małżeństwa: jesteś obca, zawsze trochę taka byłaś; ona jest bardzo sympatyczna, ale inna niż my; właściwie wydaje się nam, że cię nie znamy. A potem, na końcu, to, co Isabella na pewno by powiedziała, gdyby Christopher oświadczył, że między nami koniec: to najlepsze wyjście, kochanie, ostatecznie ona nigdy tak naprawdę nie była jedną z nas.

…Dlatego chciałabym wiedzieć: gdzie jest właściwie mój syn?

Od razu zaczęła mnie łupać głowa. Minął miesiąc, odkąd miałam kontakt z Christopherem. Nasza ostatnia rozmowa odbyła się przez telefon. Powiedział, że chociaż najwyraźniej już się nie pogodzimy, to nie chce uruchamiać procesu — użył tego słowa, wskazującego raczej na ciągłe

i długotrwałe działanie niż na jakiś zdecydowany i pojedynczy akt sprawczy, w czym oczywiście miał rację, rozwód był bowiem sprawą bardziej organiczną i w pewnym sensie bardziej przypadkową, niż to się początkowo wydawało — informowania ludzi o naszym rozstaniu.

Czy moglibyśmy zachować to dla siebie? Wahałam się, chociaż nie dlatego, że nie podzielałam jego stanowiska — w tamtym momencie decyzja wciąż była świeża, więc sądziłam, że Christopher w znacznej mierze myśli tak samo jak ja, że jeszcze nie wiemy, jak opowiedzieć historię naszego rozstania. Nie podobała mi się otaczająca nasze postanowienie aura spisku, wydawało mi się, że nie pasuje do sprawy i jest absurdalna. Mimo wszystko, powiedziałam: tak. Słysząc wahanie w moim głosie, Christopher poprosił, żebym mu to obiecała. Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz, przynajmniej na razie, dopóki nie rozmówimy się raz jeszcze. Zirytowana, wyraziłam zgodę, a potem się rozłączyłam.

Była to nasza ostatnia rozmowa. Upierałam się dalej, że nie wiem, gdzie jest Christopher, a Isabella roześmiała się krótko, zanim rzuciła: Nie opowiadaj głupstw. Rozmawiałam z nim trzy tygodnie temu i powiedział mi, że wyjeżdżacie do Grecji. Nie udaje mi się go złapać, a biorąc pod uwagę, że ty najwyraźniej jesteś na miejscu, w Anglii, mogę jedynie przypuszczać, że wyjechał bez ciebie.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby zareplikować. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Christopher miałby powiedzieć matce, że jedziemy do Grecji, nie wiedziałam nawet, że wybiera się za granicę. Isabella mówiła dalej: Dużo pracował, wiem, że pojechał tam na dokumentację do książki, i…

Zniżyła głos tak bardzo, że prawie jej nie słyszałam; mogło to być autentyczne wahanie albo tylko jego podróbka, bo Isabellę było stać na takie manipulacje.

…Boję się o niego.

Ta deklaracja nie od razu mnie przekonała i nie potraktowałam zatroskania teściowej zbyt poważnie. Isabella uważała, że jej relacje z Christopherem są lepsze, niż były w rzeczywistości, ze strony matki to naturalna omyłka, chociaż czasami prowadziła ją do dziwacznych zachowań. Kiedyś taka sytuacja zapewne wzbudziłaby we mnie poczucie triumfu — jeszcze całkiem niedawno, na przykład rok czy nawet pół roku temu, to, że ta kobieta zwraca się do mnie o pomoc w sprawie swojego syna, mogło coś dla mnie znaczyć.

Teraz słuchałam jej dalszych wywodów raczej z drżeniem serca. Był jakiś nieswój, zadzwoniłam zapytać, czy ty i on — znowu mówiła o nas jak o parze, było jasne, że o niczym nie wie, że Christopher z niczego jej się nie zwierzył — nie mielibyście ochoty przyjechać na wieś, odetchnąć świeżym powietrzem. Wtedy mi powiedział, że wyjeżdżacie do Grecji, że kończysz jakiś przekład, a on będzie zbierał dokumentację do książki. Teraz jednak — tu Isabella wydała krótkie westchnienie zniecierpliwienia — okazuje się, że ty siedzisz w Londynie, a on nie odbiera telefonu.

Nie wiem, gdzie jest Christopher.

Zapadła krótka cisza, zanim moja teściowa znów zaczęła.

Tak czy inaczej, musisz tam natychmiast pojechać i dołączyć do niego. Wiesz, jaką mam dobrą intuicję, jestem pewna, że coś nie gra, to niepodobne do Christophera, że nie oddzwania.

Telefon od Isabelli przyniósł pewne skutki, które nawet dzisiaj wydają mi się niezwykłe. Po pierwsze, posłuchałam teściowej i w całkowicie niejasnym dla mnie celu pojechałam do Grecji, kraju, którego wcale nie miałam ochoty odwiedzić. To prawda, że Christopher okłamał Isabellę, mówiąc, że jedziemy za granicę razem. Jeżeli nie chciał wspominać matce o naszym rozstaniu, łatwo mógłby znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego wyjeżdża sam — że niby ja musiałam pojechać na jakąś konferencję albo

jestem u znajomej, która ma troje dzieci, więc potrzebuje zarówno pomocy, jak i towarzystwa.

Albo mógł powiedzieć jej pół prawdy, przynajmniej trochę, na przykład, że odpoczywamy — od czego i gdzie, mogłaby wtedy zapytać. Nie zrobił jednak nic takiego, może dlatego, że łatwiej było mu skłamać albo kazać matce snuć takie domysły, na jakie miała ochotę — chociaż nieporozumienia post factum Isabella przyjmowała wyjątkowo ciężko. W tym momencie dotarło do mnie, że powinniśmy sformalizować nasze obecne stosunki z Christopherem. Postanowiłam poprosić go o rozwód — pojechać po prostu do Grecji i zrobić to osobiście.

Sądziłam, że będzie to mój ostatni obowiązek jako synowej. Godzinę później Isabella zadzwoniła ponownie, żeby mi powiedzieć, w którym hotelu mieszka Christopher — zastanawiałam się, skąd ma tę informację — i podać numer biletu, który zarezerwowała już dla mnie na samolot, odlatujący następnego dnia. Pod zbędną dekoracyjną maską emocjonalną i sztucznym blaskiem elegancji, pełnej próżności, kryła się nieprzeciętnie operatywna kobieta, która choćby z tego powodu okazała się groźnym przeciwnikiem, kimś, kogo nie bez przyczyny mogłam się obawiać. To już jednak była przeszłość, a walki między nami miały wkrótce ustać.

Mimo to zauważyłam, że Isabella najwyraźniej mi nie ufa — nie byłam żoną, na której można polegać, że zlokalizuje swojego męża, jeśli nie dostarczy się jej biletu lotniczego i adresu hotelu. Być może w reakcji na tę jawną nieufność dotrzymałam obietnicy danej Christopherowi, co stanowiło drugi zdumiewający skutek telefonu Isabelli. Nie powiedziałam jego matce, że się rozstaliśmy i że od pewnego czasu jesteśmy w separacji, choć taka wiadomość byłaby dla mnie wymówką, dzięki której w ogóle nie musiałabym jechać do Grecji.

Żadna matka nie poprosiłaby synowej, żeby wyjechała za granicę zażądać od męża rozwodu. Mogłabym zostać w Londynie i zajmować się swoimi sprawami. Ale nic jej nie powiedziałam i nie zostałam w domu. Gdyby Isabella zdawała sobie sprawę, że kupiła mi bilet na samolot po to, żebym mogła domagać się zakończenia naszego małżeństwa, chyba by mnie zabiła, po prostu zgładziłaby mnie na miejscu. Wcale nie byłoby to niemożliwe. Jak powiedziałam, moja teściowa była nieprzeciętnie operatywną kobietą. Chociaż może oświadczyłaby, że gdyby wiedziała, jak łatwo będzie nas rozdzielić, rozwiązać nasz kontrakt małżeński, kupiłaby mi ten bilet już dawno temu? Zanim się rozłączyła, zdążyła mi zasugerować, żebym zabrała ze sobą kostium kąpielowy. Słyszała, że w tym hotelu jest bardzo ładny basen.

Ulice Aten okazały się zakorkowane — trwał jakiś strajk komunikacji miejskiej. Miasteczko, w którym zatrzymał się Christopher, leżało o pięć godzin jazdy samochodem od greckiej stolicy, na wysuniętym najdalej na południe czubku lądowej części kraju. Na miejscu okazało się, że przyjechała po mnie taksówka: Isabella pomyślała o wszystkim. Zasnęłam w czasie jazdy, która rozpoczęła się w ruchu ulicznym, a potem gładko przeniosła się na szereg ponurych, nijakich autostrad. Byłam zmęczona. Wyglądałam przez okno, ale nie umiałam odczytać napisów na drogowskazach.

Obudził mnie głośny, powtarzający się hałas. Na zewnątrz było ciemno, zapadła noc, kiedy spałam. Wibracje przeszywały cały samochód — pac, pac, pac — a potem ustały. Taksówka jechała bardzo wolno wąską, jednopasmową drogą. Pochyliłam się i zapytałam kierowcę, czy już stajemy, czy mamy jeszcze daleko. Jesteśmy na miejscu, powiedział. Właśnie przyjechaliśmy. Rozlegały się jednak kolejne pacnięcia.

Bezpańskie psy, wyjaśnił kierowca. Wzdłuż samochodu biegły ciemne postacie, psie ogony biły o karoserię. Taksówkarz zatrąbił, żeby spłoszyć zwierzęta — były tak blisko, że wydawało się, iż lada moment potrącimy jedno z nich, chociaż toczyliśmy się ze zwolnioną prędkością — ale nie wystraszyły się i pozostały blisko samochodu, kiedy sunęliśmy drogą w kierunku dużej, kamiennej willi. Kierowca wciąż trąbił, uchylił okno i zaczął krzyczeć na psy.

Portier otworzył bramę. Kiedy samochód w nią wjechał, zwierzęta zrezygnowały. Odwróciłam się do tylnej szyby; stały kręgiem przed bramą, ich oczy lśniły żółto niczym snopy światła reflektorów. Hotel znajdował się nad brzegiem niewielkiej zatoczki i usłyszałam morze, gdy tylko wysiadłam z auta. Przyjechałam z torebką i małą torbą podróżną, portier zapytał, czy mam więcej bagażu, a ja odpowiedziałam, że nie, że spakowałam się na jedną noc, w najgorszym razie na weekend, chociaż nie użyłam tego sformułowania.

Kierowca wspomniał coś o podróży powrotnej; wzięłam jego wizytówkę i powiedziałam, że zadzwonię, może jutro. Skinął głową, a ja zapytałam, czy wraca od razu do Aten, bo jest już bardzo późno. Wzruszył ramionami i wsiadł do wozu.

W recepcji było pusto. Sprawdziłam godzinę — dochodziła jedenasta. Isabella nie zarezerwowała mi pokoju, byłam żoną, która przyjeżdża do męża, więc chyba nie widziała takiej potrzeby. Poprosiłam o pojedynczy pokój na jedną noc. Recepcjonista odparł, że mają dużo wolnych miejsc, i z zaskakującą szczerością oświadczył, że hotel jest prawie pusty. Był koniec września, po sezonie. Niestety, morze jest już za zimne, żeby pływać, dodał, ale hotelowy basen ma bardzo przyjemną temperaturę.

Czekałam, aż skończy spisywać moje dane i poda mi klucz, zanim zapytałam o Christophera.

Czy mam zadzwonić do pokoju tego pana?

Zrobił czujną minę, ręce jednak wciąż trzymał pod blatem, nie poruszył się, żeby podnieść słuchawkę, bo była już przecież noc.

Nie, pokręciłam głową. Spróbuję go złapać rano.

Przytaknął życzliwie. Jego spojrzenie stało się uważniejsze, może widział wiele związków małżeńskich w podobnym stanie rozkładu albo może nic go to nie obchodziło i po prostu miał naturalnie życzliwy wyraz twarzy, która to cecha była niewątpliwie przydatna w jego zawodzie. Nie odezwał się więcej ani słowem na ten temat. Wzięłam klucz, a recepcjonista poinformował mnie, o której jest śniadanie, i nalegał, żeby ponieść mi torbę, kiedy odprowadzał mnie do windy. Dziękuję, odpowiedziałam. Czy będę zamawiać budzenie? Albo poranną gazetę? Gazeta może poczekać. Wszystko może poczekać.

Kiedy się obudziłam, pokój tonął już w słońcu. Sięgnęłam po telefon, nie przyszły do mnie żadne wiadomości, a dochodziła dziewiąta. Zaraz skończą serwować śniadanie, musiałam się pospieszyć. Mimo to stałam pod prysznicem dłużej, niż należało. Do tej chwili — niczego nie widziałam wyraźnie, bo woda zalewała mi oczy — nie zastanawiałam się ani nie wyobrażałam sobie, jak będzie się czuł Christopher i co pomyśli, kiedy mnie zobaczy albo natknie się na mnie w tym hotelu. Przyszło mi do głowy, że jego pierwsza myśl będzie bardzo prosta — uzna, że chcę, aby do mnie wrócił.

Z jakiego innego powodu kobieta pojechałaby za swoim mężem, z którym się poróżniła, do innego kraju, jeśli nie po to, by zakończyć separację? Był to ekstrawagancki gest, a ekstrawaganckie gesty między kobietą i mężczyzną pojmuje się na ogół jako romantyczne, nawet w kontekście nieudanego małżeństwa. Stanę przed nim, a on… Czy ogarnie go niepokój, czy zadrży mu serce, czy pomyśli o tym, czego chcę? Czy

poczuje się osaczony, przestraszy się, że doszło do jakiegoś nieszczęścia, że coś się stało z jego matką, że powinien był do niej oddzwonić?

A może wypełni go nadzieja, pomyśli, że ostatecznie pojednanie było nieuniknione (może to ta nadzieja leżała u źródeł obietnicy, którą ze mnie wyciągnął, i może nawet dzieliłam z nim tę nadzieję, bo w końcu się przecież zgodziłam), i poczuje się rozczarowany, jeszcze bardziej urażony, niż byłby w innym przypadku, moją prośbą o rozwód, którą mimo wszystko zamierzałam mu przedłożyć? Wstydziłam się za siebie i za niego, a głównie za tę całą sytuację. Zakładałam — nie miałam żadnego wcześniejszego doświadczenia, na którym mogłabym się oprzeć — że owszem, prośba o zakończenie małżeństwa wywołuje zapewne konsternację, chociaż trudno było mi uwierzyć, że zawsze to przebiega tak niezręcznie, a miejsce akcji i okoliczności zawsze są tak dwuznaczne.

Na dole, w recepcji, było pusto. Śniadanie podawano na tarasie wychodzącym na morze. Christophera ani widu, ani słychu, w restauracji też nikogo nie zauważyłam. W widocznym z góry miasteczku brakowało cienia i panowała w nim taka cisza, że zdawało się nieruchome — zbieranina domków, stojących wzdłuż kamiennego bulwaru. Z jednej strony zatoczkę ograniczał duży klif, nagi, pozbawiony roślinności i odbijający jasne, białe światło, które padało na wodę, toteż widok z tarasu był zarówno spokojny, jak i groźny. U stóp skały zauważyłam zwęglone krzewy i trawę, jak po niedawnym pożarze.

Wypiłam kawę. Kelner, podając mi filiżankę, powiedział, że ten hotel to jedyne miejsce, gdzie mogę dostać cappuccino i latte, wszędzie indziej mają tylko kawę po grecku albo Nescafé. Okolica była romantyczna — Christopher lubił luksusowe hotele, a luksus i romans to dla pewnej klasy ludzi właściwie synonimy — dlatego zrobiło mi się trochę nieswojo. Wyobraziłam sobie Christophera w tej letniskowej miejscowości rojącej się

od par małżeńskich; w takich hotelach ludzie rezerwowali pokoje na podróże poślubne, na rocznice. Znowu poczułam ukłucie zażenowania, zastanawiałam się, co on tu zmalował, miejsce wydawało mi się absurdalne.

Zatrzymałam kelnera, kiedy przyniósł mi grzanki.

Bardzo tu spokojnie. Jestem ostatnim gościem, który zszedł na śniadanie?

W hotelu nikogo nie ma. Już po sezonie.

Ale przecież muszą być inni turyści.

Pożary — odpowiedział, wzruszając ramionami. — Zniechęciły ludzi do przyjazdu.

Nic nie wiem o żadnych pożarach.

Mieliśmy tu wszędzie pożary lasów. Przez całe lato. Góry stąd do Aten są czarne. Jak pani wyjdzie z miasteczka na spacer, to pani zobaczy, ziemia ciągle jest gorąca od ognia. Pisali o tym w gazetach. Jak świat długi i szeroki. Przez całe lato — udał, że zwalnia migawkę — przyjeżdżali do nas fotoreporterzy.

Wsunął tacę pod ramię i opowiadał dalej. Robili w naszym hotelu zdjęcia dla jakiegoś pisma o modzie. Ogień doszedł aż do klifu, jeszcze widać, że jest poczerniały; proszę spojrzeć. Wskazał pokrytą czarnymi bliznami powierzchnię skały. Ustawiali modelki nad basenem, a za nimi było widać pożar i morze. Zassał powietrze do ust. Wyglądało to bardzo dramatycznie.

Skinęłam głową. Nie odezwałam się już, więc odszedł. W mojej głowie mimo woli pojawił się Christopher na takim planie zdjęciowym, jaki opisał kelner. Było to nieprawdopodobne, ale stał wśród modelek, makijażystek i stylistów z kwaśną miną, jak gdyby nie miał zielonego pojęcia, co robi w tym cyrku. W miejscowym otoczeniu wyglądał jeszcze bardziej obco. Rozejrzałam się niespokojnie po tarasie. Dochodziła dziesiąta, najwyraźniej

musieliśmy się minąć na śniadaniu, zjadł wcześniej, a może wyszedł już z hotelu na cały dzień.

Wstałam i poszłam do recepcji. Mężczyznę, który meldował mnie wczoraj wieczorem, zastąpiła młoda kobieta o pulchnym obliczu; włosy miała ściągnięte do tyłu w sposób niepasujący do jej fizjonomii, ten styl był za surowy w stosunku do łagodnej, pyzatej twarzy. Zapytałam, czy Christopher pojawił się już rano na dole. Zmarszczyła brwi, wyczułam, że nie chce mi odpowiedzieć. Zapytałam, czy mogłaby zadzwonić do jego pokoju. Nie spuszczała ze mnie oczu, gdy wykręcała numer, słuchałam pulsującego sygnału, wyraz jej twarzy poniżej linii fachowo zaczesanych włosów był wyraźnie naburmuszony.

Odłożyła słuchawkę.

Nie ma go w pokoju. Chciałaby pani zostawić jakąś wiadomość?

Muszę z nim pilnie pomówić.

A kim pani jest?

Pytanie było bezceremonialne, prawie wrogie.

Jego żoną.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej i od razu zrozumiałam — Christopher był beztroskim flirciarzem, flirtował bezmyślnie, odruchowo, tak jak ludzie mówią: „cześć”, „dziękuję”, „nie ma za co” albo jak mężczyzna przepuszcza kobietę w drzwiach. Pod tym względem zachowywał się zbyt swobodnie, ryzykował, że rozmieni swój urok na drobne. Gdy już raz dostrzegło się łaty w miejscach, w których kiedyś się przetarł, trudno było ten jego urok zobaczyć w całości — i widzieć za nim człowieka, jeśli zwracało się uwagę na jego niebezpieczną charyzmę. Ludzie jednak na ogół nie krążyli po orbicie Christophera na tyle długo, żeby do tego doszło, większość z nich była taka jak ta młoda dziewczyna; widziałam, że próbuje go bronić, że nadal pozostaje w jego mocy.

„Jego, jego”, jak gdyby należał do niej. Cofnęłam się o krok.

Proszę mu powiedzieć, że szuka go żona.

Skinęła głową.

Jak tylko wróci. To ważna sprawa.

Mruknęła coś pod nosem, kiedy odchodziłam, na pewno mi złorzeczyła. Żonom zawsze się złorzeczy, zwłaszcza w takich sytuacjach.

Chciałabym pójść na spacer.

Podniosła wzrok, nie mogła uwierzyć, że jeszcze tu jestem, czekała, aż sobie pójdę, moja obecność wyraźnie sprawiała jej przykrość. Mimo to jakoś się ociągałam, naprawdę chciałam się przejść, nie wiedziałam jednak, dokąd pójść. Recepcjonistka wytłumaczyła mi, jak znaleźć molo, miasteczko jest małe i na pewno się nie zgubię. Skinęłam głową i wyszłam. Chociaż mieliśmy już wrzesień, było wciąż upalnie i słońce świeciło jasno. Na chwilę prawie mnie oślepiło, pomyślałam, że czuję słaby powiew spalenizny w powietrzu, jak gdyby w okolicy nadal trwały pożary: chwila synestezji.

Prawie od razu, kiedy wyszłam za hotelową bramę, pojawiły się bezpańskie psy. Podeszły do mnie, machając ogonami w sposób, który nie wydał mi się ani przyjazny, ani nieżyczliwy. Lubiłam psy. Kiedyś nawet o mało nie kupiłam sobie doga, ale Christopher się temu sprzeciwił, twierdził, że za dużo podróżujemy, i była to prawda. Wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać najbliższego zwierzaka. Miał rzadką i krótką sierść, tak gładką, że wydawało mi się, że dotykam raczej skóry niż włosów. Jego prawe oko było zmętniałe ślepotą, ale spojrzenie — zarówno inteligentne, jak i melancholijne, a przy tym prawdziwie zwierzęco obojętne.

Pozostałe psy kręciły się koło mnie, chwilami ocierały o moje nogi, ręce i palce, potem odchodziły. Towarzyszyły mi na bulwarze, biegły przodem, a później zataczały koło i wracały powolnym, spiralnym ruchem. Nie

odstępował mnie jedynie ten pies z mętnym okiem. Zbliżało się południe. Woda w zatoce była czysta i błękitna. Powierzchnię zdobiło kilka kropek pojedynczych łodzi.

Gerolimenas to miasteczko rybackie; trafiłam na kilka sklepów — kiosk prasowy, trafikę, aptekę — wszystkie jednak były pozamykane na głucho. Szłam dalej, psy w końcu się rozbiegły, szukałam Christophera pośród rzadko rozsianych ludzi siedzących przed tawerną, większość z nich miała pomarszczone i poorane twarze, mocno ogorzałe od słońca. Nie miały nic wspólnego z gładkim i wypielęgnowanym obliczem Christophera, które natychmiast by z nimi kontrastowało. Podobał się — kobietom, ale i mężczyznom — przez całe życie, więc nie mogło to pozostać bez konsekwencji.

Nie znalazłam go także między ludźmi na bulwarze, wśród próżnujących kobiet i mężczyzn, kilku rybaków. Na niewielkiej plaży było pusto. Stanęłam nad wodą i popatrzyłam na hotel, który w ciągu tych dziesięciu minut, bo tyle zajął mi spacer tutaj, przestał w ogóle pasować do otoczenia. Na terenie hotelu było tak jak w każdym innym podobnym przybytku, luksus w gruncie rzeczy jest wszędzie taki sam, ale kiedy człowiek przekroczył już dobrze strzeżone granice posiadłości, znajdował się w bardzo konkretnym otoczeniu i miejscu, nie było na to rady. Zdawałam sobie sprawę, że tubylcy mnie obserwują — mieli do tego prawo, to ja byłam intruzem — więc opuściłam głowę i wycofałam się z powrotem w stronę hotelu.

Kiedy do niego dotarłam, okazało się, że nie minęła jeszcze nawet godzina. Młoda kobieta z recepcji zniknęła, wrócił natomiast mężczyzna z ubiegłego wieczoru. Podniósł głowę, po czym wysunął się zza lady i szybko do mnie podszedł.

Przepraszam, że przeszkadzam…

Tak?

Koleżanka powiedziała mi, że jest pani żoną pana Wallace’a.

O co chodzi?

Pani mąż miał dzisiaj rano wyjechać. Ale się nie wymeldował.

Spojrzałam na zegarek.

Jest dopiero południe.

Prawdę mówiąc, nie widzieliśmy go od kilku dni. Pojechał na wycieczkę i nie wrócił.

Pokręciłam głową.

Dokąd pojechał?

Wynajął samochód z kierowcą, ale to wszystko, co wiemy. Zapłacił z góry za pokój, powiedział, żebyśmy go dla niego zatrzymali w czasie jego nieobecności.

Przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Potem mężczyzna chrząknął uprzejmie.

Bo widzi pani, musimy wynająć jego pokój.

Słucham?

Goście, którzy go zarezerwowali, przyjeżdżają dzisiaj.

Ale w hotelu jest pusto.

Wzruszył przepraszająco ramionami.

Tak, wiem. Ale goście zachowują się czasem irracjonalnie. Ci chyba będą obchodzić rocznicę ślubu. Ten pokój ma dla nich specjalne znaczenie, mieszkali w nim w trakcie swojego miesiąca miodowego. Przyjeżdżają po południu, więc rozumie pani…

Urwał.

Chcielibyśmy przenieść rzeczy męża do innego pokoju.

To chyba rozsądne.

Albo może powinniśmy je spakować, jeśli pan Wallace zamierza wyjechać dziś z panią?

Nie wiem, jak długo planuje zostać.

Tak, rozumiem.

Zbiera tu dokumentację do książki.

Recepcjonista podniósł ręce, jak gdybym powiedziała coś niepotrzebnego.

Będziemy musieli już zacząć przenosić jego rzeczy. Może zechce mi pani towarzyszyć?

Czekałam, gdy wrócił do lady po klucz. Poszliśmy razem do pokoju Christophera, który mieścił się w przeciwległym skrzydle hotelu, na najwyższym piętrze. Recepcjonista — jak głosił wpięty w klapę marynarki identyfikator, nazywał się Kostas — wyjaśnił, że Christopher zajmował apartament. Roztacza się stamtąd cudowny widok na zatokę, jeślibym postanowiła przedłużyć pobyt, to poleca mi ten pokój z całego serca, będzie go można wynająć, kiedy tylko wyjedzie tamto małżeństwo, a do tej pory może już wróci mój mąż.

Kiedy w końcu dotarliśmy do pokoju, Kostas zapukał w dyskretny, ale mimo to poniekąd stanowczy sposób, typowy dla personelu hotelowego, położył rękę na klamce — przez moment w halucynacyjnej wizji zobaczyłam otwierające się drzwi i stającego przed nami Christophera, zaskoczonego, chociaż nie całkiem niezadowolonego — a potem otworzył pokój swoim kluczem i weszliśmy.

Pomyślałam, że to nie może być apartament mojego męża. Christopher w żadnym wypadku nie był pedantem, ale nie zaliczał się też do flejtuchów i rzadko mieszkał gdziekolwiek, gdzie nie było czysto (nie żeby sam sprzątał, miał ludzi, którzy robili to za niego, panią do sprzątania, przez pewien czas mnie). Tymczasem w tym pokoju, chociaż dużym, z osobnym

salonem i nadzwyczajnym widokiem — Kostas miał rację, apartament był znakomity i z pewnością należał do najdroższych w hotelu — panował kompletny bałagan.

Podłoga usłana była porozrzucanymi częściami garderoby, kompletami ubrań z co najmniej kilku dni, na biurku walały się książki i papiery, przy łóżku leżały: kłąb przewodów elektrycznych, słuchawki, aparat fotograficzny i półprzymknięty laptop Christophera. Szczątki tac hotelowych, dzbanki po kawie i opróżnione do połowy butelki z wodą, nawet talerz pełen okruchów — nie rozumiałam, dlaczego pokojówka nie uprzątnęła przynajmniej brudnych naczyń. Z kolei łóżko stało na środku pokoju nieposłane i pokryte gazetami i notatnikami.

Meble były odkurzone, a podłoga zamieciona, ale wyglądało to właściwie tak, jak gdyby pokojówka sprzątała wokół tego całego bałaganu, żeby zachować go w stanie nienaruszonym. Kostas powiedział, że Christopher kazał jej niczego nie ruszać. Wzruszył ramionami. Ludzie mają do nas różne prośby, my tylko wypełniamy ich polecenia. Ale widzi pani…

Podszedł do szafy i otworzył ją. Na dnie leżało jeszcze więcej brudnej bielizny. Wyżej koszule i spodnie, wszystkie dobrze znałam — wzory i tkaniny, drobniutko wystrzępiony szew na jednym z mankietów. Świadomość, że jestem w tym pokoju, miała charakter potężnej dysocjacji, a jednak tutaj — i tutaj — i tutaj — pośród tych przedmiotów, pomiędzy którymi żyłam przez wiele lat, dosięgał mnie jak gdyby sztych zażyłości, wspomnienie właściciela, człowieka, który był tu jednocześnie obecny i nieobecny.

Kostas klasnął w dłonie.

No tak. To możemy spakować te rzeczy? Nie ma pani nic przeciwko temu?

Skinęłam głową, spoglądając na papiery i książki. Wszystkie co do jednej dotyczyły Grecji, były wśród nich nawet rozmówki greckie. Otworzyłam któryś z notesów, ale nie potrafiłam odczytać zbitego, niestarannego charakteru pisma Christophera. Nigdy nie umiałam go odczytać. Kostas skorzystał z telefonu w pokoju, żeby zadzwonić do recepcji i poprosić pokojówkę, która zjawiła się kilka minut później i zaczęła pakować ubrania. Przeprosił mnie, ale była już prawie pierwsza, zaraz mają przyjechać nowi goście, a chyba widzę, jak dużo trzeba jeszcze zrobić, żeby przygotować dla nich ten pokój.

Odezwał się mój telefon. Sięgnęłam do kieszeni. Dzwoniła Isabella, miała doskonałe wyczucie czasu. Odpowiadałam dość zdawkowo, ale nie zwróciła na to uwagi, nawet nie zadała sobie trudu, żeby powiedzieć „dzień dobry", zanim zapytała, gdzie jest Christopher i czy może z nim rozmawiać.

W tle usłyszałam *Billy'ego Budda* Brittena. Isabella i Mark byli fanatykami opery i kiedyś zabrali nas na przedstawienie właśnie tego dzieła do Glyndebourne. Była to pechowa wyprawa. W tamtym czasie rysy w naszym małżeństwie stawały się już widoczne. Christopher i ja prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, ale Isabella i Mark pozostawali niefrasobliwie, wręcz niemal agresywnie nieświadomi napięcia między nami. W ich zainteresowaniu operą było coś egoistycznego, a chyba nigdy bardziej niż tamtego wieczoru.

Przypomniałam sobie, jak siedzę na widowni, pogrążona w otępiałej kontemplacji muzyki oraz niezręczności całej tej sytuacji; nie byłam fanką Brittena, co w żaden sposób nie zbliżało mnie do rodziców Christophera. Kiedy usłyszałam teraz znajome dźwięki, przyszło mi do głowy, jak integralnie oddalenie łączy się z tą historią, która właściwie w całości dzieje się na morzu. Bez oddalenia nie zadziałałby nawet podstawowy mechanizm

fabuły — nie byłoby zagrożenia buntem, nie trzeba by wprowadzać nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa, a Billy Budd nie zostałby powieszony. O ile opera mi się nie podobała — muzyka była zbyt zwarta, przypominała jakby kamienny mur — o tyle fabuła wydawała się jednak fascynująca, stwarzała sposobność, by zajrzeć do świata ludzi z innej epoki, kiedy mężczyźni wyjeżdżali daleko, na wojny albo na morze.

Dzisiaj nie wyjeżdżali — nie było już, przynajmniej dla większości z nich, mórz, które mogliby przemierzać, ani pustyń, po których by mogli wędrować, nic poza piętrami wysokich biurowców, porannymi dojazdami do pracy, znajomym i monotonnym pejzażem, w którym życie stawało się nabytkiem z drugiej ręki, nie czymś, co mężczyzna może mieć wyłącznie dla siebie. Odrobinę prywatnego życia, odrobinę życia wewnętrznego znajdowali jedynie na wybrzeżach niewierności, bo tylko w domenie swojego wiarołomstwa stawali się raz jeszcze nieznani swoim żonom, zdolni do wszystkiego.

Muzyka ustała nagle i Isabella powtórzyła pytanie: „Gdzie jest Christopher?”. Po krótkiej chwili milczenia, kiedy wpatrywałam się w bałagan w pokoju, odpowiedziałam, że go nie znalazłam. Ale jesteś tam? Jesteś w Mani? Tak. Tylko że Christophera nie ma, nie ma go w hotelu. No to gdzie jest? Nie wiem, odparłam. Pojechał na jakąś wycieczkę, wynajął samochód z kierowcą. Jego telefon nie odpowiada, pewnie zapomniał ładowarki — to mówiąc, spojrzałam na jej kabel, zwisający bezwładnie z gniazdka koło łóżka; zostawił ją w pokoju.

Poczekam na niego, dodałam. Nie wrócisz, dopóki go nie znajdziesz, odpowiedziała Isabella. Musisz go znaleźć. Znajdę, odparłam. Nie jestem tylko pewna, czy to właśnie ja powinnam go szukać.

Gdyby mnie słuchała, gdyby poświęciła chwilę, żeby mnie zapytać, dlaczego tak mówię, wówczas powiedziałabym jej w tym pokoju

hotelowym, że tajemnica naszego rozstania już nie obowiązuje — ale Isabella nie zapytała o nic, a nawet wydało mi się, że nie dosłyszała. Nie wrócisz, dopóki go nie znajdziesz, powtórzyła, musisz go przywieźć z powrotem. Sprawiała wrażenie rozstrojonej nerwowo, ich stosunki były z gruntu okropne. Nic dziwnego, że Christopher uciekał od swojej matki przez całe życie, a w każdym razie odkąd wkroczył w dorosłość — zawsze najpierw uciekał, a dopiero potem zaczynał biec ku takiemu czy innemu celowi.

Opuściłam rękę, w której trzymałam telefon. Powiedziałam Kostasowi, że mogą spakować resztę rzeczy Christophera do jego walizek i że kiedy wróci, sam im powie, co mają dalej robić. Kostas skinął głową, a ja się odwróciłam i wyszłam z pokoju. Mogłam już wyjechać.

# 2.

Ale nie wyjechałam. Poinformowałam Kostasa, że zostanę jeszcze dzień czy dwa, w hotelu jest bardzo przyjemnie. Chciałam tu trochę posiedzieć i pozbijać bąki, korzystając z doskonałej pogody. Zjadłam lunch na dworze, a potem pływałam w basenie, w którym woda była tak ciepła, jak zapowiadał recepcjonista, więc czułam się właściwie niczym w ogromnej wannie. Isabella się nie myliła, ten basen był bardzo fajny. Przez jakiś czas czytałam. Miałam trochę pracy, ale nic, co wymagałoby większego wysiłku, nic pilnego.

Nie przeszkadzała mi ta zwłoka, to czekanie, które z pozoru nie przypominało wahania. Ale dopóki człowiek nie zacznie działać po podjęciu decyzji, jest ona tylko teorią, czymś w rodzaju eksperymentu myślowego; postanowiłam poprosić Christophera o rozwód, ale jeszcze tego nie zrobiłam, nie spojrzałam mu w oczy i nie ubrałam swojej decyzji w słowa. A było to ważne, to znaczy moja wypowiedź, te słowa, a raczej jedno słowo, rozwód, które do tej pory nie pojawiało się w naszych rozmowach, co dało się zauważyć, lecz które — kiedy już padnie — nieodwracalnie zmieni bieg naszego rozstania.

Oczywiście wisiało to w powietrzu — niby końcówka partii szachów, najgorszy możliwy scenariusz, nieuchronność lub ulga. Słowo rozwód zostało obciążone, *ça me pèse*, stało się jak gdyby warunkiem dorosłości. W dzieciństwie słowa nie mają wagi — krzyczę: „nienawidzę cię” i to nic nie znaczy, to samo można zresztą powiedzieć o „kocham cię” — ale

w wieku dorosłym te same słowa wypowiadamy z większą starannością, nie wymykają nam się z ust już tak łatwo. Kolejnym przykładem jest sakramentalne „tak”, słowo, które w dzieciństwie stanowi tylko część zabawy, gry pomiędzy dziećmi, potem jednak zaczyna nabierać ciężaru znaczeniowego.

Ile razy sama powiedziałam „tak”? W dorosłym życiu tylko raz. Wzięliśmy z Christopherem ślub cywilny na sali sądowej, przyjechaliśmy zaledwie dziesięć minut przed krótką ceremonią, nie było żadnych prób, sędzia zapewnił nas, że wystarczy, jeśli będziemy powtarzać za nim, nawet idiota nie mógł się pomylić. Tak więc, kiedy wypowiedziałam sakramentalne „tak” w obecności kilkorga naszych krewnych i przyjaciół, zrobiłam to po raz pierwszy, a w każdym razie pierwszy raz od dzieciństwa.

Pamiętam, że zdziwiła mnie moc rytuału, ceremonialny akt wymowy tego słowa, które nabrało głębokiego, niemal wariackiego znaczenia. Nagle stało się logiczne, że owo „tak” zostanie zestawione z archaiczną i irracjonalną formułką „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, brzmiącą chorobliwie i nie na miejscu, padnie bowiem w czasie rzekomo radosnej uroczystości, która mimo wszystko służy jasnemu celowi: ma przypomnieć uczestnikom, że w trakcie tej ceremonii — ceremonii zaślubin — zawierają naprawdę szalony pakt.

Starałam się sobie przypomnieć, co jeszcze odczuwałam w czasie uroczystości, która odbyła się nie tak wiele lat temu, ale na tyle dawno, żeby moja pamięć stała się niepewna. Pomyślałam, że nastąpiła krótka chwila przerażenia, chociaż ogólnie rzecz biorąc, czułam się wtedy szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, i przez długi czas było to dobre i optymistyczne małżeństwo. Z tych wszystkich powodów trudno mi było zastanawiać się nad wypowiedzeniem wiadomego słowa, które zniszczyłoby cały ten optymizm, bez względu na to, jak już nieaktualny

— dlatego, mimo że zostałam w hotelu, chcąc poprosić Christophera o rozwód, dotarło do mnie, że wcale mi się nie spieszy, by stanąć z nim oko w oko. Podjęłam decyzję, która wydawała mi się ostateczna, z drugiej strony jednak mogłabym siedzieć na słońcu całymi dniami, tygodniami, bez ruchu, nic nie robiąc, nie mówiąc ani słowa.

Później tego popołudnia przyjechała jakaś para, która mogła być tylko owym małżeństwem, mającym zająć pokój Christophera. Przetoczyli się chwiejnie przez recepcję, już pijani, bo najwidoczniej zaczęli pić w samochodzie; ten sam kierowca, który przywiózł tu mnie, wszedł za nimi do hotelu, taszcząc trzy duże walizki. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, nie licząc jednak lekkiego skinięcia głową, nie zwrócił na mnie uwagi, miał pełne ręce roboty z nowymi gośćmi.

Wyglądali na Skandynawów, oboje byli bladzi, niebieskoocy i generalnie nie pasowali do tutejszego krajobrazu, do którego nie zostali stworzeni. Kobieta miała włosy tlenione na blond, a mężczyzna już jakby doznał poparzenia od słońca, bo jego skóra była zaogniona, pokryta bolesną czerwienią. Bez przerwy się całowali, nawet z daleka widziałam, jak imponująco prężą swoje muskularne języki; udało im się podać Kostasowi — miał dyżur w recepcji i stoicką minę — zaledwie kilka informacji na swój temat: nazwisko, kraj pochodzenia i datę wyjazdu, i zaraz znowu zaczęli się lizać.

Kostas patrzył na ścianę za obściskującymi się kochankami, informując ich, że śniadanie podaje się na tarasie, i pytając, jaką sobie życzą rano gazetę oraz czy chcieliby zamówić budzenie, mimo że było jasne, że tego nie zechcą. Kompletna cisza w hotelu wydawała się ich nie zrażać. Mówili przesadnie głośno i niezbornie, ich głosy niosły się po całym budynku, jak gdyby wydawało im się, że meldują się w hotelu w Las Vegas albo w Monako.

Patrzyłam, jak idą za Kostasem przez recepcję, spleceni w objęciach. Było coś zdumiewającego w tym, że potrafią tak bez przerwy wysyłać sobie sygnały pożądania; nie odpuszczali po prostu ani na chwilę. Zniknęli na schodach i poszli w kierunku pokoju Christophera, chociaż oczywiście to nie był już jego pokój; idący z tyłu portier dźwigał bagaże. Wcześniej tego popołudnia widziałam, jak ten sam portier niósł walizki mojego męża, jedną w lewej, drugą w prawej ręce, ale na dół, do przechowalni w recepcji, nie na górę po kamiennych schodach.

Tymczasem po Christopherze nie było ani śladu. Resztę dnia przesiedziałam na tarasie z powieścią, nad której przekładem się zastanawiałam, opowiadającą o parze, której dziecko przepada gdzieś na pustyni. Książkę przesłał mi wydawca; musiałabym przełożyć na próbę przynajmniej jeden rozdział, żeby zobaczyć, czy rzecz się nadaje do druku. Zadanie tłumacza jest, moim zdaniem, dziwne. Ludzie często mówią, że dobry przekład to taki, którego wcale nie czyta się jak przekładu, jak gdyby tłumacz ostatecznie powinien być przezroczysty.

Może to i prawda. Przekład nie jest niepodobny do pracy medium, bo człowiek pisze sam, a jednocześnie nie sam. Wedle Christophera opowiadałam o swojej pracy zbyt mgliście, nie imponowała mu, może dlatego, że uważał ją za nieprecyzyjną czy wręcz mistyczną, a może po prostu intuicyjnie wyczuwał, co chcę naprawdę powiedzieć: że podoba mi się potencjał bierności przekładu. Mogłabym zostać zarówno tłumaczką, jak i medium, jeden i drugi zawód byłby dla mnie idealny. Takie oświadczenie oczywiście przeraziłoby go i właśnie w tym celu je przygotowałam. Sam Christopher od dziecka pragnął pisać — i nie po prostu pisać, ale pisać książki.

Czytałam kilka godzin. Raz czy dwa widziałam Kostasa, przyniósł mi kawę, zapytał, czy zamierzam wieczorem zjeść kolację w hotelu. Nie

wspomniał o Christopherze, a kiedy raz go zapytałam, czy mój mąż wrócił, pokręcił tylko głową i wzruszył ramionami. Ani śladu, absolutnie nic. Wieczorem pojawiła się młoda kobieta, która rano miała dyżur, i przecinając recepcję, posłała mi kwaśne spojrzenie.

Odprowadziłam ją wzrokiem; w hotelu panował spokój, ale dziewczyna najwyraźniej miała bardzo dużo pracy, ciągle biegała z jednej strony recepcji na drugą, odbierała telefony i wyszczekiwała polecenia portierom i pokojówkom. Nie była nieatrakcyjna; próbowałam ją sobie wyobrazić z Christopherem — co najmniej by z nią flirtował, a może nawet poszedł z nią do łóżka, nie było to niemożliwe ani nieprawdopodobne.

Wciąż się jej przyglądałam. Stwierdziłam, że można ją uznać za pociągającą, niewątpliwie, chociaż nie była ładna — miała zbyt ostre rysy, żeby opisać ją tak konwencjonalnym słowem, były niecodziennie wyraziste, a takiej fizjonomii na ogół nie uważa się za urodziwą u kobiet (stąd szaleństwo na punkcie botoksu i kremów, obiecujących, że damska twarz zastygnie w młodzieńczym bezruchu; chodziło o coś więcej niż tylko o pogoń za młodością, ta moda wynikała z powszechnej niechęci do kobiet zdradzających skłonność do przesady, chcących wyglądać „niemożliwie”).

Była tak zbudowana, że na pewno intrygowała mężczyzn. Patrzyli na nią i zastanawiali się, jak by to było, gdyby mogli dotykać jej ciała, jakie wrażenie zrobiłyby na nich jego zarysy, gdyby gładzili je rękami, jaki jest jego ciężar, jego masa. Zauważyłam, że ma grube brwi i długie czarne włosy — zaplecione w prosty warkocz, sięgający do połowy pleców — stanowi więc moje fizyczne przeciwieństwo. Nie tylko ze względu na kolor włosów, ale też dlatego, że natura uformowała ją, by tak powiedzieć, wyjątkowo praktycznie, było bowiem jasne, czemu ma służyć jej ciało. Cele, jakie miało pełnić moje, bywały czasami zbyt nieokreślone,

wielokrotnie zdarzało się, że jego pojedyncze elementy — nogi, ramiona, tors — nie miały sensu nawet dla mnie, kiedy leżałam na łóżku.

A ciało tej kobiety miało sens. Patrzyłam na nią przez szybę, kiedy kręciła się tam i z powrotem po recepcji; była w hotelowym uniformie i wygodnych butach na płaskim obcasie, bo w takiej pracy człowiek jest cały dzień na nogach. Chociaż chodziła szybko, sprawiała wrażenie, jak gdyby odlano ją z ołowiu, wyglądała na kobietę, która mocno stąpa po ziemi. Być może taka cielesność była koniec końców nieodparta. Christopher na pewno natychmiast dostrzegł jej powab, był mężczyzną doświadczonym, którego małżeństwo trwało w tymczasowym zawieszeniu, a także pozbawionym skrupułów i turystą, więc wszystko wokół wydawałoby się w zasadzie pozostawać do jego dyspozycji.

A dziewczyna z pewnością okazała się podatna na jego czar. Mój mąż był przystojny, zamożny, samotny i niczym nieskrępowany, najwyraźniej nie miał nic do roboty (tylko ktoś niemający nic do roboty mógł tak długo mieszkać w tym hotelu i miasteczku, większość gości zostawała w nim zaledwie kilka dni, na weekend, najczęściej przyjeżdżali spędzić tu jakieś święto). Siedziałam na tarasie, słońce paliło mnie w twarz. Wizje przychodziły z łatwością, dobrze znałam zachowania jednej osoby z tej pary i wystarczyła odrobina wyobraźni, żeby zobaczyć resztę. Przypomniałam sobie — chociaż beznamiętnie, chodziło bowiem o odległą przeszłość — w jaki sposób Christopher podchodzi kobiety i jak wdziera się do ich świadomości; umiał zrobić dobre wrażenie.

Zamówiłam drinka. Było gorąco, pot zbierał mi się w zagłębieniu pod obojczykiem. Christopher chwycił ją za rękę w przegubie, wciskając w niego najpierw kciuk, a potem palec wskazujący. Podniosła wzrok, ale nie na niego, tylko żeby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. W recepcji było pusto, nie musieli się bać. Kelner przyniósł mi drinka. Czy będę jeszcze

czegoś potrzebować? Nie, nic już więcej nie chcę. Proszę pozwolić, że przestawię parasol, w słońcu jest bardzo gorąco. Zanim zdążyłam go powstrzymać, z głośnym zgrzytem przeciągnął ciężki stojak po kamiennej podłodze o kilka stóp bliżej.

Chwycił krawędź parasola i przechylił go, żeby osłaniał mi twarz. Było lepiej, miałam teraz cień, to prawda, że słońce świeciło nazbyt mocno, więc podziękowałam kelnerowi. Christopher poprowadził dziewczynę za rękę, poszła za nim, ale popędzała go, żeby szedł szybciej, bo jeśli ktoś ich przyłapie, to będzie wstyd. Kelner nie odchodził. Nie ma się czego bać, powiedział mój mąż. W tym momencie dziewczyna uznała, że chyba może mu uwierzyć. Poszła z nim do jego pokoju. Byli wciąż na terenie hotelu, nie mieli się gdzie podziać, a ona wolałaby umrzeć niż przyprowadzić go do domu, w którym matka i ojciec śpią w pokoju obok i w którym są też jej brat i siostry, bo mieszkają wszyscy pod jednym dachem.

Nic już więcej nie chcę, powtórzyłam. Dziękuję panu raz jeszcze. Christopher otworzył drzwi, odsunął się na bok i pozwolił dziewczynie wejść jako pierwszej. Kelner zasłaniał słońce. Więc nie ma już nic, co mógłbym pani przynieść? — zapytał prawie ze smutkiem. W pokoju panował chłód, Christopher zostawił otwarte okna i uchylone drzwi balkonowe, dziewczyna była spięta — bo w pokoju mogła być pokojówka, o tej porze to mało prawdopodobne, ale przecież możliwe. Rzucił klucz na stół i sprawdził w telefonie, czy nie przyszły do niego jakieś wiadomości, recepcjonistce wydawał się cudownie rozluźniony, nie potrafiła sobie wyobrazić, że można czuć się tak swobodnie w tym luksusowym pokoju.

Nie, dziękuję, naprawdę, mam wszystko, czego mi potrzeba. W końcu kelner odszedł. Recepcjonistka myślała, że Christopher zaproponuje jej drinka — czy nie tak właśnie powinno się to odbyć? Nie wiedziała, nigdy wcześniej nie była w takiej sytuacji, mógł zadzwonić po obsługę, po

butelkę szampana, niejednokrotnie widziała, jak kelnerzy noszą go na zamówienie do pokoi, szampana często zamawiały pary — ale on odłożył telefon, a potem odwrócił się i bez żadnych wstępów chwycił ją za ramię, tak że poczuła się urażona i podniecona zarazem. Czy tak to wyglądało? Prawie na pewno. Zamknęłam oczy. Było to dawno temu, dobrze jednak zapamiętałam ten dzień, z tą czy inną kobietą nie wyglądałoby to jakoś szczególnie inaczej.

A potem ciąg dalszy, też jak zwykle. Pod koniec była zadowolona, prawie na pewno, i minęło co najmniej dziesięć minut, a może nawet pół godziny, zanim zaczęła mieć wątpliwości. I co dalej? Nie zasnął (nigdy nie zasypiał w takich chwilach, ale ta dziewczyna nie mogła o tym wiedzieć), nie patrzył na nią, po prostu gapił się w sufit. Zawahała się, odpłynęła wcześniej — na jak długo? Jego nie bardzo mogła o to zapytać; z wahaniem położyła mu rękę na ramieniu. Było to w zasadzie muśnięcie, odwrócił jednak głowę, uśmiechnął się i położył dłoń na jej dłoni.

Obiad zjadłam wcześnie. Na tarasie znowu nikogo nie było. Stoliki w restauracji nakryto do obiadu, wszędzie białe obrusy, kwiaty, a nawet świece. Zobaczyłam jakieś niemieckie małżeństwo z dwojgiem dzieci, zjedli szybko i wyszli niedługo po tym, jak przyszłam. Dzieci bardzo poważne, bardzo grzeczne. Siedzieli głównie w milczeniu, matka od czasu do czasu pochylała się, żeby pokroić chłopcu jedzenie. Obsługiwali nas ci sami kelnerzy, co przy śniadaniu, rozpoznałam ich, kiedy Niemcy wyszli, szybko sprzątnęli po nich ze stołu i nakryli go na nowo, jak gdyby w restauracji miał być wieczorem komplet; potem znowu nie mieli nic do roboty.

Gdy zamawiałam kawę, przyszło to małżeństwo, które przyjechało na swój miesiąc miodowy. Tak właśnie o nich myślałam, bo chociaż Kostas powiedział, że obchodzą w Gerolimenas rocznicę ślubu, zachowywali się

jak nowożeńcy. Nadal byli pijani, a może od chwili przyjazdu do hotelu upili się jeszcze bardziej. Po wejściu do restauracji zaczęli wydawać entuzjastyczne okrzyki, tak spodobał im się widok z okna, kobieta chwyciła mężczyznę za łokieć, widok prezentował się naprawdę spektakularnie, zachodziło słońce, a niebo było jaskrawym rozmazem barw.

Zasiedli do obiadu. Mężczyzna od razu zamówił szampana. Świętowali, bo dlaczego nie? Przy każdej okazji mówili „dlaczego nie", powtarzali to co chwila, przerzucali się tym wyrażeniem jak piłką. Zamówili homara, dlaczego nie, kawior, dlaczego nie, zwracali się do kelnera po angielsku, gestykulując gwałtownie, w pewnym momencie kobieta machnęła nawet jadłospisem. Kelner przyniósł im szampana, koszyk z pieczywem i dwie szklanki wody z lodem.

Poprosiłam o rachunek i kazałam go dopisać do kosztów pobytu. Było jeszcze wcześnie i nie chciałam spędzić reszty dnia w pokoju, więc poszłam na kamienne molo, które wybiegało z tarasu do morza. Było solidne, imponujące, mierzyło jakieś dziesięć stóp szerokości i wcinało się mniej więcej na sto stóp w wodę, na tyle daleko od brzegu, by człowiek poczuł się otoczony przez morze. Wkrótce uporczywe restauracyjne stukoty, a nawet hałas, jaki robiła para w podróży poślubnej, zostały wchłonięte przez ciemność.

Potem nie było już nic poza pluskaniem wody. Doszłam na koniec mola i usiadłam na jego skraju. W innym wcieleniu Christopher i ja moglibyśmy przypominać tę spokojną rodzinę, a może nawet to małżeństwo w podróży poślubnej, istniały po temu pewne możliwości, które nigdy nie zostały zrealizowane i tylko dlatego uznaliśmy je za absurdalne. Za plecami usłyszałam kroki. Był to kelner z hotelowej restauracji, przyniósł mi kieliszek wina, jak powiedział, na koszt firmy. Może wyglądałam na kogoś,

kto musi się napić. Spytałam, czy idzie przypływ, a on odparł, że tak i że wtedy fala prawie zalewa molo. Zapytałam, czy zdarzają się tu utonięcia.

Tak, czasami. Ale morze jest bezpieczne. Nie ma wirów. Ani rekinów.

Podniosłam wzrok, żeby zobaczyć, czy się uśmiecha, ale w ciemności nie widziałam jego twarzy.

Większość z tych, którzy tutaj utonęli, to samobójcy.

Zabrzmiało to żartobliwie.

Dużo ich było?

Pokręcił głową, wycofywał się, sprawiał wrażenie niemal urażonego.

Bardzo niewielu.

Odszedł, a ja zawołałam do niego, że jeżeli się o mnie martwi, to zaraz przyjdę. Skinął głową i wszedł z powrotem do hotelu. Podniosłam się kilka chwil później i kiedy stałam w ciemnościach, w pokoju na trzecim piętrze otworzyły się szklane drzwi balkonowe. Wyłoniła się z nich para nowożeńców. Obejmowali się namiętnie i nie zrobili przerwy nawet na chwilę, żeby popatrzeć na morze albo oprzeć się o barierkę i zapalić papierosa, czyli zrobić coś, po co ludzie zazwyczaj wychodzą na balkon. Mężczyzna gładził kobietę po plecach, ona jedną ręką mocno ściskała jego podbródek, a drugą wsunęła mu za spodnie na tyłku.

Ogarnęło mnie zażenowanie — nie było mi przyjemnie stać tak w ciemności jak podglądacz, nie wiedziałam, gdzie podziać oczy, prawie wszystko dokoła zalegało w mroku, ale obściskująca się na piętrze para była bardzo jasno oświetlona, jak gdyby stała na scenie. Widok ten nie miał w sobie nic eleganckiego ani nawet erotycznego, namiętność tych dwojga zdawała się groteskowa. Wciąż ocierali się o siebie jak zwierzęta w rui i było oczywiste, że ich wzajemne pożądanie jest autentyczne, chociaż robią z niego przedstawienie.

Pożądanie tych dwojga, owszem, było autentyczne, ale mimo to miałam pewność, że doskonale zdają sobie sprawę, w jak przeraźliwym świetle są skąpani i jak wyraźnie widać ich balkon na tle nocy. Zapłacili dodatkowo za apartament, za ten hotel, tak ewidentnie zaprojektowany na romantyczne wyjazdy, i na pewno wiedzieli, jakie teatralne możliwości oferuje. Każda miłość wymaga tła i widowni, nawet — a może szczególnie — ta prawdziwa, realna, miłość romantyczna nie jest bowiem czymś, co dana para może sobie wyczarować sama, tylko ty i ktoś jeszcze, wy oboje, i nie tylko raz, ale raz za razem, bo miłość w ogóle wzmacniana jest przez kontekst, karmi się cudzym wzrokiem.

Pomyślałam wtedy, że jeśli chodzi o konkretny kontekst, był to także pokój Christophera, mój mąż z pewnością też stał na tym balkonie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym teraz obejmowało się to namiętne małżeństwo, sam albo może z jakąś dziewczyną. Jeszcze chwilę tkwiłam na końcu mola i przyglądałam się długiemu uściskowi tych dwojga, patrzyłam na nich, aż wreszcie ona wzięła go za rękę, zaprowadziła do sypialni i zamknęła drzwi. Wtedy wróciłam na taras i do recepcji. Za ladą siedziała znana mi już dziewczyna. Pozdrowiłam ją skinieniem głowy, a ona podniosła wzrok i zawołała do mnie:

— Dostała pani jakieś wiadomości od męża?

Zatrzymałam się. Kiedy się odwróciłam, miała wzrok wbity w podłogę, jak gdyby nie mogła się powstrzymać od tego pytania, a teraz go żałowała. Potem wyzywająco podniosła wzrok i posłała mi bezpośrednie, szczere spojrzenie. Nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego, nic nas nie łączyło. A jednak byłam pewna, że obie czekamy na tego samego mężczyznę, jej pytanie jedynie utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Pokręciłam głową. Wyglądała na rozczarowaną, jednocześnie jednak odczuła ulgę, od razu

zrozumiałam, że byłby to dla niej cios, gdybym powiedziała „tak”, że wkrótce się z nim spotkam, że jest w tej chwili na górze, w moim pokoju.

Znajdzie się, powiedziałam. Kiwnęła głową. Zdarzało mu się to wcześniej? Czy taki właśnie jest? Z gruntu nieodpowiedzialny? Znika tak po prostu, bez słowa? Pytania te narzucały się z taką oczywistością, jak gdyby recepcjonistka naprawdę mi je zadała. Nie chciałam pocieszać jej w kłopotach, które nie były moją sprawą i nie powinny mnie obchodzić. Z jakiegoś powodu mówiłam jednak dalej, dziewczyna milczała, więc wydawało mi się, że powinnam coś powiedzieć. Ostatnio dziwnie się zachowywał. Wzdrygnęła się, zrozumiałam, że moje słowa ją zraniły, pomyślała może, że chcę w ten sposób dać jej do zrozumienia, że ich romans — jakkolwiek wyglądał, ba, jeżeli w ogóle do niego doszło — był dla niego nietypowy, nieważny, stanowił pozbawioną znaczenia aberrację.

Ostatnio dziwnie się zachowywał. Dziewczyna znowu się naburmuszyła. Jej twarz pociemniała od rumieńca złości. Możliwe, że Christopher chociaż raz okazał się kosą, która trafiła na kamień, że nie docenił tej młodej kobiety. Może od niej uciekł, może stąd ta jego nieobecność — ale dlaczego w takim razie zostawiałby tu swoje rzeczy, dlaczego po prostu nie wyjechał albo nie przeprowadził się gdzieś indziej, w okolicy było kilka hoteli, które również by mu odpowiadały. Poza tym Christopher, jak każdy seryjny kobieciarz, nigdy nie miał problemów, by pozbyć się kochanki.

Po chwili zapytałam dziewczynę, jak jej na imię; zawahała się, a potem odpowiedziała, że Maria. Miło mi panią poznać, odparłam, a kiedy nie zrobiła nic więcej, tylko ponownie drętwo skinęła głową, nie patrząc mi w oczy, odwróciłam się i wyszłam. Pomyślałam, że w pewnym sensie zachowałam się niezręcznie. Skąd jednak mogłam wiedzieć, że będzie tak poruszona? Odczułam przypływ ulgi, nie zazdrościłam Marii burzy uczuć, zazdrości i niepewności, najwyraźniej nie wiedziała, czy powinna się

rozgniewać, czy zawstydzić. Ale pomimo wszystko ciągle miała nadzieję, widziałam ją w jej twarzy. To straszne, kochać i nie wiedzieć, czy jest się kochaną, taka sytuacja skutkuje najgorszymi uczuciami — zazdrością, wściekłością, obrzydzeniem do samej siebie — i tymi wszystkimi poniżającymi stanami ducha, do których one prowadzą.

# 3.

Rano zadzwoniłam do Isabelli z informacją, że nie znalazłam Christophera, że nie wrócił dotąd do hotelu. Zapytała, czy się o niego nie martwię. Odpowiedziałam, że nie. Przyjechał do Grecji robić dokumentację, więc mógł przecież zorganizować sobie krótką wycieczkę do pobliskiego miasteczka albo wrócić do Aten, by zajrzeć do archiwum. Dokumentacja! Isabella się roześmiała. Jaka dokumentacja?

Mój mąż był jeszcze przed trzydziestką, kiedy opublikował swoją pierwszą książkę, przyjętą z wielkim entuzjazmem przez świat wydawniczy, a także przez czytelników. Na krótko trafiła nawet na dalsze miejsce listy bestsellerów. Była to książka niezwykła, wręcz niepowtarzalna, *non-fiction*, a dotyczyła społecznej funkcji muzyki — jej roli w różnych rytuałach i ceremoniach, sposobu wyznaczania przestrzeni publicznej oraz funkcji pojętej jako forma religijnej i ideologicznej perswazji.

Dzieło obejmowało szeroki zakres problemów, było dygresyjne i w znacznej mierze tchnęło osobistym urokiem Christophera. Mój mąż zestawiał w nim w jednym miejscu względną intymność muzyki kameralnej z orkiestralną pompą, a w drugim zdawał szczegółową relację ze swoich doświadczeń z nastoletniej młodości, kiedy był częstym gościem rozmaitych londyńskich klubów nocnych. Pisał o muzyce w Trzeciej Rzeszy, o akustyce Gewandhaus, chodził do kaplicy w King’s College słuchać kantat Händla (uczył się kiedyś w King’s College, sądziłam, że

odwiedziny w kaplicy, muzyka, a potem pisanie w pewnym sensie pomagały mu się zregenerować, wrócić do siebie).

To prawda, że baza źródłowa książki nie została zbyt dobrze przygotowana — nieliczne krytyczne recenzje wskazywały na kilka rażących błędów i opustek, ale ogólnie rzecz biorąc, można było spokojnie uznać, że te głosy wyrażają po prostu zdanie odrębne niż pogląd ogółu czytelników. Ostatecznie autor nie był uczonym, a książka została przeznaczona dla przeciętnego odbiorcy. Zresztą Christopher miał skłonność do uogólnień. Był dobry w tym, co z imponującą i pozorną łatwością udało mu się osiągnąć w tej publikacji, czyli w wykrywaniu związków między różnymi faktami, które następnie uspójniał w swojej prozie.

Nie znałam go jeszcze, gdy książka się ukazała. Kiedy się spotkaliśmy, prowadził stosunkowo wygodne życie, otwierające się przed pisarzami, którym relatywnie się powiodło. Zapraszano go, żeby prowadził wykłady, proponowano pisanie recenzji do gazet, a jego książka została przełożona na kilka języków. Dostał też propozycję prowadzenia zajęć na jakimś uniwersytecie, którą odrzucił — nie potrzebował pieniędzy, pisał drugą książkę, miał na nią umowę z wydawcą i już przekroczył wyznaczony termin.

Pracował właśnie nad tą drugą książką, kiedy się poznaliśmy. Był leniuchem, lubił dużo mówić o swoim projekcie, niemal robiąc z tego mały spektakl, a ja wkrótce zdałam sobie sprawę, że woli opowiadać o tej nowej książce niż ją pisać. Przedstawił swoje dzieło jako studium rytuałów żałobnych na świecie, pracę z zakresu kulturoznawstwa i nauk politycznych, która miała objąć zarówno ceremonie świeckie, jak i religijne, oraz nakreślić szkic — chyba takiego słowa użył — krajobrazu kulturowych i historycznych różnic między nimi.

Był to dziwny projekt jak na człowieka, który do tej pory nie stracił nikogo bliskiego i któremu życie w zasadzie nie zrobiło krzywdy w żadnej ważnej kwestii. Jeśli miał powód do smutku, to jedynie w sensie abstrakcyjnym. Jednak coś ciągnęło go do ludzi, których dotknęła jakaś życiowa strata. Odnosili mylne wrażenie, że Christopher jest człowiekiem pełnym współczucia. Jego współczucie trwało tak długo, jak ciekawość, i kiedy już ją tracił, wycofywał się nagle, robił się niedostępny, a w każdym razie mniej dostępny, niż ludzie mogliby się tego racjonalnie spodziewać, biorąc pod uwagę nagłą i gwałtowną poufałość, z jaką początkowo im się narzucał.

Takie miał jednak zwyczaje, taki był. Utalentowany jako pisarz, do pracy zawodowej podchodził mimo wszystko trochę jak dyletant — przez pięć lat naszego małżeństwa nigdy nie zdarzyło mu się pójść do biblioteki, nawet w czasie długotrwałych dokumentacji. Isabella niewątpliwie z tej przyczyny szydziła z jego pisania; pomimo względnego sukcesu nie brała go poważnie, wolałaby, żeby został prawnikiem, finansistą lub nawet politykiem, i chętnie powtarzała, że Christopher ma do tych zawodów smykałkę i odpowiednią charyzmę.

Mimo to, jak już wspomniałam, mój mąż umiał wypowiadać się o tym, o czym pisał, z wielkim autorytetem. I chociaż w żałobie zasadniczo nie ma nic wesołego, potrafił mówić o poszczególnych rytuałach i tradycji w niezwykle zajmujący i zabawny sposób, a jego zainteresowanie tematem stawało się zaraźliwe. Prawie na pewno przyjechał do Grecji po to, aby zapoznać się ze zwyczajami tutejszych zawodowych płaczek, kobiet, którym płacono za to, żeby lamentowały w czasie pogrzebów. Domyśliłam się tego od razu, kiedy Isabella powiedziała mi, że wyjechał do Grecji, była to dla niego bardzo interesująca sprawa i zamierzał poświęcić jej sporo miejsca w książce, nad którą pracował.

Ten prastary obyczaj, jak mi wytłumaczył, obecnie szybko zanika. Zostało już jedynie kilka regionów na greckiej prowincji, gdzie wciąż się go praktykuje, między innymi w Mani, czyli w południowej części Peloponezu. Tutaj w każdej wiosce jest kilka płaczek — zwanych również łzawicami albo chłostkami — które wykonują pieśni pogrzebowe w czasie pochówku. Najbardziej intrygowała go w tym zwyczaju eksterioryzacja smutku: fakt, że rozpacz wyrażał ktoś inny, a nie osoby pogrążone w żałobie.

To jest dosłownie eksterioryzacja, powiedział. Ty, pogrążona w żałobie, zostajesz całkowicie uwolniona od konieczności uzewnętrznienia smutku. Te wszystkie naciski, jakim podlegasz w czasie pogrzebu, oczekiwanie, że urządzisz spektakl ze swojej rozpaczy dla zebranej widowni… Wyobraź sobie, że jesteś wdową, która chowa męża; ludzie spodziewają się dobrego przedstawienia. Twój smutek z natury jednak nie da się pogodzić z tym żądaniem, bo podobno kiedy człowiek odczuwa żal, kiedy dotknie go bolesna strata, jest niczym ofiara nabita na pal smutku i z pewnością nie znajduje się w odpowiednim stanie do tego, by wyrażać swoje przygnębienie.

Z tego powodu kupuje się instrument, który zrobi to za ciebie, choć może nie tyle instrument, ile magnetofon z kasetą; po prostu wciskasz sobie klawisz *play*, a uroczystość, impreza długa i skomplikowana, ciągnie się dalej bez ciebie. Ty odchodzisz i pozostajesz sama ze swoim smutkiem. To niezwykle oświecony układ; kluczowy jest oczywiście aspekt pieniężny, bo to, że chodzi o transakcję finansową, czyni całą tę umowę czystą, wyrafinowaną. Nic dziwnego, że ten zwyczaj narodził się w Grecji, zwanej kolebką naszej cywilizacji — to całkowicie logiczne.

Na poły żartował, pamiętam, że właściwie śmiał się, kiedy to mówił. Na moment wtedy mnie zamurowało. Wyglądało to tak, jak gdyby stojący

przede mną mężczyzna był rozdwojony — z jednej strony wyrażał się jak ktoś, kto nigdy nikogo nie stracił, żony, kochanki, matki, ojca, nawet psa, ktoś, kto nie miał pojęcia, jak boli prawdziwa strata. Wiedziałam, że tak jest, bo takie były fakty, znałam jego dotychczasowe życie. Jednocześnie jednak wydawało mi się, że dostrzegam w Christopherze cień człowieka, który stracił coś lub kogoś, kto był mu bardzo drogi, może nawet stracił kiedyś wszystko, a w jego głosie — ironicznym i opanowanym, jakby odległym — kryła się sugestia niedostrzegalnej głębi.

Nie wiedziałam jednak, jaka to mogła być strata. Zapytałam go kiedyś, dlaczego pisze tę książkę, bo chodziło o coś więcej niż tylko o kwestię jego zainteresowania tematem — z mojego doświadczenia wynika, że nie da się napisać książki wyłącznie dlatego, że autora coś zaciekawiło, potrzebne jest coś więcej, w końcu taka robota zajmuje zwykle lata. Nie odpowiedział jednak, ani wtedy, ani potem, po prostu pokręcił głową i się odwrócił, tak jakby odpowiedź stanowiła tajemnicę nawet dla niego. Przez ostatni rok mówił o tej książce coraz częściej, powracała w naszych rozmowach raz po raz, jak gdyby niedokończone dzieło mu ciążyło, a przecież nie potrafił wyjaśnić, dlaczego je pisze.

Niewątpliwie właśnie z tego powodu nie mógł go skończyć. Był czarującym mężczyzną, czar składa się zaś z pozorów — każdy czaruś jest oszustem. Wcale nie do tego jednak zmierzam. Chodzi mi o naturalne niepowodzenia w związku, nawet tym, który przez pewien czas był bardzo dobry. Ostatecznie jednak czy związku nie tworzy po prostu dwoje ludzi? A między dwojgiem ludzi zawsze znajdzie się miejsce na niespodzianki i nieporozumienia, rzeczy, których nie można wytłumaczyć. Być może dałoby się to sformułować jeszcze inaczej: że między dwojgiem ludzi zawsze będzie miejsce na porażki wyobraźni.

Ledwie odłożyłam telefon, gdy znów się odezwał. Dzwonił Yvan. Telefonowałam do niego z lotniska w Atenach, wtedy jednak rozmawialiśmy w pośpiechu — szukałam swojego kierowcy, w hali przylotów panował chaos, z głośników płynął nieprzerwany strumień ogłoszeń po grecku i angielsku — i od tamtej pory nie miałam z nim kontaktu. Różnica czasu między Anglią i Grecją jest niewielka, a mimo to podróż trwała długo i łączność między nami była wyraźnie niemrawa, jakby wytworzyło się w niej jakieś opóźnienie.

Yvan zapytał, jak minęła podróż i jak tam Christopher; zawahał się, zanim zadał mi pytanie o niego, a ja od razu odpowiedziałam, że nie ma go w hotelu. I że, prawdę mówiąc, nigdzie go nie ma. Yvan milczał, a potem spytał: Co to znaczy, że go nie ma? Czyżby Isabella się myliła, sądząc, że wyjechał do Grecji? Isabella bardzo rzadko się myli. Nie, nie myliła się, odrzekłam. Był tu, ale w tej chwili go nie ma, czekam, aż wróci. Wtedy Yvan znowu na moment zamilkł, po czym zapytał: Jak długo zamierzasz czekać?

Odpowiedziałam: To, że czekam, jest chyba racjonalne, nie? Po kolejnej chwili milczenia Yvan odparł: Tak, to racjonalne, ale nie podoba mi się, że jesteś tam sama. Nie będę kłamał, denerwuje mnie to. Jak na niego, wyraził się niezwykle obcesowo, nie należał bowiem do ludzi, którzy stawiają innym jakieś żądania. Mówił jednak łagodnie, w jego głosie nie było śladu wymówki. Nie masz się czym martwić, ale rozumiem cię, odpowiedziałam, to niezręczna sytuacja. Następnie Yvan spytał: A może przyjechać do ciebie?

Kiedy na niego wpadłam przed trzema miesiącami — na ulicy, dosłownie na środku przejścia dla pieszych — zaproponował, żebyśmy weszli do kawiarni na rogu zamiast stać na zimnie. Nawet teraz, patrząc na sprawę z perspektywy czasu, wcale nie jestem pewna, czy kiedy formułował to

zaproszenie, chodziło mu o cokolwiek innego poza tym, żebyśmy schronili się przed wiatrem i deszczykiem. Żadne z nas nie było odpowiednio ubrane na taką pogodę, temperatura spadła jak grom jasnego nieba, a on powiedział to dokładnie takim samym tonem jak wtedy, kiedy zapytał, czy ma dołączyć do mnie w Gerolimenas.

Tak czy inaczej, przyjęłam zaproszenie. Yvan zawsze mi się podobał, był przystojny, choć skromny, jego uroda nie miała w sobie nic pretensjonalnego. Pod tym względem różnił się od Christophera, który był świadomy swojej atrakcyjności i aż za dobrze umiał ją wykorzystać; pod koniec naszego małżeństwa, chociaż już naprawdę pod sam koniec, stało się dla mnie jasne, że wie, co musi zrobić, żeby wyglądać na wyjątkowo dystyngowanego, z czasem zaś udoskonalił cały szereg swoich pociągających spojrzeń, zerknięć, min i gestów, co wydawało mi się nonsensowne i z gruntu odpychające.

Yvan był atrakcyjniejszy od Christophera, ale niemal na pewno nie sprawiał takiego wrażenia, trzeba było naprawdę dobrze mu się przypatrzeć, żeby pod jego gamoniowatą powierzchownością dostrzec przystojniaka. Wcześniej nigdy nie uważałam Yvana za atrakcyjnego mężczyznę. A jednak kiedy usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stoliku i Yvan w typowy dla siebie, niezwykle uprzejmy sposób zaczął mnie wypytywać, jak układa mi się w życiu i co słychać, nikt nie mógłby mieć żadnych wątpliwości, że właśnie dlatego, iż wydał mi się przystojny, odpowiedziałam mu dość porywczo i w zaufaniu, że Christopher i ja postanowiliśmy się rozstać. Był pierwszą osobą, której o tym powiedziałam.

Stało się to, zanim Christopher wymógł na mnie obietnicę, że nikomu nie wspomnę o naszej separacji. Jeśli Yvan się zdziwił, to tego nie okazał, powiedział tylko, że jest mu bardzo przykro, bo zawsze wyglądaliśmy

razem na szczęśliwych i byliśmy jednym z tych małżeństw, z którymi lubił spędzać czas. Potem roześmiał się z zakłopotaniem, nie chciał mówić o sobie w kontekście sprawy, która ani trochę go nie dotyczyła — chociaż z drugiej strony oczywiście wszystko skończyło się tak, że dotyczyła go pod każdym względem, jego słowa bowiem niejako zapowiadały to, co miało nastąpić, a za co od razu zaczął winić siebie i przez co czuł się winny jeszcze długo potem, bo może już wtedy w głębi duszy wiedział, co się stanie.

Yvan był dziennikarzem, kolegą Christophera, z którym zawarł bardzo przelotną znajomość na uniwersytecie. Christopher (jak mi później powiedział Yvan, bo ja nigdy nie rozmawiałam z moim mężem o Yvanie inaczej niż jak o jego aktualnym znajomym; wprawdzie wiedziałam, że byli razem w Cambridge, podejrzewałam jednak, że Christopher słabo go pamięta z tamtych lat, mój mąż bowiem właściwie urodził się z amnezją) był ponoć charyzmatyczną postacią, wybijającą się na kampusie, jednym z tych studentów, których wszyscy znają.

Zgadzało się to w zupełności z tym, co wiedziałam o Christopherze, bardziej pouczający był dla mnie sposób, w jaki Yvan go opisał, jak gdyby relacjonował spotkanie z aktorem na scenie, oglądanym jednak nie z widowni, lecz od kulis. Pod pewnymi względami Yvan się nie zmienił, z natury był nieśmiały i wolał trzymać się w cieniu niż na pierwszym planie. A mimo to dał się wciągnąć na orbitę Christophera; powiedział mi, że mój mąż przez pewien czas podejmował metodyczne wysiłki, by się z nim zaprzyjaźnić.

Wahał się nieco, zanim mi o tym opowiedział, myślał może, że nie będzie to w najlepszym guście, był to początek naszej znajomości, która przerodziła się potem w bliższy związek, dziwna poufałość, wymagająca wspólnej akceptacji, i przypomnienie, że Yvan i Christopher poznali się ze

sobą, zanim poznali mnie, i że Yvan zawsze będzie znał Christophera z młodych lat lepiej niż ja. Zdobywamy doświadczenia w przypadkowych miejscach, niewłaściwe informacje trafiają do niewłaściwych osób. Nalegałam jednak, byłam rozbawiona i nieco zaintrygowana, a nie istniała właściwie żadna potrzeba, żeby chronić mnie przed Christopherem, zarówno w jego dawnym, jak i ówczesnym wcieleniu.

Choć Yvan, jak sam stwierdził, nie należał do popularnych studentów na kampusie — nie pochodził z dobrej rodziny, nie zdradzał oznak szczególnej zamożności, nie był wyjątkowy pod żadnym względem i nie wykazywał się powierzchownym urokiem, stylem ani błyskotliwością — to Christopher poszukiwał jego przyjaźni z natarczywością charakterystyczną dla uczelnianych znajomości, głównie między mężczyznami, lecz także między kobietami. Być może szukał jej dlatego, że wyczuł u Yvana tę jedną jedyną cechę, którą szanował, chociaż brakowało mu samodyscypliny, by ją naprawdę wyłuskać i zaakceptować — Yvan był bowiem autentycznie niewrażliwy na czar Christophera.

Opowiadał mi więc o ich krótkiej przyjaźni, a ja popadałam w coraz większe zakłopotanie, gdyż nie podobały mi się oba portrety, wyłaniające się z tej opowieści, ani obłąkańcza charyzma Christophera i jego kompulsywne kobieciarstwo, ani niewytłumaczalna pasywność Yvana, który nie przyjmował, ale też nie odrzucał awansów Christophera. Yvan zorientował się, że jestem zmieszana, jego podejrzenia okazały się trafne, ich przyjaźń wydała mi się odstręczająca. Ta historia nie ma puenty, zauważył nagle, nie pozostaliśmy ze sobą w bliskich stosunkach. Christopher uciął znajomość, jak gdyby jego wcześniejsze zabiegi były tylko czymś w rodzaju wstępu do innego, bardziej tajemniczego natręctwa, chociaż nie przeszkodziło im to, żeby odnowić kontakty, gdy spotkali się przypadkiem kilka lat później.

Wtedy brałam już udział w tej grze. Do kolejnego przypadkowego spotkania, które trwało zaledwie kilka minut, zanim zostało przerwane, gdy w pokoju zaroiło się od gości, doszło tym razem nie na ulicy, ale na pewnym przyjęciu. W tym czasie Yvan był tylko jednym z licznych znajomych Christophera, pamiętam jednak, że od razu wpadł mi w oko — spodobał mi się zarówno on sam, jak i jego lakoniczny sposób wysławiania się oraz lekka obojętność wobec wytworności otoczenia, a zwłaszcza wobec uroku Christophera, na który uodpornionych było bardzo niewiele osób.

Jak się jednak okazało, Yvan nie był człowiekiem obojętnym — odczuwał raczej znużenie Christopherem niż obojętność, i to nie tylko ze względu na ich przeszłość. W pewnym sensie Christopher był z natury kimś, komu nie należało ufać, i Yvan się tego domyślał. Zapytałam go przy jakiejś okazji, kiedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że znajdziemy się razem w takim układzie — zdecydowałam się na dość dziwne słowo, układ, jak gdyby był to eufemizm czegoś niestosownego — a on szybko odpowiedział: Natychmiast, na samym początku; a w każdym razie miałem taką nadzieję.

Yvan niewątpliwie ożywił się zaskakująco szybko. Mieszkałam jeszcze w naszym apartamencie, kiedy się poznaliśmy, i dla mnie było zdecydowanie za wcześnie na nowy związek — Christopher się nie wyprowadził, po prostu nie bywał w domu, ale wszędzie nadal leżało pełno jego rzeczy, przemieszanych z moimi. Ledwo zdążyłam zmienić pościel. I chociaż nie byłam jeszcze stara, nie byłam też już młoda — a taki straceńczy krok wydawał mi się typowy raczej dla młodszej kobiety.

Yvan poprosił mnie jednak, żebym od razu przeniosła się do jego mieszkania, toteż możliwość, że wyprowadzę się od Christophera i zamieszkam z Yvanem, zaczęła się rysować jako całkiem prawdopodobny

scenariusz. Było to niezaprzeczalnie wygodne. Przypomniałam też sobie pewną zgryźliwą i wciąż dla mnie nieprzyjemną uwagę, którą jeden ze znajomych podzielił się kiedyś z nami przy obiedzie: Kobiety są jak małpy, nie puszczą pierwszej gałęzi, dopóki nie złapią drugiej. Ten facet — najpierw tylko znajomy Christophera, ale potem też mój — siedział wtedy obok mnie, a naprzeciwko swojej żony oraz mojego męża.

Mówiąc to, patrzył właśnie na niego. Chyba niezbyt zdawał sobie sprawę z tego, jak dobrze my, kobiety obecne przy stole, czyli ja i jego żona, widzimy wyraz szczerej pogardy na jego twarzy, choć może wcale go to nie obchodziło, albowiem zwracał się do Christophera, a nie do żadnej z nas. Patrzyłam na niego z profilu, jego szyderczy uśmieszek i podwinięta warga były pod tym kątem wyjątkowo dobrze widoczne. Przypuszczalnie nie mówił o żadnym wydarzeniu ze swojego życia ani o związku z żoną, która siedziała cicho koło Christophera, przyglądając się bardzo uważnie obrusowi oraz spoczywającym na nim sztućcom.

Wszystko jednak było możliwe. Na przykład to, że poznali się w jakichś niesprzyjających okolicznościach, że ona była związana z innym mężczyzną i nie chciała opuścić schronienia, które jej tamten zapewniał, dopóki nie zabezpieczyła sobie opieki i oddania ze strony obecnego małżonka (to prawda, że tak długo, jak ich znaliśmy, ona nie pracowała, zawsze była jednak dobrze ubrana i zadbana, należała do kobiet, które wiedzą, gdzie pójść do fryzjera i gdzie zrobić manicure, a chociaż taka wiedza jest czasem bez znaczenia, bardzo wiele mówi o człowieku).

Nie było przyjemnie wyobrażać sobie związku naszych znajomych w takich kategoriach, ale okazało się to zdumiewająco łatwe, jak gdyby chodziło o mimowolne poruszenie wyobraźni, nieznającej poczucia przyzwoitości. Być może nawet po latach małżeństwa wspomnienie asekuranckiej postawy żony bywało powodem do kłótni — istnieją

zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy nie potrafią wybaczyć urazy, choćby nie wiadomo jak odległej w czasie — i może jednym z warunków kontraktu, stanowiącego podwalinę tego małżeństwa, było przeświadczenie, że w trakcie dalszego wspólnego życia mąż będzie co rusz kazał żonie płacić za tę zniewagę z jej strony, za to wahanie.

Mimo wszystko poczułam się urażona niejako w jej imieniu. Bez względu na to, jak było, wydawało mi się, że to straszne mieć męża, który potrafi mówić takie rzeczy o kobietach, i to w obecności własnej żony, w obecności innych ludzi — czy raczej w obecności innej kobiety — co zresztą skłania mnie do podejrzenia, że mężczyźni cały czas rozmawiają ze sobą w taki sposób. Od tej chwili unikałam tego człowieka, znajdując różne wymówki, ilekroć Christopher proponował mi wyjście na kolację albo spędzenie weekendu w towarzystwie tych dwojga, aż wreszcie pogodził się z tym, że nie chciałam się już z nimi spotykać. W każdym razie on tak to rozumiał, ja zaś nie korygowałam jego przeświadczenia, bo wprawdzie przyczyną mojej niechęci do nich był niemiły mąż, rozciągała się ona jednak także na żonę, przybierając łagodniejszą postać skrępowania — po prostu nie potrafiłam już czuć się swobodnie przy tej kobiecie.

Minęło kilka lat, a słowa jej męża nadal sprawiały mi ból — kobiety są jak małpy, nie puszczą pierwszej gałęzi, dopóki nie złapią drugiej — i ciągle do mnie wracały w miarę rozwoju wypadków z Yvanem. Wiedziałam, że w pewnym momencie nie wystarczy powiedzieć, że sytuacja jest skomplikowana, takie sformułowanie nie pomagało zyskać na czasie (chociaż sytuacja naprawdę okazała się skomplikowana, bo byłam przecież mężatką, niepozostającą w formalnej ani nawet oficjalnej separacji z mężem, wciąż zajmowałam nasze dawne mieszkanie, Christopher zniknął nie wiadomo gdzie, początkowo mieszkał u przyjaciół, a potem w drugim mieszkaniu swojej matki, które zazwyczaj komuś wynajmowała, ale które

teraz, jak na zawołanie, stało puste; powiedział Isabelli, że urządził sobie w nim gabinet).

Nie, w pewnym momencie trzeba było pójść naprzód i albo rozwiązać problem, albo nauczyć się żyć z nim i z komplikacjami, jakie ze sobą niósł, przy czym częściej stosuje się to drugie rozwiązanie — ludzie z wiekiem komplikują sobie życie, a później upraszczają je z powrotem, kiedy się naprawdę zestarzeją. Mężczyźni lepiej sobie z tym radzą, umieją płynąć przez życie; często się zdarza, że facet tuż po rozwodzie szybko się znowu żeni, to kwestia osobistej wygody, niebędącej powodem do wstydu. Z kobietami sprawa wygląda inaczej — kobiety częściej się autocenzurują, są w tym mistrzyniami, ponieważ uczą się autocenzury w toku całego życia — a jednak uczucie, jakie miałam dla Yvana, kogoś tak bardzo różniącego się od człowieka, który wciąż był moim mężem, uparcie nie chciało zgasnąć.

W końcu trzy miesiące po rozstaniu z Christopherem przeprowadziłam się do Yvana. Praca dziennikarza zapewniała mu wygodne życie, chociaż nie mógł sobie pozwolić na szastanie pieniędzmi. Dysponował znacznie mniejszym dobytkiem ruchomym niż Christopher, ale jego rzeczy wydawały się mieć większe znaczenie i były przydatniejsze, więc wniosłam swoją własność do jego domu ze zdumiewającą łatwością. Mieszkaliśmy razem, często pracowaliśmy w tym samym pokoju i wspólnie jadaliśmy posiłki, więc gdy wieczorem kładliśmy się do łóżka, mieliśmy za sobą dzień, w którym nie rozstaliśmy się nawet na moment. Mieszkanie Yvana było znacznie mniejsze niż Christophera i wydawało mi się, że tworzymy parę, która ma mniejsze potrzeby; niezgoda wymagała jak gdyby większej przestrzeni.

Wkrótce Yvan zaczął mnie namawiać, żebym doprowadziła rozstanie z Christopherem do końca albo żebym mu przynajmniej powiedziała, że nie

mieszkam już w jego apartamencie, bo mój mąż na razie nawet o tym nie wiedział. Z początku Yvan się wahał, nie był pewien, czy ma do tego prawo — przebieg związku dwojga ludzi, na dobre czy na złe, zawsze da się opisać w kategoriach nabycia albo utraty jakichś praw — nasz romans jednak trwał, a odkąd zamieszkałam u Yvana, dał mi jasno do zrozumienia, że stawiam go w kłopotliwej sytuacji, on zaś chce tylko wiedzieć, na czym stoi.

Było to życzenie uzasadnione, zdawałam sobie z tego sprawę. Z czysto logistycznego punktu widzenia wydawało się niezwykle istotne, abym poinformowała Christophera, że się wyprowadziłam z jego mieszkania. Bo co będzie, jeśli pęknie jakaś rura, albo co z pocztą, której przybywa w skrzynce? Chodziło o proste sprawy natury praktycznej. Dlaczego więc wahałam się przed telefonem do męża, żeby powiedzieć mu coś, co raczej nie byłoby dla niego ciosem? Czy dlatego, że Christopher i Yvan wcześniej się znali? Czy raczej dlatego, że Christopher prosił, żebym nikomu nie mówiła o naszym rozstaniu, a ja się na to zgodziłam, chociaż przecież mieszkałam już z innym mężczyzną, w dodatku jego znajomym?

Z oczywistych względów musiałam ukrywać to niezdecydowanie przed Yvanem – mogło się bowiem okazać dla nas zgubne, tak jak dla tego małżeństwa, z którym byliśmy wtedy z Christopherem na kolacji. Powiedziałam, że poinformuję męża o wszystkim, chociaż nigdy nie uzgodniliśmy, co mu właściwie powiem. Yvan nie domagał się, bym poprosiła prosto z mostu o rozwód, wyczuwał może, że byłaby to z jego strony przesada, a poza tym to upokarzające zmuszać kobietę, aby prosiła męża o zakończenie związku; to raczej kobieta powinna zaproponować rozwód, by mogła zostać z mężczyzną, którego kocha.

Im dłużej jednak siedziałam w Gerolimenas, czekając na Christophera, tym bardziej traciłam ochotę na bezpośrednią konfrontację z nim. Nie

wątpiłam w prawdziwość swoich uczuć dla Yvana, ale całe to zagadnienie zaczęło mi przypominać raczej problem administracyjny niż miłosny, choć trudno jest przyznać się do czegoś takiego przed sobą, a tym bardziej przed niecierpliwym kochankiem. Niewykluczone, że była to kwestia mojego wieku: „Nie możesz powiedzieć, że robisz to z miłości, bo w twoich latach namiętność miłosna wygasa, a serce słucha rozumu”.

Rozum jednak podpowiadał mi, że nie mogę być żoną jednego mężczyzny i równocześnie żyć z drugim, w każdym razie niezbyt długo. „Serce słucha rozumu”. Zachowałabym się nieracjonalnie, jeśli pozostałabym niezdecydowana, nie będąc ani w małżeństwie, ani poza nim, czyli nie będąc ani z mężem, ani wolna. Im szybciej uda mi się wyplątać z tej sytuacji, tym lepiej, nie mogłam dłużej hołdować dwóm różnym i przeciwstawnym pragnieniom i przypomniałam sobie, że istnieją powody, dla których muszę odnaleźć Christophera, jeżeli nie dla jego, to dla własnego dobra.

A może przyjadę do ciebie? — spytał znowu Yvan.

To chyba nie jest najlepszy pomysł, odpowiedziałam.

Bałam się, że potraktuje moją odpowiedź jako zbyt agresywną, zbyt wrogą, nie chciałam lekceważyć jego niepokojów, chociaż właściwie nie chciałam też, żeby kwitły, bo to nie wyszłoby na dobre żadnemu z nas. Mówiłam dalej: To wszystko skomplikuje, nie chcę cię w tę sprawę mieszać, to byłoby nie w porządku wobec nas wszystkich, zanim jednak zdążyłam powiedzieć coś więcej, Yvan przerwał mi, mówiąc: Oczywiście, masz rację, tylko że tęsknię za tobą. Ja za tobą też, odpowiedziałam.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, opowiedziałam mu o hotelu i o tej dziewczynie, Marii; myśl, że Christopher mógł ją uwieść, wydała się Yvanowi niesłychanie zabawna, byłoby to, jak stwierdził, typowe dla mojego męża, człowieka zepsutego do szpiku kości, chociaż w pewnym

sensie można by uznać, że zachował się… „cool”, tak powiedział, wyraźnie usłyszałam cudzysłów po obu stronach tego wyrazu. Roześmialiśmy się oboje, była to miła chwila, jak gdybyśmy gawędzili o wspólnym znajomym, którego oboje lubimy, co pod pewnymi względami było zresztą prawdą.

Zanim się pożegnaliśmy, powiedziałam Yvanowi, że nie ma powodu do obaw, Christopher raczej nie sprzeciwi się mojej prośbie o rozwód; kiedy ostatnio rozmawialiśmy, sprawiał wrażenie zobojętniałego, właściwie przez cały czas chciał jak najszybciej skończyć, jak gdyby musiał zaraz dokądś jechać. Po raz pierwszy użyłam wtedy słowa „rozwód” i raczej odczułam, niż usłyszałam eksplozję radości Yvana. Sytuacja jest niezręczna, ale nic więcej, ciągnęłam; kiedy Christopher wróci, powiem, że chcę się z nim rozwieść, i będzie po wszystkim, a potem zostanie nam tylko wypełnienie papierów. W takim razie, odpowiedział Yvan, i usłyszałam, że stara się zachować niefrasobliwość w głosie, mam nadzieję, że wróci jak najszybciej.

# 4.

Później tego samego popołudnia skorzystałam z taksówki i pojechałam do miasteczka w głębi lądu. Wyobrażałam sobie, że Christopher w jakimś momencie zrobił to samo — bo ile można siedzieć na tarasie, nad basenem czy w czterech ścianach hotelowego pokoju, zanim przyjdzie nuda?

Powiedziałam Kostasowi, że chcę zwiedzić okolicę. Próbował mi wytłumaczyć, że nie ma tu czego oglądać. Odparłam, że to niemożliwe, bo wiejskie plenery wokół naszego hotelu rozciągają się na wiele mil. W końcu niechętnie wspomniał o pobliskim kościele z niegdyś imponującymi freskami, które ostatecznie zniszczyli członkowie miejscowej partii komunistycznej.

Uznałam, że brzmi to zadowalająco i ciekawie. Kostas natychmiast zaczął się wycofywać, przerzucając stos broszur i ulotek w poszukiwaniu jakiejś innej możliwości, która byłaby w stanie mnie skusić. Mógł mi polecić kilka wycieczek albo zarezerwować stolik w popularnej restauracji w miasteczku położonym dalej na wybrzeżu. Jest większe niż Gerolimenas, mają tam bary, a nawet klub nocny. Jeżeli natomiast zdecydowałabym się wynająć łódź, to niedaleko stąd leży wyspa z cudownymi plażami, które warto zobaczyć, szczerze ją poleca.

Odpowiedziałam, że wolę pojechać do tego kościoła, a do restauracji i na wyspę może wybiorę się innego dnia. Kostas nadal wydawał się wahać, więc dodałam, że chcę się tylko trochę przewietrzyć, zmienić otoczenie. Nie muszę oglądać niczego spektakularnego. W końcu wzruszył

ramionami, zadzwonił do miejscowej firmy taksówkowej i zamówił auto. Odłożył telefon i ostrzegł mnie raz jeszcze, że to żaden imponujący zabytek, tylko lokalny kościółek, maleńki i właściwie martwy, ludzie nie przyjeżdżają tutaj po to, żeby go oglądać. Przyjeżdżają dla morza, plaży, widoków…

Kiedy opuszczaliśmy Gerolimenas, zaczął siąpić deszcz. Zapytałam kierowcę, jak ma na imię, odparł, że Stefano. Spytałam, czy zna Kostasa i Marię. Powiedział, że tak, od dziecka. Razem dorastali. Szczególnie dobrze zna Marię — jest dla niego jak siostra. Zauważyłam, że to niewielkie miasteczko. Skinął głową. Wszyscy tu wszystkich znają, nikt nigdy stąd nie wyjeżdża. Chciałam się dowiedzieć, czy ludzie nie przeprowadzają się do dużych miast, na przykład do Aten. Pokręcił głową. W Atenach nie ma pracy, stopa bezrobocia jest najwyższa w historii.

Potem jechaliśmy w milczeniu. Okolica za oknami była poczerniała po pożarach. Wjechaliśmy w góry, oddalając się od wybrzeża. Miejscowa roślinność została zdziesiątkowana, zastąpiły ją kopce spalenizny, księżycowy krajobraz. Z ziemi wyrastały szeregi dziwnych pogorzeliskowych formacji. Gdzieniegdzie wciąż unosił się dym — ogień szalał tu jeszcze nawet siedem dni temu, poinformował mnie Stefano, dopiero ostatnio udało się go ugasić po długich tygodniach, a nawet miesiącach pożogi.

Spytałam, jak to się zaczęło, a kierowca odparł, że od podpalenia. Czekałam, aż powie coś więcej. Kłótnia między dwoma rolnikami, podobno o kradzież żywego inwentarza. Inwentarz błąka się wszędzie, dodał, skąd można wiedzieć, które zwierzę do kogo należy? To, że jakaś koza wchodzi na cudze pole, nie jest sprawą wymagającą pomsty. Ale ci rolnicy oczywiście nie myśleli, tylko zaczęli miotać na siebie szalone oskarżenia, najpierw jeden, potem drugi, a każda kolejna pretensja była

coraz bardziej horrendalna. Zaczęli nawet kraść sobie nawzajem zwierzęta, od kradzieży bydła został już tylko krok do przemocy, sytuacja nabrzmiewała, adwersarze wciągali w nią coraz więcej osób — najbliższą rodzinę, znajomych, potem dalszych krewnych i znajomych znajomych — aż w końcu cała okolica stanęła w płomieniach.

To absurd, stwierdził Stefano. Trudno było się z nim nie zgodzić, bo zaginiony inwentarz, kozę, krowę czy owcę, i otaczające nas zniszczenia dzieliła przepaść. Sprawa nie jest jednak taka prosta, tłumaczył mi dalej kierowca, to współczesny krwawy konflikt sąsiedzki, zwierzęta i pożary stanowiły jedynie ostatni przejaw sporu, odradzającego się każdego roku. Jak ziemia, powiedział, która odrodzi się znów po tych pożarach, z wiosną kłótnia odżyje, pójdzie o coś innego, choć w gruncie rzeczy powód jest zawsze ten sam, kłótnie i bijatyki mój kraj ma we krwi.

A zwłaszcza w Mani, Stefano twierdził bowiem, że ten region znany jest ze swojej niezwykle wojowniczej historii, jego mieszkańcy, Manioci, słynęli z umiłowania niezależności, chociaż nie bardzo wiadomo, po co o nią walczyli. Przecież tutaj nic nie ma, powiedział. Popatrz, widzisz — nie ma nic, tylko skały, cała okolica to kupa kamieni. Biliśmy się o niepodległość, a nasza ziemia i wszystko, czym możemy się pochwalić, to kamienie.

Skręcił w wąską, jednopasmową drogę; roślinność w tym miejscu nie została spalona doszczętnie, tylko jakby się nadtopiła, po obu stronach rosły obwisłe kaktusy, ich liście, przypominające ramiona, pochylały się do przodu i miały nadpalone brzegi. Wokół unosił się okropny smród. Ziemia gnije, powiedział Stefano. Cuchnęło tutaj tak przez całe lato. Przy brzegu, gdzie stał hotel, smród się rozwiewał, bo wiatr niósł go nad morze, ale w głębi lądu narastał dzień po dniu. Najgorzej było ponoć w środku lata,

kiedy temperatura bardzo się podniosła, a fetor stał się tak silny, że ledwo się dało oddychać.

Na horyzoncie pojawił się niewielki kamienny kościół. W pobliżu nie było nic, tylko spalona ziemia. Podjechaliśmy bliżej. W zwęglonej trawie przed świątynią walały się zgniecione i zardzewiałe puszki, a także inne, najróżniejsze odpadki. Kamienne ściany pokryte były bazgrołami graffiti — dużymi greckimi literami, które z trudem starałam się odczytać: lambda, phi, ypsilon; spośród języków obcych znałam tylko francuski i z niego tłumaczyłam. Na drewnianych drzwiach ktoś wyrył inne znaki, kościół znajdował się w opłakanym stanie, wyglądało na to, że nikt się nim nie zajmuje, trudno było sobie wyobrazić, że mogli zbierać się tu wierni. Stefano wyłączył silnik i wzruszył ramionami, miał nachmurzoną minę.

To nic wielkiego, nie ma tutaj nic, co warto by zobaczyć.

Ludzie przychodzą do tego kościoła na nabożeństwa?

O, tak, odparł. Wyglądał na lekko zaskoczonego. Oczywiście.

Otworzyłam drzwiczki samochodu. Padający ciągle kapuśniaczek natychmiast wchłaniała ziemia, która pomimo to pozostawała sucha. Stefano spytał, czy potrzebuję parasola, wydawało mu się, że ma jakiś w bagażniku. Odpowiedziałam, że sobie poradzę, deszczyk był ciepły i całkiem przyjemny. Wzruszył ramionami i wysiadł. Ruszyłam za nim w stronę podwójnych drzwi kościoła, które otworzył jednym szarpnięciem, bo najwyraźniej miejscowi niczego nie zamykali tu na klucz. Cofnął się i gestem wskazał mroczne wnętrze. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i oświadczył, że zaczeka na zewnątrz.

Włączyłam światło — pojedyncza żarówka zapaliła się z głośnym bzyczeniem. Rozjaśniła nawę tylko bardzo nieznacznie. Po chwili moje oczy przywykły do półmroku. Kościół był rzeczywiście skromny — kilka rzędów drewnianych ławek, prosty ołtarz i relikwiarz. Budowla pochodziła

z czasów bizantyjskich, prawdopodobnie z dwunastego albo trzynastego wieku, trzy z jej ścian zdobił duży fresk. Twarze postaci, które przedstawiał, zostały wymazane, co dało dziwny efekt, szereg ślepych świętych pozbawionych twarzy, a tę anonimowość nadała im równie anonimowa ręka.

Na ścianach w środku widniało więcej liter namalowanych farbą; chyba nie napisała ich ta sama osoba czy osoby, które oszpeciły zewnętrzne mury kościoła, farba miała inny kolor, bardziej wyblakły — chociaż oczywiście do środka nie docierało słońce — a chaotyczne znaki zostały jakoś inaczej ukształtowane. Stefano palił w progu. Zapytałam go, co znaczą te napisy. Starannie zgasił nogą papierosa, a potem pochylił się, by podnieść niedopałek.

Wszedł głębiej, szybko zrobiwszy znak krzyża, zanim przystanął przed freskiem. To z czasów wojny domowej. Podszedł bliżej i dotknął ściany. Komuniści oszpecili tych świętych — widzi pani, dosłownie wymazali im twarze, dodał z ponurym uśmiechem — i wypisali jakieś propagandowe komunistyczne głupoty. Nie widać wyraźnie wszystkich liter, część napisu jest zamazana, ale to znaczy: Zjednoczony Front Podziemia.

Wskazał szereg znaków, które w dużej części zostały zakryte. Zrozumiałam, że nie jest to pojedynczy napis, jak początkowo sądziłam, tylko dwa różne hasła, nakreślone przy dwóch różnych okazjach, przy czym pierwsze z nich zostało zamazane niedokładnie i zakryte tylko częściowo przez następne, późniejsze. Stefano poruszył palcami, wskazując drugi napis. Przyszło wojsko, zamalowało hasło komunistów i wypisało swoje: „Ateny to Grecja”. Ale jak pani widzi, zrobili to niechlujnie, dlatego ciągle widać część tego pierwszego, komunistycznego napisu, „Zje” i „…ziemia”, a jak się przeczyta to wszystko razem, wychodzi nonsens, kompletna bzdura: „Zje Ateny Grecja ziemia”.

Opowiadał dalej. Wydawało im się, że nie wystarczy namalować nowego hasła na starym, zaczęli też ryć swój slogan w kamieniu, ale nie skończyli. Spojrzałam na kamienną ścianę, rzeczywiście, komuś udało się wydrapać na niej parę liter — mierzyły zaledwie kilka cali wysokości, były o wiele mniejsze niż rozległy napis farbą niżej, namalowany bardziej swobodną ręką, ale w końcu wyryć napis w kamieniu jest o wiele trudniej — autor jednak nieoczekiwanie przerwał, jak gdyby ktoś mu przeszkodził albo jakby uznał, że mimo wszystko nie warto się nad tym trudzić.

To nadzwyczajne, powiedziałam do Stefana, jako dokument konfliktu. Wzruszył ramionami, kościół jest znacznie starszy niż ten spór polityczny, o wiele stuleci starszy, w każdym innym kraju już dawno by te napisy usunięto, znalazłyby się pieniądze na utrzymanie świątyni, na renowację, ale u nas?

Skinęłam głową. Odczekał chwilę, jak gdyby chciał się przekonać, czy nie mam więcej pytań. Potem się odwrócił i czmychnął na zewnątrz. Zostałam w środku tylko kilka minut dłużej, nie chciałam, żeby na mnie czekał, chociaż widziałam, że już zapalił następnego papierosa, więc pewnie by się ucieszył z przedłużenia postoju, ostatecznie licznik bił cały czas. W kościele było chłodno, wnętrze dawało wytchnienie od suchego upału. Stałam przed rzędem świętych bez twarzy, nigdy w życiu nie widziałam nic takiego. Kiedy wracaliśmy do samochodu, zapytałam, co jeszcze powinnam zobaczyć, bo resztę popołudnia mam wolną i chcę pozwiedzać trochę okolicę.

Może pani pojechać do Porto Sternes, to niedaleko, nieco w głąb półwyspu. Na plaży stoją tam bardzo ładne ruiny starego kościoła. A jaskinia w Porto Sternes to podobno wejście do Hadesu — turystom się podoba, chociaż to tylko jaskinia, bardzo przyjemna, nawet duża, ale tylko jaskinia. Odpowiedziałam, że w takim razie chyba sobie daruję tę

wycieczkę, chociaż interesują mnie takie zwykłe miejsca, związane z mitologią, które można odwiedzić, więc może, jeśli pobyt mi się przedłuży, to jeszcze tam pojadę.

Stefano zapytał: Co panią sprowadza do Mani? Było to rozsądne pytanie, na które nie przychodziła mi do głowy żadna dobra odpowiedź. Na urlop, dla relaksu, żeby mieć chwilę spokoju, bo zawsze chciałam odwiedzić Grecję. Milczałam, więc ciągnął dalej: Większość turystów, którzy przyjeżdżają do naszego miasteczka, nie opuszcza hotelu, najwyżej chodzą na plażę albo płyną na którąś z pobliskich wysp. Nigdy nie chcą zobaczyć niczego, co leży w głębi lądu.

A właśnie tam zmierzaliśmy, przejeżdżaliśmy przez jakieś miasteczko. Po obu stronach drogi stały małe, parterowe domki. Zbudowane z betonu, nie z kamienia, i pozbawione jakiegokolwiek uroku, więc faktycznie nie było tu za wiele do oglądania. Po ulicach włóczyły się psy, a przydomowe ogródki otaczały płoty z drutu kolczastego, który tu i ówdzie odwijał się ze słupków. Przed domkami stały plastikowe krzesła, wypaczone i pożółkłe od słońca. Miasteczko w niczym nie przypominało z gruntu malowniczego Gerolimenas. Ale Stefano, Maria i Kostas pochodzili właśnie stąd.

Kierowca wciąż obserwował mnie w lusterku wstecznym i powtórzył pytanie: Co panią sprowadza do Mani? Przez chwilę miałam ochotę odpowiedzieć mu szczerze — gdybym się komuś zwierzyła z tego, w jakiej znajduję się sytuacji, wyznałabym, jaki jest cel mojej wizyty i dlaczego nadal nie wiadomo, jak długo ona potrwa, zaznałabym może ulgi. Dlaczego nie powiedzieć o tym temu człowiekowi, właściwie przecież obcemu, komuś, kto może nie jest wyraźnie sympatyczny, ale nie jest też niemiły? Może na przykład wiózł gdzieś Christophera, może nawet wie, dokąd Christopher pojechał. Nie zwierzyłam mu się jednak. Powiedziałam

natomiast, nie bardzo nawet wiedząc, skąd przyszło mi to do głowy, że pracuję nad książką o historii żałobnictwa.

Te słowa zabrzmiały fałszywie, kiedy tylko je wymówiłam, trudno o kłamstwo łatwiejsze do przejrzenia. Gdyby Stefano poznał Christophera, wiedziałby, że to nieprawdziwe wytłumaczenie, było bowiem wyjątkowo mało prawdopodobne, żeby dwoje turystów pisało dwie różne książki o historii żałoby. Ale ku mojemu zdumieniu i uldze, to, co powiedziałam, nie wydało się taksówkarzowi specjalnie niewiarygodne, sprawiał wrażenie zaciekawionego, a nawet zadowolonego. Odpowiedział, że ludzie zwykle nie dlatego przyjeżdżają do Mani, ale to dobry powód, interesujący, i rozumie go o wiele lepiej niż turystów, którzy chodzą tu wyłącznie na plażę.

Zapytał, czy w takim razie przyjechałam zobaczyć płaczki. A ja odparłam: Tak, otóż to. Ale potem nie przychodziło mi do głowy już nic więcej, co mogłabym dorzucić. Na szczęście Stefano mówił dalej, spytał, czy kiedykolwiek słyszałam występ płaczek, powiedział, że jest to coś niezwykłego, bardzo pięknego i wzruszającego. Nie, odparłam. Nigdy nie słyszałam żadnej płaczki, tylko ich nagrania. Była to nieprawda i nie miałam pojęcia, dlaczego rozbudowywałam swoje bezsensowne kłamstwo, liczyłam jedynie, że kierowca nie poprosi, abym mu te nagrania opisała albo powiedziała, skąd je wzięłam, bo może płaczki nie pozwalały nagrywać swoich lamentów, a wtedy od razu by się domyślił, że nie mówię prawdy.

Chętnie zmieniłabym temat, Stefano był jednak zanadto rozentuzjazmowany, oświadczył, że szeroko podziwianą płaczką, jedną z najlepszych w regionie, jest jego stryjeczna babka. Czasami podróżowała daleko na uroczystości żałobne, a ludzie wynajmowali ją nawet wtedy, kiedy mogli skorzystać z miejscowej łzawicy. Szkoda, że nie ma teraz

żadnego pogrzebu, na który mogłabym pójść, ale niestety, w żadnej pobliskiej wiosce ani miasteczku nikt ostatnio nie umarł. Powiedział to bez cienia czarnego humoru, miał na myśli jedynie względy praktyczne. Za to gdybym przyjechała przed miesiącem! Wtedy w pożarach zginęło kilka osób i cała okolica rozbrzmiewała płaczem. Jego babka i jej przyjaciółka, z którą często razem występowała, jeździły z pogrzebu na pogrzeb, śpiewając przez całą drogę i głośno wylewając swoje żale — muzykę smutku.

Odpowiedziałam, że żałuję, że mnie to ominęło, choć moje słowa zabrzmiały idiotycznie, Stefano jednak jakby tego nie zauważył. To już zanikający zwyczaj, rzucił nieoczekiwanie. Przedstawicielki młodszego pokolenia nie chcą zostawać płaczkami, zresztą tego zawodu nie uprawia się w zbyt wielu miejscach poza Mani. Jego zdaniem to ogromna szkoda. Nie żebym był tradycjonalistą, powiedział. Ale w dzisiejszych czasach dziewczyny chcą być sławne, chcą występować w telewizji, ubierają się jak prostytutki, a potem dziwią się, kiedy ktoś im ubliża. Popadł w pełne zadumy milczenie, było jasne, że mówi o kimś konkretnym.

Ta twoja znajoma, Maria, chyba jednak taka nie jest, powiedziałam, sprawia wrażenie bardzo rozsądnej dziewczyny. Milczał przez chwilę — jego oblicze rozpromieniło się na myśl o tej młodej kobiecie, a potem znów zachmurzyło, najwyraźniej miał z nią jakiś problem. Tak, odpowiedział w końcu. Właściwie jest zbyt rozsądna, myśli bardzo praktycznie. To wielka zaleta, chociaż może sprawić, że czasem trudno się z nią dogadać. Wygląda na to, że raczej nie ma cierpliwości do idiotów, powiedziałam. Zgodził się ze mną. To z pewnością prawda, bywa niecierpliwa, to widać, nie ukrywa niczego, nie jest zdolna do obłudy — i w ustach taksówkarza zabrzmiało to dumnie, prawie jak przechwałka.

A czego taka dziewczyna chce, zapytałam, na co ma nadzieję? (Może jednak chce mojego męża?) Na co ma nadzieję, powtórzył Stefano. Wyjść za mąż, mieć dzieci, mieszkać w ładnym domu. W jego głosie słychać było irytację. To niemożliwe, żadna kobieta nie ma aż tak ograniczonej wyobraźni, Maria chyba nie jest tu wyjątkiem. Wydała mi się ambitna, nawet jeśli jej ambicja niekoniecznie oznaczała, że pragnie robić taneczne wygibasy w telewizji, i nawet jeśli tą ambicją było tylko uciec stąd w jakiś jeszcze nieokreślony sposób.

Pomyślałam, że Stefano musi o tym wiedzieć, bo miał nieszczęśliwą minę, kiedy to mówił. W tym momencie można było w nim czytać jak w otwartej książce. Sądziłam, że odczuję litość i żal — chociaż nie wiedziałam, co zaszło między Marią i Christopherem ani co ją łączy z moim kierowcą — zaczęłam się jednak utożsamiać ze Stefanem, brakowało mi właśnie tylko oczyszczającego dystansu, jakiego wymagają żal i litość. Powody owego utożsamienia — jeśli było to odpowiednie słowo — wydawały mi się jednak w najlepszym razie wątlutkie, nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego poza tym, że oboje, jak mogłam przypuszczać, zostaliśmy zdradzeni.

Niemniej było to tylko przypuszczenie, a zostaliśmy zdradzeni jedynie w pewnym sensie: nie mieliśmy żadnych praw do Christophera i Marii albo co najwyżej częściowe, niepełne. Stefano nie dysponował żadnymi prawami formalnymi, dźwigał jednak brzemię swoich uczuć; ja miałam prawa małżeńskie, lecz brakowało mi autorytetu miłości. Być może oboje mieliśmy prawo do oburzenia czy zazdrości, chociaż w istocie dysponowaliśmy jedynie prywatną studnią własnych emocji. Jeśli chodzi o mnie, pomyślałam, to moje uczucie stawało się coraz bardziej nieokreślone, bo życie z Christopherem zaczęło odsuwać się w przeszłość, a wszystko, czego dowiadywałam się o swoim mężu — tu jakiś szczegół

bez znaczenia z jego nowego życia, tam rewelacja z dawnego — stawało się dla mnie źródłem potencjalnej przykrości, wywoływało ukłucie większego lub mniejszego bólu, a czasami nawet obojętność. Był to proces rozplątywania życia dwojga ludzi, wiedziałam jednak, że strach i przykrości w końcu wygasną, a zastąpi je nieprzerwana obojętność, że kiedy przypadkiem spotkam Christophera na ulicy, poczuję się tak, jak gdybym oglądała swoje stare zdjęcie: wiemy, kto na nim jest, ale nie bardzo pamiętamy, jak to było być z tym kimś.

Co innego Stefano, który nie wiedział, czy jego uczucie też podda się takiej apatii, czy okaże się silniejsze i przetrwa. Czy poślubi w końcu jakąś inną dziewczynę — bo istniała inna dziewczyna, bez względu na to, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, i bez względu na to, czy uświadamiał sobie jej obecność; był przystojny, a przystojnego mężczyznę zawsze czeka inna dziewczyna — czy raczej wciąż będzie rozdmuchiwał żar dawnej miłości? Umiemy żyć w stanie permanentnego rozczarowania, wielu ludzi nie poślubia tych partnerów czy partnerek, których by chcieli poślubić, a tym bardziej nie prowadzi życia, na jakie mieli nadzieję, inni natomiast wymyślają sobie nowe marzenia, żeby zastąpić stare, i znaleźć nowe powody do niezadowolenia.

Patrzyłam na Stefana, który przygryzał wargę i wpatrywał się w drogę. Nie wydawał mi się jednym z takich poszukiwaczy niezadowolenia. Wiedział, kogo chce, i ten ktoś nie pozostawał wcale poza jego zasięgiem, chociaż przekonanie do swojej miłości osoby opornej wobec tego uczucia jest przedsięwzięciem ryzykownym, które rzadko się udaje. Niestety, trudno jest przekonać człowieka, że potrzebuje czegoś, co zdaje mu się zbędne.

Zdążyliśmy dojechać do hotelu, gdy znów zaczęło padać. Stefano zawahał się na moment, zanim wyłączył silnik, a potem zapytał, czy mam ochotę poznać jego babkę, tę płaczkę. Pospiesznie dodał, że nie będę mogła

wysłuchać jej lamentacji… Nie robi tego na zawołanie, powiedział, i wydało mi się to dość nielogiczne, bo sądziłam, że płaczka płacze właśnie na zamówienie. Będę mogła jednak z nią porozmawiać, stwierdził, zrobić z nią wywiad, „zrobić wywiad”, powtórzył, jak gdyby ten zwrot był mu dotąd nieznany.

Odparłam, że takie spotkanie byłoby dla mnie pożyteczne. Nie przychodziła mi do głowy żadna inna odpowiedź, która by brzmiała sensownie, podobno przyjechałam do Mani, aby zapoznać się z tutejszymi rytuałami żałobnymi, Christopher na moim miejscu przyklasnąłby propozycji Stefana bez wahania. Może ją zresztą przyjął — jeśli babka taksówkarza rzeczywiście jest taką sławną płaczką, to czy nie było więcej niż prawdopodobne, że mój mąż ją odszukał? Może nawet podzielił się z nią wynikami swoich badań terenowych i planami podróży, tajemnicą swojego aktualnego miejsca pobytu. Stefano popatrzył na zegarek, stwierdził, że babcia powinna być już w domu, że właśnie skończyła popołudniową drzemkę — jest leciwa, potrzebuje sjesty — i jeżeli mam czas, to możemy do niej pojechać i napić się razem kawy.

Odpowiedziałam, że brzmi to zachęcająco. Wyciągnął komórkę i wybił numer, gdy ja wciąż siedziałam na tylnej kanapie w aucie. Rozmowa trwała krótko, taksówkarz miał wesoły głos, pewnie był dobrym synem, człowiekiem, który dba o swoich rodziców. Wszystko w porządku, oznajmił, powiedziałem, że jest pani moją znajomą, babci będzie bardzo miło panią poznać. O książce możemy jej napomknąć później. Uruchomił silnik i dodał, że to niedaleko, zaledwie piętnaście kilometrów stąd. Jechaliśmy tą samą drogą, którą wróciliśmy, Stefano był rozmowny, to, że miał mi przedstawić swoją stryjeczną babkę, chyba mu sprawiało satysfakcję, ucieszył się, że zgodziłam się tam z nim pojechać. W jego zachowaniu było coś niemal fałszywego, znów się zastanawiałam, czy nie

woził Christophera, może nawet do swojej babki i może nawet powiedział mu to samo: „Będzie jej bardzo miło pana poznać, mieszka niedaleko stąd”.

Wkrótce dotarliśmy do innego miasteczka, uderzająco podobnego do tego, przez które niedawno przejeżdżaliśmy, nisko pochylone domki stały po obu stronach jednopasmowej drogi. Samochód zatrzymał się przed małym białym domem, na sznurze wisiało pranie, a przy drzwiach stały w wazonach plastikowe kwiaty; dom z zewnątrz wydał mi się zniszczony, chociaż zadbany. To moje wrażenie nie zmieniło się, kiedy wchodziliśmy po schodkach; Stefano zapukał do drzwi, a potem je otworzył — wydawał mi się teraz młodszy, wyglądał jak chłopiec wracający do domu ze szkoły — i zawołał babcię, która pojawiła się natychmiast.

Powitała nas z uśmiechem, po czym przepraszająco pokręciła głową, kiedy Stefano wyjaśnił, że nie zna angielskiego. Machnięciem ręki zaprosiła nas do kuchni, podsunęła mi krzesło i wciąż się uśmiechała, sprawiała wrażenie jak gdyby niestrudzenie pogodnej. Nescafé, zapytała — to zrozumiałam — więc skinęłam głową. Wkrótce wszyscy troje siedzieliśmy przy stoliku (nakrytym ceratą w kolorowe wiśnie i truskawki, krzykliwą, lecz łatwą w czyszczeniu) nad słabą i gorzką kawą rozpuszczalną.

Zapytałam, jak długo mieszka w tym miasteczku, a gdy Stefano przetłumaczył moje pytanie, odparła: Od urodzenia. Kierowca przetłumaczył jej odpowiedź na angielski. Kiwnęłam głową, rozmowa ciągnęła się w ten sposób dalej, każdy jej okruch wędrował tam i z powrotem przez Stefana, więc toczyła się wolniej, niż gdyby nie trzeba było jej tłumaczyć. Znacznie częściej bywałam na miejscu taksówkarza — to znaczy byłam tłumaczką pośredniczką i jako jedyna rozumiałam wszystko — ale okazało się, że taka zamiana miejsc mi nie przeszkadza, że w jakiś dziwny sposób odbiera mojej sytuacji niezręczność. Nie była to

właściwie rozmowa z nieznajomą, ani dla mnie, ani dla niej, bo w pewnym sensie babcia zwracała się nie do mnie, lecz do Stefana, przenosząc wzrok z niego na mnie i z powrotem.

Ja zaś patrzyłam na niego i jego stryjeczną babkę, szukając mało prawdopodobnych podobieństw rodzinnych między nimi, zmarszczek wokół oczu albo zarysu szczęki, i myślałam o Christopherze. O moim mężu, który przecież bez wątpienia mógł tu gościć zaledwie kilka dni wcześniej. Wydawało mi się, że wyczuwam jego obecność w kuchni, może siedział na tym samym krześle co ja, naprzeciwko tych samych ludzi, i patrzył na nich dokładnie tak, jak ja w tej chwili na nich. Nie wiedziałam jednak, co mógł o nich myśleć, nie potrafiłam odgadnąć, jakie pytania mógł im zadawać. Jak zawsze, wracałam do nieobecności, leżącej u źródła moich doświadczeń życiowych z Christopherem.

Niewiele brakowało, żebym zapytała tę kobietę, czy go nie poznała, czy był tu naprawdę, czy tylko w moich przypuszczeniach. Nie umiałam jednak znaleźć odpowiednich słów, nie wiedziałam, jak sformułować pytanie, i po chwili zapytałam babcię Stefana o pożary i o to, czy znała którąś ze stron sporu. Wybuchnęła śmiechem, trzęsąc się nieznacznie całym ciałem; była niska, ale nie drobna, wyglądała na nabitą w sobie, nosiła kwiecistą sukienkę, rysy miała jednak androginiczne, może z natury, a może ze względu na wiek. Ona zna tu wszystkich, powiedział Stefano. Ludzie, którzy stoją za tymi podpaleniami… Babcia twierdzi, że to byli chłopcy. Mężczyźni, ale chłopcy. Kiedy Stefano mówił, uśmiechnęła się i kiwała głową, jak gdyby doskonale znała angielski.

Zniżając głos i nachylając się ku mnie, taksówkarz zagadnął, czy ma ją zapytać o pracę płaczki. Byłam zaskoczona, prawie zapomniałam, po co tu przyjechaliśmy, zareagowałam jednak szybko: Od jak dawna jest pani płaczką? Było to głupie pytanie, natychmiast poczułam się zażenowana, nie

jestem pewna, ale wydało mi się, że Stefano zmierzył mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu, bo okazałam się chyba zbyt obcesowa. Christopher na pewno poradziłby sobie lepiej. Kierowca jednak szybko przetłumaczył zarówno moje pytanie, jak i odpowiedź starszej pani: Moja matka była płaczką, ciotka też, to rodzinny zawód, nie było wątpliwości, że ja także go będę wykonywać, kiedy już stało się jasne, że potrafię.

A kiedy zrozumiała pani, że potrafi?

Byłam wtedy jeszcze bardzo młoda. Jak powiedziałam, moja matka i ciotka też pracowały jako płaczki, śpiewały razem, pamiętam, że w dzieciństwie nieraz słyszałam, jak występowały na pogrzebach. Siadywałam wśród żałobników i patrzyłam, jak mama i ciocia zaczynają lamentować, otaczała je sława, występowały razem. Więc byłam młoda, kiedy zaczęłam próbować śpiewów żałobnych. I opanowałam tę sztukę, matka i ciotka najpierw nauczyły mnie śpiewać, a potem dawać upust smutkowi, który jest potrzebny do płaczu.

Nauczyły panią tego, kiedy była pani jeszcze dzieckiem?

Nawet dzieci wiedzą, co to jest smutek. Początkowo, gdy byłam już młodą kobietą, myślałam o różnych smutnych opowieściach, o żołnierzach, którzy ginęli na wojnie, i o ich żonach i dziewczynach, które czekały na nich nadaremnie. Z wiekiem mogłam wspominać swoich zmarłych, których utraciłam, i zrobiło mi się łatwiej: straciłam ojca, brata, potem męża, a w tym momencie mojego życia, w którym jestem teraz, nie brak mi inspiracji.

Więc myśli pani o stratach osobistych?

Tak. Pieśni żałobne jako takie to lament konwencjonalny, zawarte są w nich opowieści. Ale żeby naprawdę odczuwać te pieśni i wywołać emocje, jakich wymaga lament, muszę pomyśleć o czymś osobistym; jest mi trudno, jeśli żal pozostaje abstrakcyjny. To choćby jeden powód, dla

którego płaczka staje się lepsza z wiekiem, bo młodość nie jest bliżej obznajomiona ze śmiercią, nie zna straty, człowiek nie ma w sobie dość smutku, żeby płakać. Smutku trzeba nosić w sobie bardzo wiele, by móc płakać w cudzym, nie tylko w swoim imieniu.

Oczy jej rozbłysły, kiedy to mówiła, i uśmiechnęła się, jak gdyby żartowała. Potem odchrząknęła i spojrzała na Stefana, najwidoczniej czekając, aby zadał jej kolejne pytanie.

Myślisz, że twoja babcia zechciałaby dla mnie zaśpiewać?

Wyglądało na to, że Stefano się waha — powiedział mi już wcześniej, że to mało prawdopodobne — ale przetłumaczył moje słowa. Stara płaczka milczała, poprawiała fałdy sukni. Raz jeszcze odchrząknęła, a potem zaczęła śpiewać. Miała niski, gardłowy głos, z początku niemal niepewny, jak gdyby musiała przywyknąć do jego ciężaru, podniosła rękę, śpiewała w całej serii atonalnych rejestrów. Potem chyba odnalazła nić, której szukała, palcami wzniesionej dłoni obejmowała kciuk, co wyglądało tak, jakby próbowała rozciągnąć go w powietrzu.

Rozchodzący się po kuchni głos babci Stefana nie brzmiał pięknie. Był ciężki, równie ciężki i niezgrabny, jak głazy znaczące pejzaż Mani, jak sterta kamieni. Dźwięki jak gdyby wypadały z jej ust i toczyły się po pokoju, najpierw jeden, potem drugi, później trzeci. Nakładały się na siebie, wkrótce kuchnia była pełna ich dysonansów. Babcia taksówkarza śpiewała dalej, jej głos stawał się coraz donośniejszy, wszystkie przedmioty w pomieszczeniu wibrowały, odmieniając wnętrze, w którym siedzieliśmy. Zaczęła uderzać ręką o stół, zamknęła oczy, a potem rozkołysała się w przód i w tył, nadal wybijając dłonią rytm.

Podniosła głos o jedną lub dwie oktawy i wydała wysoki, zawodzący dźwięk, słuchałam jak zaczarowana, spostrzegłam, że przechyla głowę do tyłu, a pod jej bardzo nieznacznie podniesionymi powiekami gromadzą się

łzy. Przez dłuższą chwilę wisiały na dolnych rzęsach, po czym powoli spłynęły. Urwała na moment, by wziąć zdyszany oddech, a potem śpiewała dalej jak pogrążona w transie, teraz już z szeroko otwartymi oczami, wylewała z siebie żal, twarz miała mokrą od łez.

Spojrzałam na Stefana, chciałam, żeby umilkła — bo wyraźnie cierpiała, ale po co? W jednej chwili poczułam, jak daleko sięga moje oszustwo: nie piszę książki, nie badam rytuałów żałobnych i nie było nic, czego mogłabym się dowiedzieć ze smutku tej kobiety, w którego autentyczność nie wątpiłam. Mimo że było to przedstawienie, w zasadzie odegrane na zawołanie, mimo że cała ta sytuacja została sfabrykowana. Wtedy zrozumiałam, że dlatego jej płacono — nie ze względu na jej umiejętności wokalne, a nawet nie z uwagi na znaczną moc uczuciowej ekspresji, ale dlatego, że godziła się cierpieć w cudzym imieniu.

W końcu przestała, Stefano podał jej chusteczkę higieniczną, którą otarła łzy. Wypiła szklankę wody, unikając kontaktu wzrokowego ze mną; wydawało mi się — kiedy piła wodę i machnięciem ręki zbyła pełne troski zabiegi Stefana — że czuje się skrępowana, jak gdyby przyłapano ją na robieniu komuś awantury. Mnie również ogarnęło zakłopotanie i szybko wstałam. Bez przekonania pomachała mi na pożegnanie. Nie wiedziałam, jak zapytać kierowcę, czy nie zostawić jej trochę pieniędzy, więc położyłam po prostu kilka banknotów na stole przy drzwiach. Chyba strzeliłam gafę; zobaczyłam, jakim wzrokiem Stefano patrzy na te pieniądze, nic jednak nie powiedział. Nadal padało, kiedy wychodziliśmy, dlatego ruszyliśmy do auta szybkim krokiem, żeby jak najmniej zmoknąć.

W pokoju hotelowym usiadłam na łóżku. Okno było otwarte, chociaż padał deszcz, a wentylator pod sufitem wykonywał powolne, rytmiczne obroty. Byłam wyczerpana, popołudnie wykończyło mnie fizycznie. Oszustwo nie przyszło mi łatwo — podszywałam się pod Christophera,

a w każdym razie udawałam, że interesuję się Mani i jestem tu z tych samych powodów, co mój mąż, i to kłamstwo przywiodło mnie aż do domu babci Stefana i jej kuchni — tym bardziej że miałam poczucie kontaktu z fantomem Christophera, wydawało mi się, że siedział przy tym samym stole, a zapach jego obecności był tam jeszcze silniejszy niż w opuszczonym przez niego pokoju hotelowym.

Od mojego przyjazdu minęły trzy dni, a Christophera nadal nie było. Po raz pierwszy naszła mnie panika — a jeśli coś mu się stało? Muszę przyznać, że nie byłam pewna, jakie są moje obowiązki w takiej sytuacji, Christopher miał pełne prawo zniknąć, a ja właściwie nie miałam prawa go tropić. Czy jednak nie zniknął na zbyt długo bez słowa, czy w jego nieobecności nie było czegoś dziwnego i niepokojącego? Zadzwoniłam do recepcji i poprosiłam o spis hoteli w okolicznych miasteczkach; nie powiedziałam po co. Lista nie była długa, Kostas odezwał się do mnie już po pięciu minutach i podał mi nawet numery telefoniczne.

Od razu obdzwoniłam wszystkie hotele. Christopher nie mieszkał w żadnym z nich, chyba że zameldował się pod fałszywym nazwiskiem — chociaż nie rozumiałam, dlaczego miałby to robić, już sama taka myśl wydała mi się kretyńska — więc skończyłam rozmowy, nie mając żadnej pewności. Może powinnam była od razu zapytać Stefana, czy nie jeździł z Christopherem, czy nie wie, gdzie mój mąż zamierzał zbierać dokumentację, i czy przypadkiem nie zna kierowcy, którego wynajął, jeżeli to nie on go woził, nie było to niemożliwe. Po chwili zabrzęczał telefon. Dzwonił Kostas z pytaniem, czy czegoś jeszcze potrzebuję. Odpowiedziałam, że nie. Zawahał się, a potem oznajmił, że Christophera widziano wczoraj w Cape Tenaro, niedaleko Gerolimenas. Natychmiast odczułam ulgę, której miejsce zajęła zaraz irytacja — bo przez cały czas,

kiedy tu czekam, Christopher po prostu zwiedza sobie okolicę — i zapytałam Kostasa, czy wie, kiedy mój mąż wróci.

Odpowiedział, że nie, nikt z obsługi hotelowej z nim nie rozmawiał. Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się: Koleżanka Marii widziała go w towarzystwie jakiejś kobiety. Byłam zbyt zaskoczona, żeby zareagować. Jest bardzo przygnębiona, płacze, ciągnął Kostas, a ja przez chwilę nie wiedziałam, kogo ma na myśli. Przepraszam, powiedziałam. Kto płacze? Maria, odparł, ciągle płacze, to po prostu koszmar. Och, odpowiedziałam, a po chwili, nie wiem dlaczego, dorzuciłam: Przykro mi. Niech się pani nie martwi, odrzekł Kostas, wydawało mi się, że pogodnie, jak gdyby nie mówił nic ważnego. W końcu dojdzie do siebie. Ale może życzy pani sobie, żebym załatwił samochód? Chce pani pojechać do Cape Tenaro i dołączyć do męża?

Nie, odparłam. Twarz oblewał mi gorący rumieniec, nie miałam ochoty dłużej z nim rozmawiać i musiałam się powstrzymać, żeby się natychmiast nie rozłączyć. Kostas milczał, a potem powiedział: Oczywiście, i żebym dała mu znać, jeśli będzie mógł coś więcej dla mnie zrobić. Oświadczyłam, że zostanę jeszcze na jedną noc, ale nie dłużej, i że szukam na jutro samolotu do Londynu. Doskonale, odparł. Mam nadzieję, że przyjemnie się pani u nas mieszkało. Tak, przyznałam. Dziękuję, było bardzo miło. Zakończyłam połączenie, zadzwoniłam do Yvana i powiedziałam mu, że wracam do domu, a on odparł, że dobrze, nie zadawał żadnych pytań, powiedział tylko tyle: Dobrze, cieszę się.

# 5.

Poszłam nad morze, nie chciałam siedzieć dłużej w tym hotelu. Zostawiłam swoje rzeczy na plaży — wybrzeże było surowe, skaliste, na pewno nie przytulne, krajobraz okazał się bardziej niż malowniczy, przechodził jednak w ponurą, skrajną pustkę — i zdecydowałam się popływać. Było zimno, niemniej morze wyglądało spokojnie, więc wypłynęłam daleko, daleko poza boje i skraj klifu, aż do miejsca, w którym zatoka otwiera się na ocean.

Nie pływałam często, byłam jednak stosunkowo dobrą pływaczką. Chłód mnie orzeźwił, właśnie tego było mi trzeba; w zimnej wodzie nie dawało się myśleć. Zmęczyłam się, zatrzymałam i odpoczęłam, pływając w miejscu, zanim zaczęłam wracać, po pewnym czasie dostałam jednak zadyszki i nie udało mi się szybko odzyskać sił, więc położyłam się na plecach i wpatrywałam w niebo — miało kolor raczej biały niż niebieski, dlatego skalna ściana niezauważalnie stapiała się z otoczeniem — a potem, kiedy znowu przewróciłam się na brzuch, patrzyłam w siną wodę. Zamknęłam oczy, bo raziło mnie słońce, później zaś niechętnie zawróciłam i zaczęłam płynąć z powrotem do brzegu. Dotarłam dalej, niż zamierzałam, i nie wiedziałam, jak długo jestem w wodzie.

Było kilka spraw, które musiałam jeszcze załatwić przed odjazdem, już kilkakrotnie odkładanych, a nagle pilnych — bilet, pakowanie, telefon do Isabelli. Tym razem prawie nie odpoczywałam i kiedy moje stopy dotknęły dna — skalistego, więc skrzywiłam się z bólu i szybko podniosłam nogi — byłam wyczerpana i dyszałam ciężko.

Gdy wyszłam na brzeg, dwóch mężczyzn zaczęło coś do mnie wołać z nadbrzeża, tłumaczyła jakaś młoda kobieta: Mówią, że jest za zimno, o tej porze roku już nie powinno się pływać. Odparłam, że nic mi się nie stało, a oni pokręcili głowami, obserwowali mnie, myśleli, że trzeba będzie wzywać łódź ratunkową, okazałam się jednak dobrą pływaczką, wróciłam na brzeg bez problemu, zaimponowałam im. Widzieli, że zatrzymałam się tylko dwa razy, żeby unormować oddech, czyli prawie wcale nie odpoczywałam, to bardzo dobrze, jestem lepsza od nich. Wykrzyczałam podziękowania, a oni pomachali mi, po czym wrócili do rozmowy.

Ta pozbawiona znaczenia wymiana zdań podniosła mnie na duchu, pierwszy raz rozmawiałam w Gerolimenas z kimkolwiek poza obsługą hotelową, a nieznajomi okazali się życzliwsi, niż przypuszczałam. Wracając do hotelu, przypomniałam sobie pogardę Stefana dla turystów tłoczących się na plaży, nietrudno było sobie wyobrazić, co myślą o mnie mieszkańcy, należałam do tego rodzaju osób, którymi się tutaj pogardza. Bogata cudzoziemka — w każdym razie na to wyglądało, mieszkałam bowiem w dużym, luksusowym hotelu, nie w skromnym pensjonacie na drugim końcu głównej drogi, który prawie wcale nie przyciągał gości z zagranicy — pochodząca z miasta, turystka.

Turystka — czyli niemal z definicji ktoś, kto całkowicie ulega stereotypom, ma ograniczone zainteresowania, podziwia „ogorzałe” twarze i „rustykalne” maniery miejscowych; wizerunek absolutnie godny pogardy, lecz trudno go uniknąć. Z ich perspektywy też wydawałabym się sobie irytująca. Przez samą swoją obecność sprowadzałam ich dom do tła dla mojego wypoczynku, kraj tych ludzi stawał się „malowniczy”, „osobliwy” i „uroczy”, bo takie określenia pojawiały się na pocztówkach albo w folderach reklamowych. Jako turystka może gratulowałam sobie nawet dobrego gustu i umiejętności doświadczania tego uroku, na pewno tak

zachowałby się Christopher, nie znajdowałam się w Monako ani w Saint-Tropez, to rozkoszne prowincjonalne miasteczko wydawało się czymś bardziej wyrafinowanym, czymś zaskakującym.

Christopher na swobodzie w takim miejscu — mimo woli się roześmiałam, chociaż strasznie było wyobrazić sobie coś takiego. Połączenie jego uroku i chimerycznej sympatii, jego uporczywej niezdolności wyobrażenia sobie, jak naprawdę żyją inni ludzie — nic dziwnego, że wywoływał takie zamieszanie. Nagle ucieszyłam się, że przyjechałam do Mani, by poprosić go o rozwód. Gdy wyobrażałam sobie tę daleką podróż, liczyłam na to, że się pogodzimy, okazało się jednak, że Christopher włóczy się po okolicy i ugania za kolejnymi kobietami. Oczy na chwilę zrobiły mi się mokre od łez.

Dotarłam do hotelu i weszłam na górę po kamiennych schodach, prowadzących ze skarpy na taras. Pomyślałam z niejaką ulgą, że czeka mnie jeszcze tylko jeden obiad w tutejszej restauracji, zdecydowałam się już bowiem opuścić to miejsce, nie mogłam się doczekać, chciałam, żeby to się stało jak najszybciej. Zobaczyłam Marię i Stefana, stali w recepcji. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę ich razem, chociaż uparcie wyobrażałam sobie tych dwoje jako parę. Wydawali się pogrążeni w rozmowie, może nawet się kłócili.

Maria była ubrana po cywilnemu, miała na sobie niebieskie dżinsy i jakąś bluzkę, wcześniej nie widziałam jej w niczym innym niż w hotelowym uniformie i efekt był piorunujący. Zarówno ona, jak i Stefano zmienili się prawie nie do poznania; wyglądali wprawdzie tak jak zawsze, ale ich zachowanie nawet z większej odległości różniło się całkowicie od postawy, jaką przyjmowali w pracy, co wystarczyło, by stali się dla mnie obcy. W pracy byli uprzejmi, tak oficjalni, że niemal koturnowi, i przez cały czas zdawali sobie sprawę, że są pod obserwacją.

Tutaj też ich obserwowano — Kostas stał w recepcji, robił notatki w księdze meldunkowej i od czasu do czasu podnosił wzrok, aby obrzucić Marię i Stefana kwaśnym spojrzeniem. Pokręcił nawet głową, było oczywiste, że widzi ich razem nie po raz pierwszy, że już zachowywali się przy nim w ten sposób — ostatecznie znajdowali się w jej miejscu pracy, w recepcji hotelu. Mimo to nie sprawiali wrażenia skrępowanych, rozmawiali głośno, gestykulując, a niekiedy nawet pokrzykując na siebie.

Stałam przy wejściu. Kostas przyglądał się Marii i Stefanowi, a Maria i Stefano patrzyli po sobie, linie ich spojrzeń układały się niemal w figurę geometryczną. Byłam przewiązana w pasie ręcznikiem, włosy i kostium kąpielowy miałam jeszcze wilgotne — słońce nie świeciło dość mocno albo moja przechadzka nie trwała na tyle długo, żebym zdążyła wyschnąć, chociaż przynajmniej sandały nie pozostawiały już mokrych śladów na płytkach posadzki — i ogarnęło mnie skrępowanie, gdy otworzyłam drzwi i weszłam do recepcji, poczułam się jak intruz, idiotycznie i jakoś bez godności. Wycofałam się na taras i usiadłam na krześle; może niedługo wyjdą.

Obserwowałam ich dalej, kierowcę i recepcjonistkę. Wprawdzie w tej chwili nie można było mówić o nadmiarze czułości między nimi, nie stanowili jednak niedorzecznej pary, dobrze wyglądali razem, ładnie. Oboje mieli po swojej stronie młodość, a to już coś. Prawdę mówiąc, Stefano był przystojniejszy niż Christopher, który z wiekiem zaczął tracić urodę. Widząc ich w takiej sytuacji jak ta, nietrudno było sobie wyobrazić Marię i kierowcę w namiętnym uścisku, bo ich spór — jeśli był to spór, chociaż nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogło to być coś innego, symptomy wydawały się jednoznaczne — można było odczytać po prostu jako kłótnię kochanków.

A jednak nią nie był. Szybko się zorientowałam, że ich rozmowa ma w sobie coś dziwnego, że bliskość łącząca tych dwoje nie jest nieograniczona, że właściwie nie zachowują się jak ludzie, którzy ze sobą sypiają, sypiali ze sobą kiedyś albo nawet dopiero zamierzają sypiać. Nie słyszałam, co mówią, choć oczywiście nie rozmawiali po angielsku. W szklanych drzwiach odbijałam się nie tylko ja, lecz także morze i niebo za moimi plecami, jak również plątanina tarasowych krzeseł i stolików, co trochę przeszkadzało mi w obserwacji sceny rozgrywającej się w hotelu.

Byłam tak rozczarowana, jak gdybym oglądała film bez dźwięku, usta aktorów otwierały się i zamykały, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa. Chciałam usłyszeć, co mówią, mimo że wiedziałam, że ich nie zrozumiem, a poza tym cała ta sprawa nie powinna mnie ani trochę obchodzić. Wstałam, szarpnęłam drzwi, weszłam do recepcji i usiadłam na jednym z krzeseł dla gości. Obawiałam się, że to nieco ekscentryczne siedzieć w ręczniku i kostiumie na środku hotelu, spodziewałam się więc, że Maria i Stefano odwrócą się i spojrzą na mnie, że Kostas zapyta, w czym mi może pomóc i czy czegoś nie potrzebuję.

Żadne z nich jednak nie zareagowało, zachowywali się tak, jak gdybym nie istniała. Siedziałam zatem mimo woli jak urzeczona, było bowiem wielce prawdopodobne, że tych dwoje i ja mamy podobne problemy — na przykład nie mogłam opędzić się od myśli, że przyczynę ich konfliktu stanowi Christopher, i było to rozsądne przypuszczenie. Kostas poinformował mnie przecież, że Maria bardzo się zdenerwowała na wiadomość o tej drugiej kobiecie, że zalewała się łzami.

Powiedziała coś donośnie szorstkim głosem — tak jak można było się spodziewać, mówili po grecku, a żeby rozszyfrować temat ich rozmowy, mogłam kierować się tylko tonem i gestami obojga. Będąc w środku, miałam jednak lepsze pole do obserwacji. Maria mówiła dalej, kręcąc przy

tym głową. Raptownie podniosła wzrok i spojrzała Stefanowi prosto w oczy, jak gdyby rzucała mu wyzwanie. Pochyliłam się, wilgoć z mojego kostiumu wsiąkała w poduszkę, martwiłam się, że ją zaplamię. Czy woda zostawia plamy? Maria i Stefano wciąż nie zwracali na mnie uwagi, przez chwilę żałowałam, że nie usiadłam na krześle bliżej nich.

Cicho i natarczywie mówił teraz Stefano. Maria słuchała w nadąsanym milczeniu, odwracając oczy, powinien był wiedzieć, że nie należy prawić jej takich kazań, nie rozumiałam, co mówią, ale aż za dobrze znałam ten władczy ton, kierowca zachowywał się wobec niej protekcjonalnie i wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. Maria słuchała, nie przerywając, ciągle miała jednak naburmuszoną minę, wykrzywiła usta i nadal nie patrzyła w jego stronę.

Cokolwiek mówił, nie było to przyjemne dla dziewczyny. Przez jej twarz przebiegł skurcz, malujący na niej kolejne grymasy, nadzwyczaj szeroką gamę różnorodnych min, chociaż wszystkie były nieszczęśliwe. Maria nie wyglądała już atrakcyjnie, miała czerwone oczy i powieki napuchnięte od płaczu, co tylko dodawało ciężaru i tak ciężkim rysom. Nie wiedziałam, czy Stefano to widzi, wydawało się, że myśli w tej chwili o wszystkim, tylko nie o urodzie Marii, może nie był w stanie dostrzec tej zmiany. Wpatrywał się w dziewczynę z uwielbieniem, chociaż próbował zachować surowy wyraz twarzy — a w każdym razie tak mi się wydawało.

Mówił dalej, jak gdyby się bał, że jeżeli zamilknie choćby na chwilę, straci Marię ostatecznie. Od czasu do czasu gestykulował, by nadać swoim słowom większy nacisk, i pochylał się błagalnie w jej stronę. Nie odpowiadała. Nie zdobędzie jej, nie w ten sposób, nawet jeśli uda mu się ją przekonać — zastanawiałam się, jakich wyrafinowanych argumentów mógł używać, może było to coś, co miało związek z Christopherem (że to strata czasu, że Christopher jest zdradliwym łajdakiem, z czym nie mogłabym się

nie zgodzić), a może z czymś zupełnie innym, właściwie to nieważne, miałam pewność, że prawdziwym celem całej tej rozmowy jest przekonać dziewczynę, żeby kochała go tak, jak on ją.

Jak gdyby wyczuwając, że mu się nie uda, zniecierpliwiony Stefano cofnął się, nachmurzył i zrobił drobny, ale wyraźny, a nawet gwałtowny gest wyrażający złość. Niekoniecznie na Marię, była to jednak złość, może na Christophera, a może na całą tę sytuację albo na siebie samego. Kostas podniósł na mnie wzrok ze swojej grzędy w recepcji. Przez chwilę odwzajemniałam jego spojrzenie, po czym odwróciłam oczy.

Maria wydała nagły okrzyk bez słów. Zarówno Kostas — który wciąż mi się przyglądał — jak i ja obróciliśmy głowy, żeby na nią popatrzeć. Stała z zesztywniałymi ramionami i wzrokiem wbitym w Stefana. Jej twarz, ziemista, pusta i bez wyrazu, wydawała się niepokojąca. Zazwyczaj była przesadnie ekspresyjna, wyrażała różne emocje nawet wbrew woli Marii, nawet kiedy nie było czego wyrażać. Teraz, chociaż jej oblicze pozostało okrągłe, wyglądało jak wydrenowane, zapadnięte w sobie. Stefano się odwrócił, nadal coś mówił, mruczał do siebie, nie chciał jednak patrzeć na Marię, postąpił krok w stronę drzwi, a potem się zatrzymał, nie tak łatwo przychodziło mu ją zostawić.

Wtedy odezwała się Maria, a to, co powiedziała, brzmiało szorstko i chrapliwie. Kostas za ladą recepcji gwizdnął przeciągle. Twarz Stefana — nadal stał tyłem do Marii — powoli powlekła się ciemną, wzburzoną czerwienią. Podniósł rękę, jak gdyby chciał spoliczkować kogoś, kto stał przed nim, ale oczywiście nikogo tam nie było, odwrócił się do dziewczyny — i tym razem jego złość na pewno kierowała się przeciwko niej. Kierowca trząsł się cały, a twarz pokrywały mu czerwone cętki, jakby miał problemy z oddychaniem.

Maria w jakiś sposób go upokorzyła i wtedy się zorientowałam, że Stefano zdaje sobie sprawę z mojej obecności w recepcji, chociaż nie dał żadnego znaku, że mnie widzi, to było oczywiste. Zrozumiałam także, że dziewczyna też wie, że jestem tutaj i że ich obserwuję, i wykorzystała ten fakt, by jeszcze bardziej upokorzyć Stefana. Dostałam gęsiej skórki, znowu poczułam się nieswojo. Poduszka na krześle była już kompletnie przemoczona, wiedziałam, że kiedy wstanę, pojawi się tam wielka plama. Kostas wciąż im się przyglądał niczym asystent komentatora na jakichś zawodach sportowych, a minę miał jowialną i zatroskaną zarazem.

Stefano najwyraźniej szybko odzyskał panowanie nad sobą, w każdym razie do pewnego stopnia; opuścił rękę. Twarz jednak nadal miał nabiegłą krwią i nie do końca kontrolował emocje, zdradzała go fizjonomia. Ewidentnie był jednym z wielu ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, zdolnych do przemocy. Odwróciłam głowę, by spojrzeć na Marię, spodziewałam się, że może okaże strach — mężczyzna tłumiący swoje uczucia i ledwo zdolny ukryć wściekłość na pewno nie stanowił miłego widoku i nic by tu nie pomogło to, że dziewczyna go nie kochała, że już nim gardziła — nie wydawała się jednak w żaden sposób spłoszona, stała tylko z rękami opuszczonymi po bokach.

Po chwili powtórzyła to, co powiedziała, a w każdym razie tak mi się wydawało, bo jej słowa zabrzmiały niemal identycznie jak przedtem, chociaż towarzyszyła im teraz całkowicie inna intonacja i gdyby nie kamienny wyraz jej twarzy oraz sztywna postawa, mogłabym przysiąc, że błaga o coś kierowcę. I rzeczywiście, jego mięśnie jakby się rozluźniły, trochę odwrócił głowę, jak gdyby na nowo nad czymś się zastanawiał. Tak — zaczął się odwracać, twarz miał pełną nadziei, był naprawdę niewolnikiem Marii, nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny równie oczarowanego przez kobietę, i to przy tak nieznacznym wysiłku z jej strony.

Przypatrywała mu się, na chwilę zmarszczyła brwi; był to jeden z problemów, którym kobieta musi czasem stawić czoło, zresztą nie tylko kobieta, w ogóle każdy człowiek — jednego mężczyznę udało jej się urzec bez wysiłku, mężczyznę niepożądanego, który biega za nią jak pies, nieważne, jak często bity albo wyzywany, gdy tymczasem wszystkie jej starania, aby przywabić, a następnie usidlić drugiego, którego rzeczywiście pragnie, spełzają na niczym. Urok nie działa na wszystkich, pożądanie często bywa nieodwzajemnione, po czym narasta, znajduje ujście w niewłaściwych miejscach i powoli staje się toksyczne.

Grymas na jej twarzy coraz bardziej się zmieniał, szyderczy uśmieszek kierowała już nie do Stefana, ale do siebie samej, najwidoczniej uświadamiała sobie ironię sytuacji. Nie zauważyłam, żeby ich nastroje albo postawy się zmieniły, wyraz twarzy dziewczyny nie dawał mu wiele nadziei. Mimo wszystko kierowca pochylił się i objął Marię, używając obu rąk, by ją przyciągnąć do siebie. I chociaż nie wyglądało na to, żeby zmiękła, nie odsunęła się. Efekt tego kontaktu stanowił uścisk, który nie mógł zadowolić Stefana; nie był nieprzyjazny, ale z pewnością nie miał też erotycznego ani romantycznego charakteru, Maria po prostu bez sprzeciwu ścierpiała jego dotyk.

Mimo wszystko stało się dla mnie jasne, że chociaż go nie kocha, nie chce pozwolić mu odejść. Cokolwiek było między nimi, chciała w to dalej grać, chowając asa w rękawie, bo każda, a w każdym razie każda rozsądna kobieta potrzebuje wsparcia. Maria nie była głupia, Stefano miał rację, myślała praktycznie, i chociaż stała w ramionach kierowcy sztywna niczym trup, nie odepchnęła go w zdecydowany sposób, wszystko pozostawało kwestią interpretacji. Być może zastanawiała się nawet nad przyszłością z tym mężczyzną. Z jednej strony były bezpieczeństwo i miłość, może dzieci, z drugiej — studnia jego pożądania, które należałoby zaspokoić.

Z czasem coraz bardziej dusiłaby się w tym związku — z czasem obejmującym całe wspólne życie, polegające na tym, że unikałaby jego dotyku albo nim gardziła. Na pewno kazałby jej zapłacić za tę awersję, za innych mężczyzn, których wolałaby kochać.

Jakże ona gardziła tym człowiekiem, trzymającym ją w ramionach! A przecież na świecie znalazłoby się mnóstwo kobiet, które byłyby więcej niż zachwycone, mogąc kochać tego taksówkarza — był przystojny i niepozbawiony uroku, poza tym najwyraźniej umiał też dochować wierności. Oczywiście, istniał problem jego wybuchowej natury, kobiety jednak zaskakująco potrafią się godzić z takimi rzeczami, a przy tym zachowywać optymizm, można byłoby żyć w nadziei, że jego temperament złagodnieje, zwłaszcza jeśli Stefano będzie kochany z wzajemnością, czego nie dało się wykluczyć. Tak, byłoby lepiej, gdyby Maria pozwoliła mu odejść — gdyby mu powiedziała, że nigdy go nie pokocha, że nie widzi dla nich przyszłości.

Zauważyłam jednak, to było jasne, że nie ma zamiaru tego zrobić. Widziałam, jak powoli podnosi rękę i gładzi kierowcę po plecach, jakby pieszczotliwie. Niemniej ten całkowicie nieszczery gest był kłamstwem, widziałam twarz Marii, rozdźwięk pomiędzy kamiennym wyrazem jej twarzy i łagodnym, intymnym ruchem palców sprawiał niepokojące wrażenie, dłoń dziewczyny wydawała się żyć własnym życiem jak w jakimś filmowym horrorze. Ale Stefano, który nie mógł widzieć tego, co ja, wziął ten gest za dobrą monetę, a jego skutek był natychmiastowy. Twarz taksówkarza rozświetliła ogromna nadzieja. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Marię po głowie, zawahał się jednak, nie chcąc kusić losu. Dziewczyna odsunęła się natychmiast, jej mina zdawała się mówić: dosyć tego.

Stefano był oczywiście rozczarowany, lecz nadal zadowolony, sytuacja ma się jednak lepiej, niż myślał, wbrew swoim obawom nie stoi na straconej pozycji. Maria wciąż wydawała się zdegustowana, ale przynajmniej nie płakała, nie krzyczała ani nawet nie patrzyła na niego gniewnie, wyglądała po prostu tak, jak gdyby chciała się go pozbyć, miała coś do zrobienia, zmitrężyła już dość czasu na tę rozmowę. Błyskawicznie przeistoczyła się w zajętą kobietę pracy, spojrzała nawet na zegarek i zmarszczyła brwi, straciła poczucie czasu, było o wiele później, niż sądziła.

Powiedziała coś do Stefana — gwałtownie, może było to opryskliwe pożegnanie — a on skinął głową i się cofnął. Otworzyła drzwi do pokoju dla personelu, prawdopodobnie nadszedł początek jej zmiany, musiała się przebrać w służbowy uniform, przeczesać, zebrać myśli. Po chwili jednak odwróciła się i popatrzyła, ale nie na Stefana, tylko na mnie. Jej spojrzenie było bezpośrednie i jednoznaczne, zrobiło na mnie niesamowite wrażenie — jak gdyby aktor, którego oglądaliście w telewizji, nagle zwrócił się wprost do was, widzów. Zmieszałam się, Maria zimno skinęła mi głową, być może musiała w ten sposób skwitować moją obecność — obie wiedziałyśmy, że ona wie, że widziałam tę scenę ze Stefanem. Przyjęłam to spojrzenie z podziwem, ja w jej sytuacji nie zdobyłabym się na coś takiego, niewątpliwie na swój sposób była niebezpieczna.

Zamknęły się za nią drzwi. Rozejrzałam się w poszukiwaniu kierowcy i ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam, że idzie w moją stronę. Szybkim ruchem wyciągnęłam telefon i zaczęłam się w niego wpatrywać, jak gdybym pisała e-maila albo odczytywała esemesy — był to głupi i daremny wykręt, nikt by się na to nie nabrał. Nie wiedziałam jednak, co innego mogłabym zrobić, więc siedziałam na krześle i czekałam, aż podejdzie, co

dokonało się zaskakująco szybko. Już po chwili stał przede mną, miał przyjemny wyraz twarzy, nieco bojaźliwy i kompletnie niepociągający.

Odezwał się i jego głos zabrzmiał niepewnie, pod żadnym względem nie przywodząc na myśl rozwścieczonego mężczyzny, namiętnego kochanka, którego widziałam zaledwie kilka chwil wcześniej. Mówił po angielsku i chociaż doskonale znał ten język, oczywiście brakowało mu płynności, z jaką posługiwał się greką. Słuchając go, zdałam sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których wydawał mi się teraz bardziej pociągający i męski, nawet kiedy bezskutecznie zalecał się do Marii, była jego sprawność językowa. Pomimo wyjątkowo denerwującej sytuacji płynność mowy pozwalała mu zachować większą asertywność niż wtedy, kiedy był zmuszony posługiwać się angielskim.

Szukałem pani, powiedział.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem, słuchałam raczej tego, jak niż co mówi, nie mogłam jednak zignorować treści jego słów, ich bezpośredniego charakteru i bezceremonialnego, beznamiętnego tonu. To, co powiedział, było oczywistą nieprawdą, przyszedł do hotelu w poszukiwaniu Marii, bo chciał ją pocieszyć (zdenerwowała się na wieść, że Christophera widziano z inną kobietą) albo się z nią pokłócić (dlaczego aż tak się tym denerwuje?). Patrzyłam na niego dalej tępym wzrokiem, nie odpowiadając, nie potrafiłam sobie wyobrazić, co miałby mi do powiedzenia ani po co skłamał.

Chciałaby pani zjeść dzisiaj kolację z moją babcią?

Zawahałam się, nie rozumiałam, dlaczego babcia Stefana miałaby chcieć znowu się ze mną zobaczyć. Milczałam, więc ciągnął dalej.

Mogę panią do niej zawieźć.

W jego głosie dała się słyszeć nadzieja. Zaproszenie brzmiało autentycznie, prawdopodobnie wynikało ze zwykłej gościnności —

zastanawiałam się, czy po spędzonym razem dniu przestałam być dla niego po prostu klientką, w czym jakoś mi pomogło (zapożyczone od Christophera) zainteresowanie tradycją regionu. Wyglądało na to, że teraz Stefano czuje się w obowiązku pomóc mi w wypełnieniu misji, choć była zarówno kiepsko pomyślana, jak i marnie wyartykułowana, i jeżeli zacząłby w niej dłubać chociaż trochę głębiej, to mój kamuflaż okazałby się zupełnie bezużyteczny, bo na rytuałach żałobnych nie znałam się nic a nic.

Przyznaję, że odczułam ukłucie bólu — powinnam odmówić, powiedzieć mu, że to niemożliwe, że właśnie miałam pójść na górę i zarezerwować miejsce w samolocie do Londynu, bo przed chwilą sprawdzałam rozkład lotów w telefonie. Nie miałam powodu czuć się winna, ale na ogół nie lubiłam sprawiać ludziom zawodu, nawet, a może zwłaszcza tym, których nie znałam. Starałam się unikać takich kontaktów, lecz zazwyczaj udawało mi się tylko opóźnić to, co od początku było wyraźnie nieuniknione — czy właśnie nie dlatego w ogóle wylądowałam w Gerolimenas? Nie, jeśli macie sprawić komuś zawód, najlepiej jest to zrobić jak najszybciej.

Jedyny problem, powiedziałam, polega na tym, że lada moment wyjeżdżam. Nastąpiła zmiana planów, nie muszę już tu dłużej siedzieć.

Nie zaczeka pani na powrót męża?

O ile pamiętałam, nie mówiłam Stefanowi, że jestem mężatką, a tym bardziej że czekam tu na męża — jego pytanie nie było może aż tak zaskakujące, wiedział o tym zapewne cały hotel (obsłudze o Christopherze mogła powiedzieć Maria, a jeżeli nie ona, to Kostas). Kierowca jednak zrobił nagle zakłopotaną minę, jak gdyby te słowa wymknęły mu się przypadkiem, wiedział, że złamał zasady, milczące porozumienie, na którym opierają się kontakty międzyludzkie i na którego mocy udajemy, że nie wiemy o czymś, o czym mimo wszystko wiemy.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze w naszych czasach, pomyślałam, patrząc, jak Stefano czerwieni się coraz bardziej, w epoce wyszukiwarki Google’a i portali społecznościowych, bo w jakim stopniu nasze zachowanie determinują dzisiaj informacje, które wypieramy ze świadomości? Internet zresztą nie jest do tego potrzebny, wystarczy seksualna przyzwoitość albo nieprzyzwoitość. Koleżanka opowiadała mi kiedyś o randce z pewnym facetem, którym była zainteresowana, muzykiem — i powiedziała mi wprost, że uważała go za bardzo pociągającego seksualnie.

Umówili się na kolację w restauracji, której nie znała. Oboje mieszkali w modnej dzielnicy zachodniego Londynu, często opisywanej w czasopismach, dodatkach prasowych i blogach, więc zaproponować jej tam restaurację, o której nie słyszała, to było nie byle co. Miała poważny problem, bo nie wiedziała, w co się ubrać, a normalne w takich wypadkach zamieszanie związane z wyborem ciuchów na pierwszą randkę — z jednej strony chcemy się wydawać atrakcyjne, a z drugiej powstaje pytanie, czy mamy ochotę, żeby dało się dostrzec włożony w to wysiłek — zrobiło się jeszcze większe w związku z tym, że moja koleżanka nie znała tej knajpy i nie wiedziała, czy panuje tam niezobowiązująca, czy też raczej formalna atmosfera, i czy nie jest to miejsce, w którym od mężczyzn oczekuje się, że będą w marynarkach.

W końcu postanowiła poszukać restauracji w Internecie, skąd dowiedziała się, że jest to „ulubiony lokal okolicznych mieszkańców tej modnej dzielnicy Londynu”, menu jest „spektakularne”, a atmosfera „przytulna i romantyczna”. Ten opis tylko zwiększył jej niepokój — jak to możliwe, że nie zna tego miejsca? Co to znaczy, że ona o nim nie wie, a on tak? Zapewne nic, jak mi powiedziała przez telefon, zdenerwowana, kiedy

zadzwoniła z informacją, że idzie w zielonej sukience i czarnych butach z cholewką za kostki.

Z początku nie mogłam sobie przypomnieć ani tej sukienki, ani butów, więc odpowiedziałam, żeby przysłała mi zdjęcie; sfotografowała się w wielkim lustrze w łazience — trzymała rękę na biodrze, stojąc w poniekąd uwodzicielskiej pozie, chociaż obcięła kadr w okolicach szyi, a ściślej mówiąc, podbródka, więc nie było widać jej twarzy. Nie miałam pojęcia, dlaczego zrobiła taką fotografię, efekt był cokolwiek przerażający, ale strój wydał mi się dobry, więc wysłałam jej esemes z wyrazami uznania. Baw się dobrze, dodałam chyba, chociaż po tym bezgłowym zdjęciu powinnam była się domyślić, że randka się raczej nie uda.

Restauracja była kameralna, stało w niej najwyżej dziesięć stolików. Kiedy moja znajoma dotarła na miejsce, stwierdziła, że jest to pod wieloma względami idealny lokal na pierwszą niezobowiązującą randkę — ciemna farba na ścianach, świece i polne kwiaty na stołach, a dania dnia wypisane kredą na tablicy reklamowej, co nie wyglądało snobistycznie ani szpanersko. Nie mogła uwierzyć, że nigdy wcześniej tu nie była, i pomyślała, że nawet jeśli nic nie wyjdzie z randki, to przynajmniej pozna nowe miejsce.

Okazało się jednak, że randka wypadła dobrze. I to do tego stopnia, że kiedy muzyk i moja koleżanka wyszli z restauracji, postanowili się przejść, bo jak na tę porę roku była wyjątkowo ciepła noc. Chodzili bez celu, na zewnątrz wciąż było jasno, a oboje mieszkali w okolicy. Ale kiedy zapuścili się dalej, na Portobello Road, a potem aż na Golborne Road, moja znajoma znowu zaczęła się denerwować, zrobiło się późno i ciemno, a chociaż facet trzymał ją pod rękę, kiedy przechodzili przez ulicę, nie doszło między nimi do innych form kontaktu fizycznego, więc może, mimo wszystko, wcale nie był nią za bardzo zainteresowany.

Znajdowała się już na krawędzi rozpaczy, kiedy mężczyzna nagle się zatrzymał i wskazując palcem domek z werandą, przed którym właśnie stali, powiedział: To mój. Znieruchomiała, była tak zdenerwowana, że prawie zapomniała języka w gębie. Muzyk ciągnął dalej: Może wejdziesz na kawę? Moja koleżanka od razu zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie zaprosił jej na drinka, było po jedenastej, więc kawa wydawała się dziwną propozycją, nawet nieco dwuznaczną, za to alkohol jest w takich sytuacjach oczywisty, bo każdy wie, o co chodzi, kiedy kobieta albo mężczyzna mówi: Może wejdziesz do mnie na drinka?

Ponieważ nie odpowiadała, facet uśmiechnął się i powtórzył pytanie: Może wejdziesz na kawę? Tym razem nachylił się do niej z uśmiechem — jak jej się wydawało, prowokującym — więc poczuła, że nie ma już dwuznaczności, kawa czy alkohol, co za różnica, i wypaliła: Nie, nie mogę, mam okres.

Sama się zdziwiła, że powiedziała coś takiego, przypomniała sobie, że zanim wyszła z domu, przyszło jej do głowy, że chociaż nie jest to idealna wymówka, to przynajmniej oznacza, że nie wskoczy od razu facetowi do łóżka, wszystko w ten sposób rujnując. Muzyk cofnął się jednak, na jego twarzy odmalowało się coś pomiędzy rozbawieniem i wstrętem, jak gdyby chciał powiedzieć: Ale ja po prostu zapytałem, czy chcesz się napić kawy, nie pytałem o to, w jakim stanie znajduje się twoja macica ani czy twoja wagina jest aktualnie dostępna. Tak czy owak, odpowiedział tylko: W takim razie dobranoc, po czym dwukrotnie pocałował ją grzecznie w oba policzki — moja znajoma jak sparaliżowana pozwoliła mu na formalny i oficjalny uścisk — i zniknął w domku z werandą, zamykając za sobą drzwi z głośnym trzaskiem zasuwki.

Nie zdziwiła się, że więcej do niej nie zadzwonił. Opowiadając mi tę historię, stwierdziła, że najbardziej żałowała, że już nigdy nie pójdzie do tej

cudownej restauracji, położonej zaledwie dziesięć minut spacerem od jej mieszkania. A co z tym mężczyzną, przystojnym muzykiem? Nie mogła do niego zatelefonować, obrócić wszystkiego w żart? Przecież najpierw dobrze się dogadywali, zaprosił ją do siebie, przypadli sobie do gustu. A ona po prostu odniosła się otwarcie do kart, które, jak oboje dobrze wiedzieli, leżały na stole, bo co innego zakłada tego rodzaju zaproszenie o tej godzinie, jeśli nie stosunek płciowy? Gwałtownie pokręciła głową, nie, nigdy. Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze. Poza tym, dodała, ja już go nie pożądam. Ten związek jest niemożliwy.

Stefano wciąż stał przede mną. Zdradził się z tym, że udaje, że nie wie tego, co ja wiedziałam, że on wie, szybko się jednak opanował. Jego zachowanie — wydawał się teraz mówić: skończmy już z tymi kłamstwami, wiem, że pani wie, że ja wiem, albo coś w tym rodzaju — utrudniło mi odpowiedź, a nawet reakcję na taką niestosowność. Z opóźnieniem zorientowałam się, że przez cały czas musiał zdawać sobie sprawę, że moja rzekoma dokumentacja to tylko wyjątkowo łatwa do przejrzenia zasłona dymna, i wiedział od początku, że przyjechałam do Mani, by znaleźć Christophera.

Może woził mojego męża i domyślił się, co nas łączy, już w momencie gdy wsiadłam do jego samochodu. A może poinformowała go o tym Maria, chociaż nie wiedziała wszystkiego o Christopherze, na przykład tego, że mój nieobecny małżonek miał wkrótce zostać rozwodnikiem. Czy byłoby jej lżej na sercu, gdyby o tym wiedziała? Czy miałaby nadzieję, gdyby wiedziała, że przyjechałam do Gerolimenas, żeby go poprosić o rozwód, i że wypuszczam tego mężczyznę, z natury flirciarza, na wolność? Czy dzięki temu wyobrażałaby sobie swoją przyszłość, małżeństwo, wspólne życie z Christopherem? Ostatecznie wyobraźnia nic nas nie kosztuje, to życie jest trudniejsze.

Zauważyłam, że Stefano jest poruszony, już nie dlatego, że się wygadał, tylko dlatego, że ogłosiłam swój wyjazd, który właśnie sprowokował go do tej drobnej niedyskrecji, najważniejszy zrobił się właśnie mój wyjazd. Kierowca wydawał się skonsternowany i być może sam fakt, że istnieję — żona to nie byle co, a ja nie byłam wcale pojęciem abstrakcyjnym, lecz materialnym konkretem, mieszkałam w hotelu, którego prawie nie opuszczałam przez trzy ostatnie dni, moja obecność na pewno stanowiła dla Marii źródło zakłopotania — czyniło jego argumentację bardziej przekonującą, bo ostatecznie absurdem było uganiać się za mężczyzną, który nie tylko cię rzucił, ale w dodatku, na co wszystko wskazywało, szuka go żona.

Czy Maria nabierze nadziei, zinterpretuje mój wyjazd w ten sposób, że ustępuję jej pola? Choć może w końcowym rozrachunku nie jej, tylko tej kobiecie z Cape Tenaro albo jakiejś innej, bo zawsze będzie jakaś inna kobieta, szczególnie przy takim mężczyźnie jak Christopher. Czy dlatego Stefano tak bardzo chciał, żebym została? Oczywiście zakładając, że powodem ich konfliktu był Christopher. Stefano mówił dalej: Ale nie powinna pani wyjeżdżać, w okolicy zostało jeszcze bardzo dużo do zobaczenia, mogę pani pokazać, jest wiele łatwo dostępnych atrakcji, to dobry okres, sezon się skończył, nie mamy wielu turystów.

Poczułam przypływ żalu — był wyraźnie zdesperowany, wydawał się wiedzieć, że jego siła perswazji jest w tej sytuacji jeszcze bardziej ograniczona niż w sporze z Marią, w jego staraniach, żeby mnie przekonać do pozostania w Gerolimenas, kryło się coś absurdalnego, byłam dla niego właściwie obcym człowiekiem, a mimo to chciał, żebym przedłużyła pobyt, sam zdawał sobie z tego sprawę, był świadom, że jego słowa nie mają przełożenia na rzeczywistość. Urwał i po prostu stał przede mną w milczeniu.

Przepraszam, powiedziałam, a mój głos zabrzmiał niegrzeczniej, niżbym sobie tego życzyła, ale nie mam tu nic więcej do roboty, muszę wracać do Londynu. Z chęcią bym została, dorzuciłam, jak gdyby mogło to złagodzić cios, ale kierowca już się wycofał, odwrócił się i odszedł, był w drzwiach hotelu i nie zatrzymał się, żeby mi powiedzieć do widzenia. Zaskoczyło mnie to. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Kostas — oczywiście — obserwuje nas, że przysłuchiwał się naszej rozmowie. Wzruszył ramionami: Niech pani nie zwraca na niego uwagi, zawołał. Ma dzisiaj kiepski dzień.

# 6.

Tego wieczoru, który miał być moim ostatnim w Grecji, zjadłam kolację z Marią. Doszło do tego w całkowicie naturalny sposób, chociaż trudno było sobie wyobrazić bardziej niezręczną sytuację — żona i kochanka siedziały twarzą w twarz i prowadziły rozmowę. Niezręczność okazała się tym większa, że Maria była jeszcze w pracy, miała na sobie hotelowy uniform, a zanim ze mną usiadła, powiedziała, że kończy zmianę dopiero za pół godziny i że personelowi pod żadnym pozorem nie wolno zadawać się z gośćmi.

Zabrzmiało to jak formalne obwieszczenie i przez chwilę dziewczyna stała w milczeniu naprzeciwko mnie. Ostatnio zaprzyjaźniła się bliżej z jednym z gości i nie skończyło się to dobrze — nie wypowiedziała tego żadna z nas, ale obie chyba pomyślałyśmy o tym w tej samej chwili, Maria zmarszczyła brwi i znieruchomiała, wbijając wzrok w stół i opierając się jedną ręką o krzesło. Wcześniej zapytała, czy może się do mnie dosiąść, lecz teraz wyglądało na to, że chyba się rozmyśli. Nie rozmyśliła się jednak, odsunęła w końcu krzesło i usiadła.

Czekałam, aż coś powie. Na pewno miała mi coś do powiedzenia — bo inaczej dlaczego by mnie spytała, czy może się przysiąść, zrobiła to wyraźnie w określonym celu, jak gdyby zastanawiała się nad tym od jakiegoś czasu, od kilku godzin, jeśli nie dni, może zamierzała mnie skarcić za to, że podsłuchiwałam jej rozmowę ze Stefanem — tymczasem jednak siedziała po prostu na brzeżku krzesła i rozglądała się, sprawiała wrażenie

zaniepokojonej, może się martwiła, że pojawi się Kostas albo ktoś inny i zapyta, co ona, na Boga, tu robi. Kelnerzy udawali, że jej nie zauważają, jak gdyby widok pracownika hotelu zasiadającego do kolacji z gościem był zbyt dziwaczny, by go zarejestrować.

Zapytałam, czy ma ochotę na kieliszek wina. Zrobiła taką minę, jakby chciała odmówić, a potem wzruszyła ramionami i skinęła głową. Bardzo chętnie. Przywołałam gestem kelnera, który natychmiast podszedł do stolika. Stanął przede mną, nie spojrzawszy na Marię, chociaż byli kolegami z pracy i na pewno się znali.

Zamówiłam drugi kieliszek wina i spytałam Marię, czy jadła już kolację; zakładałam, że nie — kiedy widziałam ją ze Stefanem w recepcji, była pierwsza, a teraz minęła już ósma. Pokręciła głową, ja zaś poprosiłam kelnera o drugie nakrycie, które przyniósł, chociaż nie podał jej drugiego jadłospisu. Cierpliwie poprosiłam o menu, Maria powiedziała jednak, że nie trzeba, bo wie, co chce zjeść.

Składała zamówienie długo, po grecku, najwyraźniej dobrze znała potrawy serwowane w tutejszej restauracji. Kelner słuchał jej beznamiętnie z rękami splecionymi na brzuchu. Nie wykonywał żadnych drobnych ruchów ani gestów, za których pomocą kelnerzy pokazują gościowi, że słuchają z nieustającą uwagą — starannie pochylają głowę, mruczą „doskonale” albo „świetny wybór” i od czasu do czasu nieznacznie potakują; ten kelner również korzystał z tego repertuaru, gdy mnie obsługiwał.

Nie zapisał też zamówienia Marii. Po prostu na nią patrzył, splótłszy dłonie na brzuchu, najwyraźniej urażony jej pewnością siebie. Właściwie nic nie rozumiałam, ale domyślałam się, że zwraca się do niego jak do sługi, a nie do kolegi z pracy, który przez chwilę występuje przed nią w roli kelnera. Nic nie powiedział, nawet gdy zamilkła, więc po chwili odezwała

się do niego ostro, też po grecku. Odwrócił się do mnie, nie odpowiadając dziewczynie, i spytał po angielsku, czy już wiem, co chcę zjeść.

Zamówiłam sałatkę i makaron, niezbyt oryginalny wybór, makaron nie był jakiś szczególnie wspaniały, ale miałam już dość grillowanego mięsa i serów, ciężkie greckie potrawy — nawet te ich stosunkowo kosmopolityczne wersje, które podawano w hotelu — nie bardzo mi odpowiadały. Kelner skinął głową i oświadczył, że przyniesie wino. Uśmiechnął się, biorąc jadłospis, a potem odszedł, nie spojrzawszy na Marię, jego arogancja była tak zjadliwa, że zastanawiałam się, czy coś się za tym nie kryje, jakaś historia konfliktu między nimi, chociaż do tej pory kelner wcale nie sprawiał wrażenia napastliwego.

Kiedy się oddalił, umilkłyśmy, nie było już nic oczywistego do powiedzenia, bo kwestia zamówień została załatwiona. Kilkakrotnie próbowałam nawiązać rozmowę, chociaż muszę przyznać, że na banalne tematy. Maria nie wydawała się jednak gotowa przejść do meritum, czyli do powodu, dla którego zapytała mnie, czy mogłaby się przysiąść, a może popełniłam błąd, zapraszając ją, by zjadła ze mną kolację — może nie miała tyle do powiedzenia, by bawić mnie rozmową przez cały czas trwania posiłku, i chciała siedzieć w kamiennej ciszy aż do ostatniego dania, kiedy wreszcie zrzuci ciężar z piersi i powie to, co przyszła mi powiedzieć.

Kelner przyniósł wino. Po kolejnej dłuższej chwili milczenia postanowiłam sama poruszyć tę kwestię, właściwie byłam już pewna, że dziewczyna nie przysiadła się do mnie z powodu tego wcześniejszego incydentu, tylko dlatego, że miała mi coś do powiedzenia o Christopherze — może potrzebowała pieniędzy, może była w ciąży, a może chciała, bym zrzekła się swoich praw do Christophera; w takim wypadku odpowiedziałabym, że nie jestem ani do niczego zobowiązana, ani niczym

zainteresowana, że poproszę mojego męża o rozwód, i to jak najszybciej, kiedy tylko wróci.

Zapytałam Marię, od jak dawna go zna i jak się poznali, wyrażałam się trochę obcesowo, chociaż nie chciałam mówić w ten sposób o tym, co się stało — cokolwiek między nimi zaszło — nie wiedziałam jednak, jak to inaczej powiedzieć. Nie wiedziałam też, czy łączy ich coś tak formalnego, jak romans (wydawało mi się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę krótki pobyt Christophera w Mani, nie trwał chyba nawet miesiąc), ani nawet czy w ogóle do czegokolwiek doszło — to znaczy do kontaktu fizycznego, cielesnego, bo może wszystko to były tylko jej nadzieje albo insynuacje.

Maria jednak natychmiast się zjeżyła, popatrzyła na mnie tak, jak gdybym z niej szydziła bez powodu, i może rzeczywiście mogła się tak poczuć. Ostatecznie byłam żoną, pozornie trzymałam wszystkie, a w każdym razie większość atutów w ręku, mimo że nie potrafiłam ustalić miejsca pobytu mojego męża, choć przyjechałam do tej dalekiej miejscowości w nadziei, że go znajdę. Bez względu na to, ile razy mnie zdradził (a sądząc po pozorach i wiedzy, jaką dysponowała Maria, znajdowałam się jako osoba zdradzana naprawdę w bardzo smutnym położeniu), i bez względu na to, jak marnie wyglądała moja sytuacja, tytuł i pozycja żony wciąż odznaczały się symboliczną siłą.

Sądziłam, że mi nie odpowie, miałam zamiar skinąć na kelnera i zamówić kolejny kieliszek wina, zanosiło się bowiem na długi posiłek. Po chwili jednak Maria ustąpiła, jak gdyby przypomniała sobie, że to ona sprowokowała całą tę hecę, pytając, czy może się przysiąść, i zamruczała, że poznała Christophera pierwszego dnia jego pobytu, zaraz po przyjeździe. Rozmawiała cicho, niemal niedosłyszalnie, pomyślałam, że będę musiała ją poprosić, żeby mówiła głośniej, a taka prośba mogłaby zostać przez nią źle

przyjęta; na szczęście chyba zdała sobie sprawę, że prawie jej nie słyszę. Podniosła wzrok, żeby mi spojrzeć w oczy, i powtórzyła: Poznałam go w dniu jego przyjazdu, miałam dyżur w recepcji.

Powiedziała to w taki sposób, jak gdyby ten czas — mniej więcej trzy tygodnie znajomości, cały jego pobyt w Mani — dawał jej większe prawa do Christophera. W porównaniu z czasem, jaki poświęcił kobiecie, z którą go widziano w Cape Tenaro, była to niemal wieczność. Siedząc teraz przy stoliku naprzeciwko Marii, chciałam jej powiedzieć, że mimo wszystko jest to nic w porównaniu z pięcioma latami małżeństwa i trzema latami poprzedzających je zalotów, to zaś z kolei było niczym w zestawieniu z dziesięcioma czy dwudziestoma latami albo z całym życiem, które można spędzić u boku drugiego człowieka.

Od czasu do czasu po ślubie Christopher i ja widywaliśmy się ze starszymi małżeństwami po siedemdziesiątce i osiemdziesiątce, a nawet spędzaliśmy z nimi czas; byli to ludzie, którzy przeżyli wspólnie całe dorosłe życie, my zaś snuliśmy wtedy leniwe domysły, czy nasze małżeństwo przetrwa aż tak długo. Ostatnio zrozumieliśmy, że nie. Co więcej, wiedzieliśmy, że jeśli nawet oboje znów się w kimś zakochamy, to raczej nie dotrwamy do pięćdziesiątej rocznicy ślubu z tą nową osobą, bo najprawdopodobniej nie pozwoli nam na to biologia, więc w tym aspekcie ponieśliśmy już porażkę.

Przez chwilę, kiedy patrzyłam na tę obcą kobietę naprzeciwko mnie, nasza wspólna porażka była niczym więź, która pozostała między mną i Christopherem pomimo jego nieobecności i dzielącego nas ogromnego dystansu, więc ostatecznie jednak doświadczyliśmy razem naszej śmiertelności. Może dlatego, że nie odpowiedziałam, Maria mówiła dalej: Był bardzo życzliwy, bardzo sympatyczny, większość gości hotelowych traktuje obsługę jak śmieci albo gorzej, jak zera, jak gdybyśmy nie istnieli,

jak powietrze. Przyjechał sam — dodała asekuracyjnie, chociaż nic nie powiedziałam — a kiedy zapytałam, kto jeszcze do niego dołączy, podkreślił wyraźnie, że nikt i że jest sam.

Oczywiście, a co innego miał powiedzieć? Chociaż z drugiej strony, czy nie była to po prostu kwestia interpretacji? Być może próbował jedynie podtrzymać rozmowę z Marią, a może myślał praktycznie (bo skoro był sam, to potrzebował na przykład tylko jednego klucza i jednego nakrycia na śniadaniu). Wskazanie tej możliwości wydało mi się jednak okrucieństwem, dobrze wiedziałam, jak to wyglądało, Christopher zawsze umiał wejść tak, by go zauważono, chociaż powinien popracować nad pożegnaniami. Byłam ciekawa, ile czasu zajęło mu zwabienie tej dziewczyny do pokoju, czy była to kwestia dni, czy raczej tygodni, a może kilku godzin, jak skuteczny okazał się w tych sprawach. Pamiętałam, że w moim przypadku potrzebował dokładnie tygodnia.

Kelner przyniósł nasze pierwsze dania, jadłam małą sałatkę mesclun, posypaną bladą tartą marchewką, warzywa niewątpliwie najpierw przybyły z daleka samolotem, a potem zostały dostarczone do hotelu ciężarówką. Na moim talerzu nie było nic miejscowego i popadłam w przygnębienie od samego patrzenia na te jarzyny, przywodzące na myśl spaloną ziemię, na której i tak rosły tylko oliwki i opuncje; sama byłam sobie winna, że zamówiłam to danie.

Tymczasem Maria zaczęła spokojnie kroić swoją ekstrawagancką przystawkę, jakąś potrawę z homara, moim zdaniem niepotrzebnie opatrzoną w menu kwiecistym opisem, złożonym co najmniej z kilku linijek, który niemal na pewno miał usprawiedliwić wysoką cenę dania, jednego z najdroższych w karcie. Maria jadła ze smakiem, w przeciwieństwie do mojej sałatki jej przystawka wyglądała pysznie,

mięso było tłuste i błyszczące, a częściowo wypatroszone już homarowe szczypce wystawały z kopczyka mięsa i masła jak podniesiona pięść.

Trudno było nie zwrócić uwagi na tę kobietę, zajadającą ową kosztowną potrawę z tak jawną przyjemnością. Może miała pełne prawo do odrobiny luksusu i może to ja płaciłam, ale jeśli Christopher skrzywdził ją w jakiś sposób — a jak mógł tego nie zrobić? — to czy nie było ze wszech miar słuszne, bym jako jego żona w jakiś sposób jej to zrekompensowała? Czekałam, aż zacznie opowiadać dalej, i zastanawiałam się, czy nie siedziała w tej restauracji, może przy tym samym stoliku, z Christopherem. Może zamówiła tę samą zakąskę z homara, Christopher wykorzystałby jej apetyt, jej pożądanie fizycznej satysfakcji, i zachęcałby ją, by sobie nie żałowała.

Kiedy kobieta zachowuje się w sposób dla niej obcy, gdy przyjmuje inną postawę niż zwykle, możliwe stają się rzeczy nieprawdopodobne, a dla uwodziciela to już połowa sukcesu. Może teraz, kiedy Maria wysysała mięso ze szczypiec homara, a jej podbródek zrobił się śliski od masła, na nowo przeżywała swoje uwiedzenie, w czym moja obecność pomagała jej tylko nieznacznie. Jak gdyby uczucia dziewczyny złagodniały dzięki soczystej potrawie, zaczęła opowiadać o Christopherze bez złości, niemal w rozmarzeniu. Wydał mi się bardzo przystojny, powiedziała, tutejsi mężczyźni tak nie wyglądają. I zachowywał się zupełnie inaczej, ciągle się śmiał, na ogół nie wiedziałam z czego, ale w jego śmiechu nie było nic okrutnego, nigdy nie miałam wrażenia, że się ze mnie wyśmiewa.

Natychmiast wpadł w oko wszystkim kobietom w hotelu, ciągnęła, od chwili jego przyjazdu każda podkreślała, jaki jest przystojny i seksowny — poczułam się skrępowana i odwróciłam wzrok, było to tak, jak gdyby jakaś dziewczyna nazywała seksownym mojego ojca, w ustach Marii to słowo brzmiało trywialnie, tak infantylnie, że oddzieliło się całkowicie od aktu

seksualnego — wszystkie zauważyły, że przyjechał sam, bardzo niewielu mężczyzn zjawia się tu samotnie, a nigdy tacy młodzi i przystojni jak on.

Spuściła skromnie wzrok na talerz, żeby kontemplować spustoszenie, jakie poczyniła w homarowej przystawce. Szybko się z nią uwinęła. Nie spodziewałam się, że zwróci uwagę na mnie, powiedziała, spośród wszystkich dziewczyn pracujących w hotelu. Nie zauważyłam zbyt wielu kobiet wśród obsługi, chociaż Maria wyraziła się w taki sposób, jak gdyby zatrudniano ich tu całe hordy, a jej udało się je wszystkie odpędzić kijem od mojego męża, zrozumiałam jednak, do czego zmierza, zrozumiałam, że potraktowała Christophera jak zdobycz. Ale, ciągnęła Maria, zainteresował się mną, ciągle przy mnie przystawał, zawsze kiedy byłam w pracy, podchodził i rozmawiał ze mną, a na pewno miał dużo zajęć, choć wydawało się, że dysponuje też często wolnym czasem.

Christopher zawsze z łatwością potrafi znaleźć czas na to, co go interesuje.

Próbowałam wyrażać się neutralnie, chciałam ukryć swoje rozgoryczenie, ale Maria prawie nie zauważyła, że w ogóle coś powiedziałam, i mówiła dalej niemal bez przerwy. Był taki interesujący, naprawdę, mogę przyznać z ręką na sercu — urwała, żeby podnieść dłoń i położyć ją sobie na rozfalowanej z emocji piersi; moim zdaniem Christopher uznałby ten gest za słodki, a nawet czarujący, pomimo jego oczywistej niezręczności — że nigdy dotąd nie spotkałam tak inteligentnego mężczyzny. Właściwie nie było to zaskakujące, poprzeczka nie została umieszczona zbyt wysoko, Stefano bowiem, chociaż miał swoje zalety, nie sprawiał wrażenia tytana intelektu.

Uznałam to jednak za niegrzeczność z jej strony. Kelner zabrał nasze talerze — na moim wciąż spoczywała duża porcja sałatki, talerz Marii został wymieciony do czysta — a dziewczyna kontynuowała opowieść.

Znał się na wielu rzeczach, choć mówił o nich w taki sposób, że nie czułam się niezręcznie ani jak głupia, nie był typem aroganta, mimo że miał nade mną znaczną przewagę. W tym miejscu znowu przerwała, żeby popatrzeć mi w twarz, jak gdyby chciała powiedzieć, że moja przewaga nad nią mnie znieczuliła. Ponuro skinęłam głową i ponownie zamówiłam po kieliszku wina dla nas obu; kiedy spytałam Marię, czy ma ochotę się napić, odpowiedziała nonszalanckim, niemal lekceważącym ruchem głowy. Po chwili dodała: Christopher jest dżentelmenem, dostrzegłam to od razu.

Rozumiem, odparłam. Tak, chyba masz rację.

Prawie się roześmiałam, brzmiało to absurdalnie, Christopher był dla niej równie nierzeczywisty jak książę z bajki, bohater jakiejś powieści, mimo że źle ją potraktował. Mówiła dalej, a ja pomyślałam, że pewnie ma nadzieję wystawić mu za to rachunek, słuchałam i czekałam, aż dojdzie do sedna i przedstawi powód, dla którego spytała, czy może się do mnie przysiąść. Zdawało mi się jednak, że ta kwestia jej umyka, a kiedy opowiadała nieustannie o zaletach Christophera, o jego ujmującym zachowaniu i uprzejmości, nie wchodząc w żadne szczegóły na temat tego, co faktycznie między nimi zaszło, pomyślałam raz jeszcze, że może nic się nie stało, dziewczyna po prostu się w nim zakochała, a wystarczyły do tego nieznaczne i właściwie dość mało konkretne zabiegi z jego strony.

Była młodsza, niż początkowo myślałam, miała zapewne nie więcej niż dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, była jeszcze dzieckiem, obdarzonym dziecięcą śmiałością. Kelner przyniósł główne dania, Maria zamówiła stek, najdroższą potrawę w karcie, wydaje mi się, że kiedy zaprosiłam ją, by zjadła ze mną kolację, uznała, że powinna jak najwięcej skorzystać.

Ile masz lat? zapytałam gwałtownie.

Dwadzieścia. W sierpniu obchodziłam urodziny.

Powiedziała to z dumą, może dlatego, że dwadzieścia lat to jak kamień milowy, nie jest się już nastolatkiem, gdy się osiąga ten wiek. A może duma Marii wynikała stąd, że jako znacznie młodsza ode mnie zdawała sobie sprawę, ile to jest warte.

Christopher był przeszło dwukrotnie starszy od niej. Oczywiście dwudziestoletnie dziewczyny nie przykładają zbytniej wagi do wieku partnera, chociaż trzydziestolatka zastanowiłaby się dwa razy, zanim wdałaby się w romans z mężczyzną starszym od niej o dwie dekady, a gdyby romans przerodził się w coś poważniejszego — prawdopodobieństwo, że kobieta tego by właśnie chciała, rośnie wraz z jej wiekiem — wtedy różnica dwudziestu lat staje się krytyczna, bo żadna nie chciałaby wychodzić za mąż za kogoś, kto niedługo stanie u wrót śmierci.

Ale kiedy ma się lat dwadzieścia, śmierć jest jeszcze abstrakcją. Różnica wieku nic nie znaczyłaby dla Marii, może dlatego mężczyźni lgną do kobiet znacznie od siebie młodszych. Czują się przy nich lepiej nie ze względu na ich młodzieńcze ciała, ale dlatego, że dziewczyny nie dostrzegają oznak senilizacji. Ciało czterdziesto- czy nawet pięćdziesięciolatka nie zawsze różni się dramatycznie od ciała faceta dwudziestopięcioletniego — możemy za to podziękować cudownym dietom i trenerom osobistym — chociaż różnice oczywiście są, kobieta po prostu musi osiągnąć pewien wiek, żeby je zrozumieć.

Sądziłam, że na to Maria jest za młoda. Jadła stek, a po chwili niemal niechętnie zaczęła mnie wypytywać o Christophera. Zrozumiałam, że właśnie po to się przysiadła — żeby wypytać o mojego męża, dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, w którym pokładała zarówno nadzieje, jak i uczucia. Zrozumiałam jednak również, że jest to dla niej trudne, że w ten sposób ustępuje pola mnie jako jego żonie, a wszystko, co mówiłam, nawet

to, że w ogóle mam coś do powiedzenia, mogło potencjalnie zdewaluować jej przeżycia z Christopherem, które niewątpliwie chciała chronić.

A jednak miała potrzebę, żeby o nim mówić — na przykład pragnęła wymawiać jego imię, widziałam, że o dreszcz rozkoszy przyprawia ją samo wyartykułowanie tych trzech sylab, Chris-to-pher, robiła to raz za razem, co oznaczało, że jest nim naprawdę zauroczona, bo kiedy kobieta jest zauroczona, podnieca ją nawet wypowiedziane głośno imię ukochanego. Ze mną też tak kiedyś było, zbyt często wymieniałam Christophera w rozmowach, rozwodziłam się na temat jego poglądów, jakichś drobnych uczynków i opinii (które wtedy wydawały mi się wielce oryginalne, głupia byłam), a dla mojego otoczenia musiało to być nudne.

Tak samo było teraz z Marią. To tylko jej pragnienie, żeby mieć więcej — Christophera, jak sądzę — doprowadziło ją do tego, by mnie odszukać, chciała wiedzieć o nim wszystko, żaden szczegół nie był zbyt przyziemny, nawet jeśli źródło informacji ze swej natury okazało się dla niej krępujące. Gotowa była zapłacić konieczną cenę za te wiadomości. Jednocześnie jednak pożądanie dziewczyny wydawało się kruche, zbyt konkretne, nie chciała wiedzieć o niczym, co mogłoby rozwiać fantastyczne wyobrażenie o moim mężu, które wytworzyła sobie w głowie. Zaczęła zadawać pytania, bardzo podstawowe: gdzie Christopher dorastał, czy ma rodzeństwo, czy lubi zwierzęta, psy na przykład, czy lubi psy, no i zawsze nosił przy sobie jakieś książki, czy naprawdę jest tak zapalonym czytelnikiem?

Starannie unikała tematu naszego wspólnego życia — nie zapytała na przykład, jak się poznaliśmy, gdzie mieszkaliśmy ani czy mamy dzieci, z jej punktu widzenia to była martwa strefa — a całą tę gimnastykę wymyśliła po to, żeby rozbudować obraz Christophera, który wcześniej sama sobie stworzyła. Nie czuła do niego złości, mimo że ją zdenerwował, że płakała przez niego. Nabierałam coraz silniejszego przekonania, że nic konkretnego

między nimi nie zaszło, Maria sprawiała na mnie wrażenie raczej zakochanej nastolatki niż wzgardzonej kochanki, zwłaszcza że nastolatką przestała być bardzo niedawno.

Oczywiście jednak można być jednocześnie nastolatką i dorosłą kobietą. Skończyłyśmy jeść; chociaż to ona głównie mówiła, często zagłuszając moje odpowiedzi na pytania, które tak bardzo chciała mi zadać, zjadła stek z imponującą szybkością; mnie spaghetti wchodziło znacznie wolniej. Odpowiedzi, jakich jej udzielałam, nie były szczególnie pouczające, starałam się nie mówić nic, co mogłoby ją urazić, w końcu była dzieckiem. I chociaż to ona szukała informacji o Christopherze, to im skwapliwiej spełniałam jej prośbę, tym bardziej rzeczywiste stawało się dla mnie nasze małżeństwo i tym boleśniejsze wydawały mi się jego losy.

W pewnym momencie przerwała zalew pytań, by zauważyć, wskazując głową mój talerz: Makaron nie jest tu smaczny, trzeba było zamówić coś prostego, kucharze próbują gotować we włoskim stylu, ale to nie jest ich mocna strona, nie robią tego, jak trzeba. Kiwnęłam głową. Maria mówiła tonem upomnienia, sprawiało jej to chyba jakąś niewielką przyjemność, nie sądziłam, by warto było stwierdzić, że sałatka i talerz makaronu wydawały mi się całkiem prostymi daniami, bo najwyraźniej miała rację i udało się jej zjeść o wiele lepiej niż mnie, chociaż, czego nie mogłam nie zauważyć, za znacznie większe pieniądze.

Wstałam, nie pytając, czy ma ochotę na kawę albo deser. Zachowałam się dziecinnie, poczułam się jednak dotknięta, było coś apodyktycznego w jej krytyce mojego zamówienia — rada Marii przyszła za późno, mogła to powiedzieć na początku, na przykład kiedy wybierałyśmy jedzenie z karty. Oczywiście już wtedy wiedziałam, że nie chodzi o zamówienie ani posiłek, za który to ja miałam zapłacić. Jej zachowanie stanowiło oznakę innego uchybienia, bo — celowo lub nie — pyszniła się czymś, co można

było nazwać przynajmniej flirtem między nią a moim mężem, i robiła to tak, jak gdybym nie miała prawa w żaden sposób czuć się zakłopotana.

Może z jej perspektywy rzeczywiście nie miałam, skoro nie potrafiłam utrzymać męża przy sobie, to moja wina, Maria może jakoś właśnie tak myślała. Albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle nie przyszło jej do głowy, że mogę się poczuć niezręcznie, nie wydała mi się jakoś szczególnie empatyczna, a ponieważ była bardzo młoda, brakowało jej pewnego rodzaju wyobraźni — której siłą rzeczy kiedyś się nauczy. Siedziała, gapiąc się na mnie przez chwilę, jak gdyby zaskoczona, że nie zaproponowałam kawy ani deseru. Uparłam się jednak, nie zamierzałam karmić tej dziewczyny ani chwili dłużej, zapadła zatem krótka chwila ciszy, po czym Maria ustąpiła i wstała.

Szłyśmy razem przez recepcję i wtedy — nie wiem, jak się zdobyłam na odwagę, by zadać jej takie bezpośrednie i z gruntu grubiańskie pytanie — zapytałam: Więc spałaś z nim czy nie?

Przypuszczam, że zrobiłam to, ponieważ byłam pewna, że odpowie „nie”, nie ze względu na jakieś skłonności do zaprzeczania prawdzie, bo pomimo swojej niewrażliwości wydała mi się szczera, nawet do przesady, ale dlatego, że teraz stało się już dla mnie jasne, że nic poważnego między nimi nie zaszło. Kiedy zaprzeczy, po prostu przeproszę ją za to pytanie; a zresztą, tak czy owak, byłam cudzoziemką, zdolną do najróżniejszych impertynenckich szaleństw.

Nie zaprzeczyła jednak, tylko się zaczerwieniła, cała jej twarz zmieniła kolor. Na początku myślałam, że to skromność, pytanie było gwałtowne i mocno niedelikatne, może poczuła się nim urażona, świadczyło o mojej kapryśnej osobowości, Christopher mógł na mnie narzekać pod tym względem, trudno się było dziwić, że uciekał przed swoją histeryczną i irracjonalną żoną — ale w takim razie dlaczego w ogóle miałby coś

o mnie opowiadać? Maria była wciąż zarumieniona, kiedy się odezwała, głos miała jednak spokojny i nie zdradzała emocji, świadczył o nich tylko ten rumieniec, to był jedyny znak, że coś jest nie w porządku.

Tak. Oczywiście wiedziałam, że jest żonaty, powiedziała, czerwieniąc się jeszcze bardziej, musiała bowiem zdawać sobie sprawę, że to, co mówi, jest dla niej obciążające. Zobaczyłam obrączkę, kiedy się meldował.

Przez chwilę byłam zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć. Poczułam falę nieoczekiwanej złości, nieskierowanej pod żadnym konkretnym adresem — właściwie nie mogłam mieć pretensji do tej dziewczyny ani nawet do Christophera, oboje mieli pełne prawo robić to, co chcieli. Mimo wszystko trudno mi było na nią spojrzeć, przełknęłam tylko ślinę i odwróciłam wzrok.

Widziałaś, że nosi obrączkę?

No pewnie, że Christopher przespałby się z tą dziewczyną, powinnam była to wiedzieć od początku. Dziwniejsze było to, jak pomyślałam, że miał na palcu obrączkę, że skądś ją znów wygrzebał i zaczął nosić, wtedy gdy nasze małżeństwo nieodwracalnie się rozpadało, wydało mi się to niemal niewiarygodne. Modulację w moim głosie Maria zinterpretowała jednak jako oskarżenie, ponownie się zaczerwieniła, jeszcze bardziej, a mimo to ciągnęła dalej spokojnym, miarowym tonem: widziałam, że nosi obrączkę, tak, widziałam ją.

Pytania, które powinny były teraz nastąpić i których dziewczyna mogła racjonalnie się spodziewać — dotyczące tego, jak, kiedy i ile razy; nie mówiąc już o gniewie i zazdrości, choć najprawdopodobniej tym uczuciom też pewnie dałabym wyraz, tak powinna bowiem wyglądać właściwa reakcja na wiadomość o cudzołóstwie męża — nie padły. Stałyśmy w recepcji, a ja wypytywałam ją o tę obrączkę, jak gdyby po to, żeby nie

pytać o seks z Christopherem, moim mężem: A jaka to była obrączka, czy Maria się jej przyjrzała?

Wzruszyła ramionami i zrobiła zakłopotaną minę.

Srebrna, bardzo zwyczajna.

Cienka? Czy szeroka?

Niezbyt szeroka. Może taka…

Rozwarła palce na jakieś pół centymetra. Trudno było to uważać za rozstrzygający dowód, ale chyba faktycznie chodziło o obrączkę Christophera, a w każdym razie nic nie wskazywało, że miałoby być inaczej. Mogła istnieć jakaś absolutnie logiczna i praktyczna przyczyna, dla której mój mąż znów zaczął nosić tę niepozorną platynową obrączkę ślubną. Niezamężne kobiety też wkładają czasem na palec obrączkę, żeby sprawiać wrażenie niedostępnych, dzięki czemu unikają niechcianego zainteresowania i zaczepek, błysk metalu na dłoni często wystarczy, żeby odstraszyć nawet zagorzałego wielbiciela.

Oczywiście niedostępność służyła innemu celowi w przypadku mężczyzny, w każdym razie takiego jak Christopher. Być może za sprawą obrączki czuł się jak pies na dłuższej smyczy, żonatemu facetowi trudniej było stawiać kobietom jakieś żądania, bez względu na to, jak daleko zaszły sprawy, taki facet zawsze mógł powiedzieć: Od początku wiedziałaś, że jestem żonaty, wiedziałaś, w co się pakujesz, było to tak oczywiste, jak obrączka ślubna na moim palcu. Być może za każdym razem, kiedy się wybierał na polowanie — a zdawałam sobie sprawę, że w czasie naszego krótkiego małżeństwa robił to wielokrotnie — wyciągał obrączkę, żeby czuć się swobodniej. Z szuflady w biurku albo ze skórzanej teczki, w której trzymał zegarki i portfele; dopiero teraz dotarło do mnie, że właściwie nawet nie wiedziałam, gdzie przechowywał symbol naszego związku.

Oddech mi się unormował. Ale sprawa obrączki wcale nie była nieważna. I nie miałam pewności, czy kiedykolwiek taka się dla mnie stanie — kto mógłby myśleć o tego rodzaju szczegółach, nie odczuwając jakiejś mieszanki żalu i upokorzenia, bez względu na to, jak dawno został zdradzony? Szybko życzyłam Marii dobrej nocy. Dodałam, że jest to prawdopodobnie pożegnanie, chociaż może jeszcze zobaczymy się rano. Zdawałam sobie sprawę, że jestem rozstrojona, moje zachowanie nie pasowało do tej sytuacji. Wzruszyła ramionami, nie powiedziała, czy jutro pracuje, czy nie. Zauważyłam, że nie podziękowała mi za kolację, nie spodziewałam się, że to zrobi, obeszło mnie to jednak na tyle, że odnotowałam jej zachowanie. Całe nasze spotkanie okazało się nieprzyjemne, niepokojące, nie miałam nadziei ani ochoty go powtarzać, tego tête-à-tête z kochanką Christophera. Stała z rękami w kieszeniach uniformu i patrzyła, jak wchodzę po schodach na górę, do swojego pokoju.

# 7.

Ciało mojego męża znaleziono w płytkim rowie nieopodal jakiegoś miasteczka w głębi półwyspu, dziesięć mil drogi od kamiennego kościoła, który zwiedzałam dzień wcześniej, i pięć minut od najbliższych zabudowań mieszkalnych. Szosa w tym miejscu nie była zbyt ruchliwa. Wrażenie odludzia pogłębiało jeszcze to, że okolica została wyjątkowo dotkliwie spustoszona przez pożary i cała roślinność doszczętnie się spaliła. Zwłoki leżały na ziemi koloru i konsystencji sadzy. Kiedy je podniesiono, okazało się, że są oblepione jakby drobnym pyłem.

Leżały w tym rowie przynajmniej całą noc, może dłużej. Wprawdzie z portfela zniknęły karty płatnicze, dokumenty i pieniądze, ale policja nie miała trudności ze zidentyfikowaniem mojego męża. Później dowiedzieliśmy się, że z kont Christophera wyparowały setki dolarów, a jego karty zostały obciążone tajemniczymi rachunkami, które oszukańcze firmy ubezpieczeniowe następnie anulowały, chociaż wydawało się to nieistotne, bo człowieka, na którego konta firmy przyznawały te kredyty, nic już nie obchodziło, nigdy więcej bowiem nie miał otworzyć rachunku bankowego ani dostać karty kredytowej.

Został obrabowany i zamordowany, poniósł głupią i anonimową śmierć, która mogła spotkać go wszędzie — na Manhattanie, w Londynie albo Rzymie, nie było nic szczególnego w tym morderstwie, motywy okazały się zarówno znajome, jak i banalne, właściwie niegodne nawet odnotowania — a coś haniebnego było nie tylko w tym, że jego ciało leżało porzucone

w rowie, ale i w tym, że przejechał taki kawał drogi, do tego obcego kraju i kręgu obcej kultury, jedynie po to, by spotkać się ze śmiercią, jaką mógł zginąć na rogu ulicy w Londynie, w pobliżu apartamentowca, w którym mieszkał.

Przez pierwszych kilka godzin po wiadomości o jego śmierci trwałam myślami przy tym szczególe, przy jej niestosowności, przy jej nieistotnym, a nawet przypadkowym charakterze.

Pewna moja przyjaciółka mawiała o swoich byłych chłopakach (a potem trzech byłych mężach; zaliczała się do wiecznych optymistek): On już dla mnie umarł, czego raczej nie lubiłam, brzmiało to w moich uszach zbyt radykalnie jak na coś, co jest w zasadzie czymś normalnym, czyli rozpad związku. Moja przyjaciółka nie wyglądała na zdolną do takich jadowitych i kategorycznych stwierdzeń, a tym bardziej do hodowania takich uczuć, nieodmiennie jednak zapewniała mnie, że za jej słowami stoją prawdziwe emocje. Oczywiście, była to tylko przenośnia, niemniej moja przesądność zawsze kazała mi unikać tego rodzaju sformułowań; on już dla mnie umarł — wydawało mi się, że to by była zła karma, chociaż w karmę nie wierzę.

A przecież, pomimo swojej ostrożności, to właśnie ja mogłam teraz powiedzieć, że owo makabryczne wyrażenie, zresztą przecież nie moje, opisuje realne okoliczności, on już dla mnie umarł. Wyobrażamy sobie czasem takie sytuacje — w chwilach szczególnego natężenia miłości albo niechęci, w uścisku strachu albo fantastycznej nienawiści — nie sądzimy jednak, że mogą być prawdziwe. Nawet kiedy stoimy przed ołtarzem i mówimy: „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, śmierć pozostaje abstrakcją, czymś, co wieńczy długie i szczęśliwe wspólne życie dwojga starszych ludzi, trzymających się za ręce, mających wnuki i domek nad morzem. Ale w tym przypadku nie było dzieci ani wnuków, nie było azylu za miastem, prawie nie było małżeństwa, tylko coś pomiędzy tymi dwoma

sformułowaniami: „on już dla mnie umarł” i „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Odłożyłam słuchawkę, natychmiast wyszłam z pokoju i zbiegłam do recepcji, Kostas przez telefon powiedział mi jedynie, że doszło do strasznego wypadku z udziałem Christophera, i nie wiedziałam jeszcze dokładnie, co się stało. Recepcjonista i dwaj stojący obok niego policjanci pochylili głowy, kiedy podeszłam. Kobiecie, którą trzeba poinformować o przedwczesnej śmierci męża, należy się pewien szacunek, i dopiero wtedy mnie olśniło, że Christopher nie żyje. Kostas przedstawił mi funkcjonariuszy z miejscowego posterunku; niestety, mają dla mnie bardzo złe wiadomości.

Przekładał na angielski, co mówili policjanci, którzy nie patrzyli na mnie, jeśli nie liczyć rzucanych od czasu do czasu ukradkowych spojrzeń, być może badawczych; szukali chyba podejrzanych, a pierwszym podejrzanym zawsze jest żona albo mąż, wszyscy o tym wiedzą. Ale kiedy recepcjonista tłumaczył dalej, a ja słuchałam jak sparaliżowana i nie potrafiłam pojąć tego, co mówią, wydało mi się, że w ich zachowaniu widać nie podejrzliwość, lecz tylko zakłopotanie, nikt nie lubi przekazywać złych wieści, a oni nie mogli wiedzieć, jak zareaguję, czy wpadnę we wściekłość, histerię, czy kompletne niedowierzanie, nie, absolutnie nie mogłam mieć do nich pretensji.

Przypuszczałam, że wcześniej podali Kostasowi chociaż niektóre szczegóły. Mimo to z każdą kolejną informacją, którą teraz mu przekazywali, nieznacznie wzdychał, zanim odwracał się do mnie z coraz bardziej przygnębioną miną, mówiąc na przykład, że ciało mojego męża znaleziono przy drodze, że został uderzony w tył głowy, najprawdopodobniej kamieniem albo jakimś tępym narzędziem, i że wygląda to na napad rabunkowy. Kostas myślał może, że powinien

sprawiać wrażenie zaskoczonego, trudno było mu przybrać taki ton, mieszczący się gdzieś pomiędzy współczującym zdziwieniem i urzędową obojętnością, przekazywał tylko wiadomości.

Na pewno byłam w szoku. Ciągle kiwałam głową, kiedy kawałek po kawałku odsłaniali przede mną tę tragedię, pytałam, od jak dawna Christopher nie żyje, a oni odpowiedzieli, że nie wiedzą na pewno, to wyjdzie w wyniku autopsji, ale śmierć nastąpiła niedawno, ciało — Kostas urwał, miał skonsternowaną minę, jak gdyby wahał się, czy mi przekazać ciąg dalszy — jest jeszcze relatywnie świeże i nierozłożone, a nie licząc rany z tyłu głowy, nie ma większych obrażeń. Czy w takim razie Christopher zginął ostatniego dnia mojego pobytu w hotelu? Policjanci pokręcili głowami, w tej kwestii też nie mogą powiedzieć nic na pewno, dopóki nie dostaną raportu lekarza sądowego, ale mój mąż bez wątpienia nie leżał tam zbyt długo, w okolicy roi się od dzikich zwierząt, więc zwłoki nie mogłyby być w tak dobrym stanie, zmarły wyglądał, powiedzieli, właściwie jak gdyby spał.

Jeśli nie liczyć rany z tyłu głowy. Duża plama krwi, jakiej nie widuje się na głowie śpiącego człowieka, nie było zatem większego sensu, by tak go opisywać. Chociaż nie, mogło być tak, jak mówili — może kiedy go znaleźli, leżał na plecach, krew już zakrzepła, oczy miał zamknięte; czy mógł je zamknąć, umierając, czy było możliwe, że nie wytrzeszczył ich z przerażeniem, zaskoczony śmiercią, ale zamknął, a jego twarz przybrała spokojny wyraz? Wyglądał jak człowiek, który postanowił położyć się na drodze, i zasnął na asfalcie.

Czy mogłaby pani teraz z nimi pojechać?

Spojrzałam tępym wzrokiem na Kostasa, straciłam wątek. Dokąd? — spytałam głupio. Na posterunek, odparł, żeby zidentyfikować ciało, potrzebują kogoś, kto potwierdziłby tożsamość zmarłego. Oczywiście,

odpowiedziałam, muszę tylko zabrać swoje rzeczy i zadzwonić. Musiałam powiadomić Isabellę — chociaż było na to za późno już wtedy, kiedy policja stwierdziła śmierć Christophera, Isabella powinna była wiedzieć o tym wcześniej ode mnie. To ona powinna tu być, to ona powinna zabrać ciało syna, ja byłam tylko… jego byłą małżonką, co dotarło do mnie poniewczasie, albo prawie byłą.

Jeden z policjantów odchrząknął, zniecierpliwiony, jak gdyby chciał powiedzieć, że czekają już dość długo i że istnieją granice współczucia i dyskrecji. Powtórzyłam, że muszę tylko wrócić do pokoju po kilka drobiazgów i szybko zadzwonić, potem już będę mogła z nimi pojechać, a oni pokiwali głowami. Zamierzałam zatelefonować z pokoju, ale kiedy stanęłam koło łóżka, zawahałam się, policjanci czekali na dole, a nie wystarczyłaby mi minuta ani dwie. Nie wiedziałam, co powiem, nie potrafiłam sobie tego wyobrazić — Isabello, mam bardzo niedobre wieści, Isabello, stało się coś strasznego.

Byłoby łatwiej, gdybym się rozpłakała, pomyślałam, gdybym wpadła w histerię. Isabella kazałaby mi się uspokoić, wziąć się w garść, uważałaby, że to ona panuje nad sytuacją, choć wcale by tak nie było, bo wtedy już żadna z nas nie panowałaby nad niczym. Odczekałam jeszcze chwilę i nie zadzwoniłam, powiedziałam sobie, że zostawię jej tych kilka ostatnich godzin, żeby świat mojej teściowej pozostał na razie spójny, racjonalny; zrobiłam to zarówno w akcie życzliwości, jak i okrucieństwa, bo chciałaby wiedzieć od razu, na jej miejscu każdy by tego chciał.

Kiedy wróciłam do recepcji, jeden z funkcjonariuszy zniknął, a Kostas stał obok drugiego policjanta. Recepcjonista przed moim odjazdem powiedział, że policja załatwi jakiś samochód, który odstawi mnie z powrotem do hotelu. A może odwiezie mnie jeden z tych policjantów, ale tak czy owak, bez wahania mam się z nim skontaktować, jeżeli będę czegoś

potrzebowała. Dał mi wizytówkę z numerem swojej komórki. Potem powiedział, że chyba nie zamierzam jednak dzisiaj wyjechać, i zaproponował, że zadzwoni do biura linii lotniczych i anuluje mój bilet, zapewnił, że nie będzie z tym żadnych trudności, śmierć w rodzinie.

Podziękowałam mu i szybkim krokiem poszłam za policjantem, który już zmierzał do wyjścia. Kiedy wychodziliśmy z hotelu, zauważyłam, że czeka na nas samochód, pierwszy policjant siedzi za kierownicą, a silnik jest włączony. Wsiedliśmy. Drugi policjant nalegał, żebym siedziała z przodu, a on z tyłu, jako funkcjonariusz młodszy rangą. Może się bał, że jeśli usiądę z tyłu, a dwaj policjanci z przodu, będzie wyglądało na to, że mnie aresztowali i że wiozą mnie na przesłuchanie; już potem, w czasie jazdy, ludzie przystawali, żeby się nam przypatrzeć, i zaglądali przez okna radiowozu, jak gdybym była przestępcą.

Usiadłam zatem z przodu, policjant obok mnie prowadził w milczeniu, ten drugi na tylnym siedzeniu wpatrywał się w zagłówek przed swoim nosem albo od czasu do czasu wyglądał przez okno, a ja nie czułam się niczemu winna. Nie czułam też jeszcze smutku. Tylko niedowierzanie, że coś takiego nam się przytrafiło, coś, czego nigdy bym sobie nie wyobraziła, co z jednej strony było całkowicie możliwe (stało się, więc musiało być możliwe), a z drugiej przeżywałam to jako niemożliwe, jako nieprawdopodobieństwo, które się jednak zdarzyło „niczym zająknięcie w boskiej wypowiedzi”.

Zarazem część moich myśli skupiała się wokół różnych spraw praktycznych, których z pewnością będzie bardzo wiele, a które, o czym wiedziałam, nie ja powinnam załatwiać. Będę musiała komuś powiedzieć — chociaż nie tym policjantom, z punktu widzenia prawa nadal pozostawałam żoną Christophera i gdybym w takim momencie zaczęła się wywnętrzać przed tymi nieznajomymi mężczyznami, opowiadając im

o skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazło się nasze małżeństwo, byłoby w tym coś upokarzającego — że jestem w wyjątkowo niezręcznym położeniu, pod nikogo może się nie podszywam, działam jednak z pozorowanych pobudek. Jednym słowem, będę musiała powiedzieć Isabelli. O naszym rozstaniu, o tym, jak naprawdę stały sprawy między jej synem i mną. Wtedy to na nią spadną te obowiązki, załatwienie pogrzebu, transport zwłok i wszystko, co jeszcze należałoby załatwić.

Radiowóz podjechał pod posterunek, jednokondygnacyjny betonowy budynek, na zewnątrz były psy, na szczęście na łańcuchach, zwierzęta budzące strach, łatwo było sobie wyobrazić, jak się rzucają i kłapią paszczami, kiedy chodzą na smyczy. Samochód zwolnił, a ja się zorientowałam, że obaj policjanci na mnie patrzą. Odwróciłam wzrok, dotarło do mnie, że odgrywam rolę zrozpaczonej wdowy — nigdy nie miałabym takiego poczucia, gdybym rzeczywiście była wdową, pojawił się jakiś niewielki, ale konkretny klin, wciskający się pomiędzy tę osobę, którą naprawdę byłam, i osobę, którą udawałam.

Jeden z policjantów wysiadł i podbiegł otworzyć mi drzwi. Wysiadłam, niebo znowu zaciągnęło się chmurami i zastanawiałam się, czy będzie padać. Funkcjonariusze pokazali na migi, żebym weszła do budynku, tak małego, że byłam ciekawa, gdzie trzymają ciało, czy jest tu dosyć miejsca na kostnicę. Policjanci poszli przodem, ale zachowywali się uprzedzająco grzecznie, traktowali mnie niczym ogromny statek, który trzeba wprowadzić do wąskiego portu, machali rękami jak kontrolerzy na lotnisku. Mieli zafrasowane miny i czekali na poczucie ulgi, kiedy przestanę być ich obowiązkiem, kiedy wreszcie ktoś mnie od nich przejmie.

Na posterunku było prawie pusto, ściany zdobiło kilka plakatów — nie umiałam odczytać, co głoszą, tekst był po grecku, a obrazy niejasne. Lampy w górze mrugały w nieregularnych odstępach. Przeprowadzili mnie szybko

przez poczekalnię, stały tam dwa rzędy plastikowych krzeseł z siedziskami wypaczonymi ze starości; wszystkie krzesła były puste, chociaż nie mogło być tak, żeby nic w tej okolicy się nie działo, na pewno było dużo do roboty z powodu samych pożarów (zaginięcia, niezidentyfikowane zwłoki, zrozpaczeni mieszkańcy). Zaprosili mnie do niewielkiego pokoju; gdy weszłam, zza biurka podniósł się jakiś mężczyzna, chociaż nie zrobił zbyt wiele, żeby się przedstawić, po prostu wstał i pokazał mi gestem, żebym usiadła.

Usiadłam. Policjant wrócił na swoje miejsce i zaczął przeglądać rozmaite akta, jak gdyby był bardzo zajęty, a zarazem znudzony sytuacją, co było całkowicie zrozumiałe. Na pewno miał sporo obowiązków i chociaż sprawy, które sprowadzały petentów do jego biura, z pewnością dla nich były ogromnie ważne, w jego przypadku chodziło tylko o kolejny dzień pracy, nie można było zatem oczekiwać, że będzie żył w atmosferze nieustannego dramatu, dzień po dniu, jego zadanie polegało na zachowaniu spokoju i rozsądku, nie mógł okazywać emocji.

Prawdę mówiąc, cały posterunek robił wrażenie przytłaczająco sterylnego, w niczym nie przypominał tego, czego można by się spodziewać na podstawie telewizyjnych seriali policyjnych, w których roi się od barwnych postaci i wielkich ludzkich dramatów, niczego takiego tutaj nie było widać. W końcu policjant podniósł na mnie wzrok i poprosił o paszport, który na szczęście przyniosłam, bo przyszło mi do głowy, że może być potrzebny, choć tamci dwaj policjanci nie kazali mi wziąć ze sobą żadnego dokumentu tożsamości. Podając paszport trzeciemu, powiedziałam: Nie przyjęłam nazwiska męża po ślubie, zostałam przy panieńskim.

Skinął głową, może ta informacja nie była dla niego istotna. Wstał z krzesła i trzymając paszport w ręce, oświadczył, że zaraz wróci.

Wsunęłam dłonie do kieszeni kurtki, znowu pomyślałam, że nie zadzwoniłam do Isabelli, że moja teściowa nie wie jeszcze o śmierci Christophera. Tutaj, w tym pokoju, realność jego zgonu otaczała mnie ze wszystkich stron, Isabella jednak nic o tym nie wiedziała, a chociaż ta nowa rzeczywistość była bardzo prawdziwa, to jeszcze niespójna, jeszcze nieprzezroczysta. Od chwili przyjazdu policji po mnie minęło trochę więcej niż godzina. Mężczyzna wrócił, przyniósł mój paszport i policyjny laptop, który następnie otworzył i postawił przede mną.

Oddaję pani paszport, powiedział. Podziękowałam, a on przesunął komputer o kilka cali i oświadczył, że pokaże mi zdjęcia — wskazał ręką laptop — na których podstawie zidentyfikuję ciało. Wywnioskowałam z tego, że najpierw obejrzę fotografie, a dopiero potem zwłoki — jak gdyby zdjęcia miały mnie na to przygotować niczym pielęgniarka, która przed zastrzykiem przeciera pacjentowi ramię spirytusem; rytuał wzmagający tylko jego strach.

To, co mnie czekało, wydawało mi się znacznie gorsze, więc powiedziałam mu, że wolę przejść do rzeczy, po prostu wolałabym zobaczyć zwłoki. Pokręcił głową, pewnie pomyślał, że zawodzi go jego angielszczyzna. Stwierdziłam, że jest mi przykro, że nie znam jego języka, a on znów pokręcił głową. Raz jeszcze wskazał laptop. Tylko zdjęcia, powiedział, po czym powtórzył: tylko zdjęcia. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie zgubili ciała, nie pozbyli się go albo nie okaleczyli w jakiś sposób, i czy nie zostały im jedynie fotografie — dalszy ciąg wymyślonego naprędce koszmaru. Po chwili zrozumiałam, że chodziło mu o to, że zdjęcia zostaną wykorzystane do identyfikacji, „tylko zdjęcia”, zwłoki są bowiem przechowywane gdzie indziej.

Zapytał, czy jestem gotowa; skinęłam głową. Nie spodziewałam się, że tak to będzie wyglądać; jakie to dziwne, że człowiek oczekuje czegoś

w sytuacji, której wcześniej nie potrafił sobie nawet wyobrazić, a przecież czegoś się tutaj spodziewałam. Byłam przygotowana na to, że zobaczę trupa, a teraz miałam obejrzeć jedynie zdjęcia, coś, co wydawało mi się niewystarczające, zbyt błahe jak na tak ponure wydarzenie, Christopher zginął w samotności i pozostanie sam w śmierci, nie będzie mu towarzyszyć nikt i nic poza fleszem aparatu fotograficznego.

Byłam bliska łez, tak mnie to przeraziło. Policjant dotknął klawiatury, budząc maszynę ze snu; na ekranie, na którym pojawiła się fabrycznie zainstalowana tapeta, prawie nie było ikonek. Zmarszczył brwi, klikając w jakiś folder — nie udało mi się odczytać jego nazwy, była po grecku, może znaczyła „Autopsje”, „Identyfikacja” albo po prostu „Fotografie”, nie miałam pojęcia — a potem zaczął przesuwać zaskakująco dużą liczbę plików, co najmniej pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt. Zajęło mu to sporo czasu; nucił przy tym coś niemelodyjnie, trzymając palec na laptopowej myszce.

Być może w ostatnich tygodniach doszło do wielu zgonów, nie było to wykluczone, w tych pożarach na pewno zginęli ludzie, z przerażeniem myślałam, co zobaczę na fotografiach. Policjant wydał cichy odgłos zadowolenia — wreszcie znalazł to, czego szukał — a potem bez dalszej straty czasu (zresztą o wszystkim już mnie uprzedził) kliknął w odpowiedni plik i ekran wypełniła twarz nieżywego Christophera, jego głowa spoczywała na jakiejś metalowej powierzchni, zapewne na stole sekcyjnym w gabinecie lekarza sądowego. Wpatrywałam się w zdjęcie, policjant mi się przyglądał, a potem dyskretnie odwrócił wzrok, jak gdyby chciał mi zapewnić chwilę samotności. Po chwili odchrząknął, a ja podniosłam na niego oczy, zaskoczona.

No i co?

Raz jeszcze spojrzałam na fotografię. Nie odezwałam się — tak, oczywiście, to był Christopher, ale nie rozpoznałam człowieka na zdjęciu, to znaczy to jednocześnie był i nie był mój mąż. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie, jedno oko miał na wpół otwarte, drugie zamknięte (okazało się, że kiedy zginął, nie miał otwartych ani zamkniętych oczu, bo jedno było otwarte, drugie zamknięte, i wydało mi się straszne, że nikt nie zadał sobie trudu, by zamknąć to otwarte), a usta rozchylone, jak gdyby doznał szoku, szoku własnej śmierci, w dodatku wyjątkowo gwałtownego; Christopher nie wydawał się bardziej oswojony ze śmiercią niż inni ludzie, może nawet mniej.

Była to twarz, jaką nieczęsto widujemy w życiu: nieupiększona twarz śmierci, różniąca się drastycznie od twarzy zmarłych, które widzimy w zakładach pogrzebowych albo maskach pośmiertnych, bo te oblicza zostały poddane obróbce, przywrócono im godność i wymyto z nich emocje. „Wyglądał, jakby spał” — często się tak mówi, próbując w ten sposób zaprzeczyć nieodwracalności śmierci, sen jest bowiem stanem pośrednim pomiędzy bytem i nicością, obecnością i nieobecnością. Ale to było coś więcej, „wyglądał, jakby spał” — zrozumiałam teraz, że ludzie usiłują w ten sposób udawać, że podróż w śmierć, proces umierania, w jakimś sensie odznacza się spokojem, choć prawie na pewno tak nie jest.

Twarz Christophera nie była twarzą człowieka, który śpi i jest spokojny. Była to twarz człowieka, którego coś przeraziło. Strach wszystkim twarzom nadaje znamię głupoty, emocje biorą górę nad inteligencją, urokiem, poczuciem humoru, dobrocią, nad cechami charakteru, po których rozpoznajemy poszczególnych ludzi i dla których się w nich zakochujemy. Ale kto się nie boi w obliczu śmierci? Dlatego nie mogłam stwierdzić od razu i definitywnie: to jest Christopher, bo to był, a zarazem nie był mój mąż, wyraz jego twarzy wydawał mi się nie do poznania i nawet jej rysy nie

przypominały w moich oczach rysów twarzy człowieka, z którym spędziłam pięć lat w związku małżeńskim i którego żoną nadal byłam.

Policjant pochylił się i ponownie kliknął w ten sam folder. Nie odpowiedziałam na pytanie, więc pomyślał pewnie, że muszę obejrzeć więcej zdjęć, żeby zidentyfikować męża, jak gdyby jedna fotografia nie wystarczyła, w niektórych przypadkach może tak właśnie było — sama się przed chwilą przekonałam, że śmierć odmienia ludzką twarz nie do poznania. Podniosłam rękę, żeby go powstrzymać, nie musiałam oglądać nic więcej, ewidentnie był to Christopher — w każdym razie kolejne fotografie nie rozwiałyby mojego poczucia, że nie jest to jego sobowtór, złudzenie optyczne czy coś w tym rodzaju.

To on, powiedziałam. To jest Christopher.

Wyraziłam się w taki sposób, w jaki wyraziłaby się większość z nas na moim miejscu, bo zdanie „Ten człowiek jest Christopherem” brzmiałoby nienaturalnie, nie byłabym w stanie powiedzieć czegoś takiego. Zresztą nie oddawało ono prawdy, nie było żadnego „człowieka”, w tym, co zobaczyłam, nie widziałam nic substancjalnego, wyłącznie zbiór pikseli, plik w laptopie. Nie chciałam oglądać zwłok, a jednak nie mogłam uwierzyć, że ich nie zobaczę. Poczułam nagle, że powinnam przynajmniej o to zapytać. Podniosłam głos: Gdzie jest ciało? — nie mogłam spytać: „Gdzie on jest?” — brzmiało to jak sprzeciw, ale w rzeczywistości było niemal akceptacją, a przynajmniej przyjęciem do wiadomości tego, że kiedy ktoś umiera, odchodzi i nie zostaje po nim nic poza ciałem, zostaje tylko ono, a nie on, wyłącznie podobizna takiego człowieka, jakim pamiętamy go za życia.

Policjant — który podniósł ręce znad komputera, gdy tylko się odezwałam, jak gdyby on też nie miał najmniejszej ochoty oglądać więcej zdjęć i odczuł ulgę; był w pracy, ale nie musiało to oznaczać, że lubi te

procedury — wzruszył ramionami. Zwłoki znajdują się w pomieszczeniu obok, odpowiedział. Określenie „w pomieszczeniu obok” zabrzmiało zbyt swobodnie, jak na tak poważną sprawę, miejsce spoczynku ciała mojego męża. W pomieszczeniu obok, powtórzyłam, zwłoki znajdują się w pomieszczeniu obok, czyli Christopher jest w pomieszczeniu obok? Policjant znowu wzruszył ramionami, wskazując ręką korytarz, jak gdyby ciało mojego męża nie leżało w żadnym konkretnym miejscu, tylko po prostu gdzieś tam, jakby się przemieszczało, wędrowało z pokoju do pokoju.

Zapytał: Czy chce je pani zobaczyć? Zaskoczyło mnie to, choć nie powinno — bo oczywiście proponuje się takie rzeczy żonie, wdowie, szczególnie jeśli pytała o to, gdzie jest ciało, i jeśli tak się dziwiła, że patrzy na zdjęcia, nie na zwłoki — i zawahałam się, nie dlatego, żebym była tak wrażliwa, chociaż to też, już samo oglądanie tych fotografii było dość okropne. Co więcej, zastanawiałam się, czy mam do tego prawo, czy może jest jakaś kobieta — przy zwłokach zawsze znajduje się jakaś kobieta, Maria Magdalena, Antygona, pani Capuleti, kobieta w wielu wcieleniach — która powinna tam być zamiast mnie, może Isabella, a może ktoś inny.

Christopher odszedł. To, co się teraz z nim działo, było jego osobistą sprawą — „istnieją w naszych myślach apartamenty, do których nigdy nie wchodzimy bez pukania, dlatego powinniśmy szanować cudze pieczęcie” — a co może być bardziej prywatnego niż śmierć, zwłaszcza tragiczna, czyli nienaturalna? Czy nie dlatego zdjęcia porozrywanych ciał z miejsc zbrodni albo wypadków samochodowych wydają się nam tak niesmaczne i czy nie dlatego gardzimy sobą, kiedy mimo woli wyciągamy szyje, widząc wypadek drogowy, nogi (nadal w butach) wystające spod niebieskiej płachty? Chodzi nie tylko o przerażenie związane z widokiem śmierci, lecz

także o pogwałcenie przestrzeni osobistej obcego człowieka, oglądanie czegoś, czego nie powinno się oglądać.

Skąd mogłam wiedzieć, czy Christopher chciałby, żebym go widziała w takim stanie — zezowate spojrzenie, rozchylone usta; był próżny, miał poczucie przyzwoitości, już sama myśl o takiej śmierci byłaby dla niego upokarzająca — skąd mogłam wiedzieć, kim dla niego byłam w ostatnich chwilach życia? Ale przecież ktoś musiał obejrzeć jego trupa. Nie telefonowałam jeszcze do Isabelli, przyleci najwcześniej jutro, wtedy od momentu śmierci minie już co najmniej czterdzieści osiem godzin, Christopher znajdzie się w stanie częściowego rozkładu, starszej kobiety raczej nie należy zmuszać do oglądania takich rzeczy, bez względu na to, jak silna jest psychicznie — nie, zwłoki mojego męża nie powinny leżeć nieoglądane tak długo.

Tak, zwróciłam się do policjanta, który podniósł wzrok, jak gdyby zdumiony. Chciałabym go zobaczyć. Skinął głową, sięgnął do kieszeni i wyjął pęk kluczy.

# 8.

Wśród rzeczy Christophera znalazłam stary, czerwcowy egzemplarz „London Review of Books”. Właściwie nie było to zaskakujące, stare wydania tego pisma i gazet walały się po całym naszym mieszkaniu, łazienka była pełna różnych tytułów prasowych nawet sprzed roku. W tym numerze znalazło się kilka interesujących artykułów, które moim zdaniem podobałyby się Christopherowi i które na pewno czytał — przywiózł przecież ten magazyn aż do Grecji, może nawet przeglądał go w samolocie.

Ogólnie rzecz biorąc, miał ze sobą sporo lektur, w walizce było dużo książek, czasopism, notesów i gazet. Najwyraźniej zamierzał zabawić w Grecji przez jakiś czas, może naprawdę liczył, że skończy pisać książkę podczas tej podróży. Wtedy jeszcze nie zajrzałam do jego komputera, nie otwierałam plików, nie przeglądałam dokumentów, żeby na polecenie jego agenta, redaktora, a także Isabelli sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co nadawałoby się do publikacji — bo naturalnie Isabella musiała mieć w tym swój udział. Opierałam się, odkładałam tę chwilę, podejrzewałam od samego początku, że będzie to niepokojące doświadczenie, jak gdybym szperała w czyimś umyśle, w prywatnych myślach zmarłego.

Kiedy usiadłam wreszcie przed komputerem — znanym mi urządzeniem, widywałam je codziennie, kiedy mieszkaliśmy razem z Christopherem — przypomniałam sobie, jak gwałtowna i nienaturalna jest każda śmierć, w każdym razie taka, jaką znamy: zawsze coś nam przerywa, zawsze pozostaje po nas coś, czego nie zdążyliśmy dokończyć. Było to widać

w laptopie Christophera, ekran pokrywała skomplikowana mozaika plików i dokumentów, znalazłam przynajmniej sto folderów, czasami noszących dziwne nazwy, takie jak „Cudze utwory” albo „Internet”. Folderom nazwy nadaje się bezmyślnie, niektóre są oczywiste — „Konta”, „Artykuły” — inne przypominają jednak szuflady pełne śmieci, właściwie nie pamiętamy, co w nich jest, i nie wyobrażamy sobie, że pewnego dnia ktoś będzie je przepatrywał.

A przecież właśnie to w tej chwili robiłam. W szufladach pełnych śmieci, gdzie szukałam dokumentów, które zdaniem Isabelli, agenta i redaktora musiały gdzieś tam być — chodziło im o tekst, niemal już ukończony, który Christopher, nic mi o tym nie mówiąc, obiecał oddać wydawcy w ciągu sześciu miesięcy; termin minął wkrótce po jego śmierci i stało się to przerażającym potwierdzeniem kłamstwa, którym poczęstowałam Isabellę, mówiąc o pracy Christophera i o tym, że już prawie skończył książkę, a które teraz okazało się w pewnym sensie prawdą, w każdym razie on sam wielokrotnie je powtarzał — znalazłam też inne rzeczy. Christopher chyba by nie chciał, żebym je kiedykolwiek zobaczyła: na przykład folder ze zdjęciami pornograficznymi, które ściągnął z sieci.

Z pozoru nie było tam nic szczególnie bolesnego do odkrycia, mój mąż nie miał skłonności do fetyszystycznego porno hołdującego wyjątkowo brutalnej przemocy, nie kolekcjonował erotyki gejowskiej ani nie odwiedzał takich stron, jak „Czarne piękności” albo „Gorące Azjatki analne”. Słyszałam opowieści o podobnych przypadkach, koniec końców sprowadzające się do jednego, a mianowicie do zrozumienia, że nigdy nie spełniamy ani nawet nie próbujemy spełnić sekretnych pragnień, najbardziej sugestywnych marzeń partnera. Że na pewnym poziomie nigdy nie byliśmy tym, kogo szukali on czy ona, że myśli naszego partnera lub partnerki ciągle błądziły gdzie indziej albo że zadowalali się tym, co

dostawali, czymś, co stawia historię naszych seksualnych spotkań w kiepskim i upokarzającym świetle, bo on starał się nie widzieć swojej kobiety, a w każdym razie nie taką, jaka była.

Nic takiego tam się nie znajdowało. A jednak byłam spięta, kliknęłam cztery albo pięć plików JPG, zanim z bijącym sercem zamknęłam folder. Zdjęcia nie były nawet wyjątkowo sprośne, jak na pornografię, ani jakoś szczególnie osobiste — pornografia dowodzi, że pożądanie ma charakter ogólny, wyglądało na to, że Christopher żywił takie same pragnienia, jak wielu innych mężczyzn, podobał mu się seks w trójkącie, oral, takie rzeczy. W kilku plikach znalazłam zdjęcia dwóch kobiet, nie było w tym jednak nic szczególnie szokującego, przeciwnie, o takich upodobaniach Christophera wiedziałam z pierwszej ręki.

Większość fotografii miała się odbiorcy kojarzyć z „Żonami czytelników” — popularnymi kiedyś w Anglii — czyli z amatorskimi zdjęciami zwykłych ludzi, stanowiącymi obecnie dominującą manierę estetyczną w pornografii internetowej. Jakość zdjęć była kiepska, oświetlenie ostre i niekorzystne dla modeli, tło tchnęło prymitywnym, prowincjonalnym luksusem, duże salony z kanapami ze skaju i meble ze szkła i stali. Dziewczyn, chociaż ładne, nie dało się pomylić z gwiazdami porno, prawie nie miały makijażu i nie było widać na ich ciałach śladów operacji plastycznych.

Mimo to najwyraźniej czuły się swobodnie przed obiektywem. Zachowywały się jak profesjonalistki, to charakterystyczna cecha epoki, w której żyjemy, ludzie robią sobie zdjęcia po całych dniach, uwieczniają byle co i w każdej sytuacji — jak jedzą śniadanie, jadą pociągiem albo stoją przed lustrem. Zdjęciom, mnożącym się w naszych telefonach, komputerach i w sieci, nie dodaje to jednak cech prawdy ani realności, raczej przeciwnie: to sztuczność fotografii wtargnęła do naszego

codziennego życia. Pozujemy cały czas, nawet kiedy nikt nas nie fotografuje.

Dwa z tych zdjęć, które znalazłam u Christophera — jakościowo mieszczące się pomiędzy fotografią zawodową i amatorską — przedstawiały kobietę kompletnie nagą, jeśli nie liczyć sportowych podkolanówek. Nie przypuszczałabym, że skarpetki jakoś specjalnie go kręcą, dziewczyna była jednak młoda i atrakcyjna. Na pierwszym zdjęciu siedziała na brzeżku krzesła z szeroko rozstawionymi nogami, głową odrzuconą w tył i rozchylonymi ustami, jak gdyby w ekstazie. Na drugim podtrzymywała obiema rękami piersi i pochylała się naprzód, usta wciąż miała otwarte, ale jakby w bardziej praktyczny sposób; z takimi ustami można było zrobić tylko jedno: należało po prostu coś w nie wsunąć.

Obie te pozy powielano już tysiące, a może miliony razy, w Internecie roiło się od zdjęć kobiet w dokładnie takich pozycjach, modelki miały nawet identyczne miny — wiedziałam jednak, że dla stymulacji i pobudzenia płciowego nie istnieją żadne przeszkody, mało kto przejmuje się kiczem, kiedy odczuwa podniecenie albo gdy go szuka. Christopher niewątpliwie się onanizował, oglądając te zdjęcia — po to przecież istnieje pornografia, w jakim innym celu zadałby sobie trud ściągnięcia tych fotografii, jeśli nie po to, by niezawodnie mogły mu dostarczać dreszczyku przyjemności?

Może jednak nie chodziło o aż tak oczywisty i żałosny scenariusz: Christopher zgarbiony przed komputerem, jego twarz oświetlona blaskiem monitora. Może te fotografie wzbudzały w nim podniecenie, zaspokajane następnie z partnerką z krwi i kości, z jedną albo z dwiema kobietami, które czekały na niego w sypialni albo oglądały te zdjęcia razem z nim, mogło się nawet zdarzyć, że pewnego razu tą kobietą byłam ja. Kobietą, z którą przystępował potem do działania: pornograficzny obraz tkwił wciąż w jego

wyobraźni, był suplementem żyjącego, oddychającego ciała, które samo w sobie już mu nie wystarczało, prawdziwy seks na żywo zawsze stanowił lekkie rozczarowanie w stosunku do bezgranicznych obietnic fantazji pornograficznych, do bezmiaru Internetu.

Otworzyłam jego komputer dopiero kilka tygodni, a nawet miesięcy później; z kolei czerwcowe wydanie „London Review of Books” zobaczyłam zaledwie kilka dni po jego śmierci, czy raczej po otrzymaniu informacji, że nie żyje. Wtedy do Mani przyjechała już Isabella. Zadzwoniłam do niej z posterunku, kiedy obejrzałam ciało Christophera, leżące na stalowym stole; cały był przykryty prześcieradłem, łącznie z twarzą. To jeszcze bardziej odebrało mi odwagę, chociaż nie było żadnego powodu, bym mogła się spodziewać, że zostanie ułożone inaczej, na przykład z prześcieradłem podciągniętym tylko na wysokość ramion, jak gdyby leżał w łóżku, „jak gdyby spał”.

Nie wyglądał na śpiącego. Gdy policjant odsunął nakrycie, okazało się, że twarz mojego męża zastygła w takim samym wyrazie, jaki widziałam na zdjęciach — znowu zadziałała tutaj wyobraźnia, zawsze głupia i powolna w takich sytuacjach, sądziłam, że twarz Christophera będzie inna, będzie wyglądać inaczej, była jednak dokładnie taka sama, jak na fotografii — zezowate spojrzenie, otwarte usta. A przecież rana z tyłu jego głowy, czarna skorupka krwi, była większa i otwarta szerzej, niż się spodziewałam, zdawała się wciąż żywa, jak gdyby nadal przysparzała mu cierpień, jak gdyby Christopher wciąż odczuwał ból, tutaj, na moich oczach.

Odwróciłam się od stołu. Zasłaniając z powrotem twarz zmarłego prześcieradłem, policjant powiedział, że ciało zostanie raczej odesłane do domu niż pochowane czy skremowane w Grecji. Skinęłam głową, chociaż prawdę mówiąc, nie wiedziałam, nie miałam najmniejszego pojęcia, czego życzyłby sobie w tej kwestii mój mąż, nie przypuszczałam, żeby miał jakieś

życzenia. Musi pani poinformować swoją ambasadę, a zwłoki trzeba będzie zabalsamować, im szybciej, tym lepiej, stwierdził policjant. Istnieją po temu odpowiednie procedury. Ponownie kiwnęłam głową i odpowiedziałam, że zaczniemy działać, kiedy tylko przyleci matka Christophera, a on odwrócił się, zadowolony.

Nie spytał, dlaczego muszę w tej sprawie czekać na Isabellę, być może Grekowi taki szacunek dla matki wydawał się jak najbardziej naturalny. Tak czy inaczej, pojawiła się szybko. Isabella i Mark złapali pierwszy lot z Londynu, już następnego ranka. Isabella, gdy dodzwoniłam się do niej z posterunku, zachowała dziwny spokój. Powiedziała: O, nie, a potem zamilkła na tak długo, że przyszło mi do głowy, że zemdlała. Zawołałam ją kilka razy po imieniu, później Mark przejął słuchawkę i musiałam wszystko mu powtórzyć: Christophera znaleziono martwego, nie żyje. W tle słyszałam płaczącą Isabellę, cichy, straszny płacz. Zasłoniłam ręką usta. Rozległ się głuchy łoskot, jak gdyby moja teściowa upadła na podłogę. Zamknęłam oczy. Będę musiał zadzwonić do ciebie raz jeszcze, powiedział Mark, oddzwonię.

Mniej niż dwadzieścia cztery godziny później stałam pod bramą hotelu, gdy podjechał samochód, w którym jak skamieniali siedzieli z tyłu Mark i Isabella. Na pewno kazali kierowcy się spieszyć, było dopiero kilka minut po dwunastej w południe. Isabella wysiadła, nie spojrzała na mnie, tylko potoczyła wzrokiem wokoło — popatrzyła na drogę, potem na góry i niebo, jak gdyby próbowała zrozumieć, co sprowadziło jej syna w takie miejsce. Przyglądałam się jej spod bramy, osłaniając ręką oczy przed ostrym słońcem. Temperatura spadała z dnia na dzień, zauważyłam, że moi teściowie noszą lekkie płaszcze; choć pogrążeni w rozpaczy, najwyraźniej sprawdzili prognozę pogody, zanim się spakowali. Słońce, mimo wszystko, świeciło jeszcze jasno.

Z początku Isabella rozglądała się po okolicy ze zdziwioną miną — taką, z jaką piękna żona przypatruje się twarzy ordynarnej kochanki męża, twarzy zdrady — po chwili jednak zrozumiałam, że patrzy nie ze zadziwieniem, lecz z nienawiścią, z taką samą wrogością, jaką żona zawsze odczuwa w końcu wobec kochanki. Będzie nienawidzić tego miejsca do końca życia, do dnia swojej śmierci. Kiedy podeszłam z wyciągniętymi rękami — objęłyśmy się, ale ostrożnie, jak gdybyśmy obie były nie wiadomo jak kruche — uświadomiłam sobie, że chociaż Isabella zawsze mnie nie cierpiała, to jej niechęć do mnie w tej chwili przygasła i znalazła sobie inny obiekt. Zabrałam jej Christophera, owszem, ale nie do końca, nie w taki sposób.

Jedno z pierwszych pytań, jakie zadała, kiedy wskazano jej pokój i zamknęły się za nami drzwi (wysłała Marka z ewidentnie pretekstową misją do miejscowej apteki, twierdziła, że boli ją brzuch, ma mdłości, chorobę lokomocyjną po podróży samochodem), brzmiało następująco: Po co on tu przyjechał? Stała przy oknie, Kostas zameldował Isabellę i Marka w apartamencie, ale nie w tym, który zajmował wcześniej Christopher. Patrzyłam na nią i nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem byłyśmy tylko we dwie. Odwzajemniła moje spojrzenie, przez chwilę jak gdyby połączyła nas naprawdę bliska więź, jeden z naszych mężczyzn nie żył, a drugi dostał zadanie do wykonania. Może teraz naprawdę byłyśmy ze sobą blisko.

Nie wiem, odpowiedziałam. Nie znalazłam go w porę, przyjechałam za późno.

Pokręciła głową, zacisnęła usta. Na pewno w grę wchodziła jakaś kobieta, Christopher nigdy nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach.

Byłam oszołomiona, nigdy nie słyszałam, żeby używała tak wulgarnego języka ani żeby mówiła o swoim synu w podobnie agresywny i krytyczny

sposób. Wyraziła się tak, jak gdyby nie zginął, tylko po prostu uciekł, jakby zamierzała palnąć mu kazanie, kiedy w końcu wróci; zrozumiałam, że całkowicie wyparła wiadomość o śmierci Christophera.

Stała przy oknie, wyglądała na morze z niezmiennym wyrazem twarzy — kobieta pełna złości na całą tę historię, na to miejsce i śmierć swojego syna, z którą nie umiała się pogodzić. Złościła się na niego, bo ośmielił się umrzeć, postawić ją w nienaturalnej sytuacji, ponieważ teraz będzie musiała przeżyć koszmar, którego boi się każda matka, i pochować swoje jedyne dziecko. Strasznie było patrzeć na jej twarz, jak gdyby zapadniętą pod ciężarem smutku, którego nie umiała bezpośrednio wyrazić, współczułam jej bezwzględnie w tym nieszczęściu, a jednak, kiedy zaczęła mówić dalej, chciałam, żeby przestała.

Wydaje mi się, że w naszych czasach nazywa się to uzależnieniem od seksu. Mężczyźni nie potrafią przestać uganiać się za kobietami, nawet kiedy robią z siebie idiotów. Jest jeszcze gorzej, kiedy przybywa im lat. Nie ma nic gorszego niż dyszący starzec. Oczywiście część odpowiedzialności musisz wziąć na siebie, dodała. Ale nie mam do ciebie pretensji, znam swojego syna, wydaje mi się, że żadnej kobiecie nie udałoby się go powstrzymać od skoków w bok.

Jej oczy nagle wypełniły się łzami, jak gdyby mówiła nie o niewierności dziecka, lecz o jego śmierci — bo rzeczywiście to właśnie miała na myśli, i nie myliła się, żadna kobieta nie mogłaby uchronić go też przed śmiercią. Stosunki między wami musiały być napięte, Christopher nigdy nie powiedział na ten temat ani słowa, ale ja to wyczuwałam. Zamilkła. Gdyby tylko nie miał jakiegoś powodu, żeby tu przyjechać…

Przyjechał do Grecji, odparłam, żeby zebrać dokumentację, skończyć książkę.

Raptownie pokręciła głową. Książka była tylko wymówką, powiedziała, Christopher nigdy nie traktował swojej pracy poważnie. Zawsze dokądś uciekał. Zawsze się dokądś wybierał, udawał bardzo zajętego. Bał się chyba, że jeśli przestanie to robić, zrozumie, że jego życie jest puste.

Było to niesprawiedliwe — chociaż kochała syna bez pamięci, nie potrafiła go traktować serio. Umarł, więc nigdy już nie będzie zmuszona przyznać, że był bardzo ambitny, że pozostawił po sobie niedokończoną pracę. Nie patrzyła na mnie. Powiedziałam, że niewiele brakowało, aby skończył książkę (kłamstwo), że czytałam całe jej rozdziały (kolejne kłamstwo) i że można było w niej znaleźć nawet pewien tragiczny związek (już samo to określenie brzmiało fałszywie) z dokumentacją, którą gromadził tutaj, na południu Peloponezu.

Isabella nie odpowiedziała, może nie usłyszała, co do niej mówiłam. Stała przy oknie, wyglądała jak najsmutniejsza kobieta na świecie. W każdym razie, stwierdziła, patrząc dalej na morze, kochałaś go. Pomimo jego wad. A to jest coś. Umarł kochany. Nie spojrzała na mnie w poszukiwaniu potwierdzenia swoich słów — może nawet nie było jej potrzebne, rozumiało się samo przez się, że kochałam Christophera, która żona nie kocha swojego męża? Nawet jeśli dawał jej powody, żeby go nie kochała? Nastąpiła dłuższa cisza, której Isabella wydawała się nie zauważać, zanim odpowiedziałam: Tak, Christophera kochało wiele osób, nie ma wątpliwości, że umarł kochany.

Ty też go kochałaś, odrzekła z uporem, a miłość żony ma inny charakter, jest ważna.

Ważniejsza niż miłość matki? — zapytałam. I natychmiast zaczęłam tego żałować, cofnęłabym to pytanie, gdybym mogła, właśnie zginął syn tej kobiety, jeżeli nie potrafię być dla niej wielkoduszna w takiej chwili, to kiedy? Ale Isabella odpowiedziała ponuro: Tak, to najważniejsza miłość, bo

miłość matczyna jest dana, oczywista. Dziecko przychodzi na świat i matka będzie je kochać aż po kres swojego życia, a ono nie musi robić nic szczególnego, żeby sobie na to zasłużyć. Ale na miłość żony trzeba zapracować, najpierw ją zdobyć, a potem podtrzymać.

Zamilkła, po czym dodała, według mnie bez złośliwości: Ty nie masz dzieci, może trudno jest ci to zrozumieć. Odpowiedziałam: Tak, kochałam go, Isabello, umarł kochany, a ona na to: Ach. To wszystko, co chciałam wiedzieć.

***

A jednak jej słowa powróciły do mnie, kiedy przeglądałam rzeczy Christophera, pakując je tak, by można je było zabrać z powrotem do Londynu (obsługa hotelowa powrzucała je po prostu do pudeł bez ładu i składu, a ja nie mogłam prosić Isabelli, żeby się tym zajęła. Moja teściowa, której rozpacz już wysunęła się na pierwszy plan, ze względu na swój egotyzm i nieświadomość naszego rozstania z Christopherem uważała, że smutek wdowy nie ma prawa stawiać żadnych żądań, i pogodziłam się z tym).

Kiedy znalazłam tamto czerwcowe wydanie „London Review of Books”, było otwarte na jednej z ostatnich stron. Mieściły się tam ogłoszenia drobne i reklamy różnych nieruchomości: „Dom w stylu kolonialnym na wybrzeżu Goa, cztery kilometry od Monte San Savino, niezbędne własne cztery kółka, energetyzujący urlop pisarski w luksusowym ustroniu”. W lewym dolnym rogu, na stronie, gdzie gazeta była otwarta i przetarta wokół zszywaczy, jak gdyby kilkakrotnie ją składano i rozkładano, widniała reklama w zakreślonej długopisem ramce:

*NIEWIERNOŚCI: Czy twoje życie nieco już zwietrzało i zrobiło się nudne? Czy dyskretne randki nie przywrócą mu tej wyjątkowej iskry? „Niewierności” zapewnią ci kontakt z nowymi partnerami i partnerkami oraz możliwość nawiązania alternatywnych znajomości. Oferujemy osobisty, profesjonalny, specjalnie przygotowany plan, niewymagający żadnych poszukiwań w Internecie. Szczególnie chętnie witamy w naszym unikalnym projekcie kobiety. Telefonujcie do Jamesa, zapraszamy do prywatnej, przyjacielskiej pogawędki.*

Dalej można było znaleźć numery telefonów — zarówno stacjonarnego, jak i komórkowego. Kiedy czytałam reklamę po raz drugi, pomyślałam poniekąd mechanicznie, że copywriter zupełnie nie ma wyczucia językowego: dlaczego na przykład pisze: „nieco już zwietrzało” zamiast po prostu „zwietrzało” albo o „tej wyjątkowej iskrze” zamiast po prostu o „iskrze”? Może w normalnych okolicznościach byłoby to bez znaczenia, ale reklama znalazła się w „London Review of Books”, piśmie mającym wykształconych i wyrafinowanych czytelników, którzy właśnie za takich się uważali. Stylistycznie ogłoszenie było fatalne, z jednej strony czytało się je jak ofertę z banku albo propozycję korzystnej inwestycji, bo pojawiało się w nim na przykład słowo „plan”, a z drugiej przypominało jakiś kiepsko opracowany eksperyment z wolną miłością; dlaczego przedstawiać go jako unikalny projekt i mówić w takim kontekście o związkach alternatywnych?

Wygładziłam magazyn, trochę mi drżały ręce. Ta ostatnia linijka, zaproszenie, żeby zadzwonić do Jamesa na prywatną, przyjacielską pogawędkę, uderzyła mnie jako najdziwniejsza, zwłaszcza że podano dwa numery, stacjonarny i komórkowy. Wyobraziłam sobie tego Jamesa; ciągle pod telefonem, gotowy rzucić wszystko, gdyby zadzwonił jeden czy drugi aparat, i rozpocząć prywatną i przyjazną pogawędkę o dowolnej porze dnia

lub nocy; im więcej o tym myślałam, tym bardziej przeszkadzała mi niespójność stylistyczna reklamy, bo z jednej strony coś miało być profesjonalne i specjalnie przygotowane, z drugiej natomiast zapraszano klientów do pogawędki, która miała wyglądać przyjacielsko.

Agent Christophera też nosił imię James, był czarującym, charyzmatycznym sześćdziesięciolatkiem, osobistością dobrze znaną w kręgach wydawniczych, i trudno było mi wyobrazić sobie mężczyznę, który bardziej by się różnił od Jamesa z ogłoszenia. A jednak może usługi, które oferowali, nie były aż tak odmienne: dyskrecja, współczucie, coś w rodzaju zawodowej poufałości — wyobraziłam sobie, że dobrotliwy agent Christophera dorabia pokątnie jako James z „Niewierności", pisze to ogłoszenie na swoim laptopie, wysyła je do działu reklamy „London Review of Books", czeka na telefony; bzdurna, ale mimo to zabawna wizja; może to właśnie echo imienia agenta skłoniło mojego męża do zaznaczenia tej reklamy w gazecie.

Tylko co właściwie „Niewierności" miały do zaproponowania na przykład komuś takiemu jak Christopher, który nie potrzebował żadnej pomocy, żeby cudzołożyć, i nie musiał szukać nowych kontaktów — spadały na niego tak, jak na innych depresja — a który poświęcił jednak chwilę, by zakreślić to ogłoszenie? Co mógł mu dać ten ich plan? Mojemu mężowi przydałaby się raczej pomoc w zarządzaniu schadzkami i kochankami, jakieś usługi o charakterze administracyjnym, organizacja romansów naprawdę mogła przyprawić go o ból głowy, trzeba było dobrze opracować kłamstwa, skoordynować harmonogram spotkań, ukryć dowody.

Tak, James z „Niewierności" miałby większe powodzenie, gdyby promował serwis, który naprawdę przygotowywałby specjalne plany (reklama starała się robić wrażenie wysublimowanego ogłoszenia z wyższej półki, w rzeczywistości brzmiała jednak prowincjonalnie, właściwie

niesmacznie). Wtedy Christopher może sięgnąłby po telefon i powiedział: Halo, potrzebuję pomocy w moich niewiernościach, a mówiąc precyzyjniej, potrzebuję pomocy w zarządzaniu nimi, bo zaczynają mi przysparzać problemów. Na to James wysunąłby szereg pomocnych sugestii albo propozycji, które mogłyby oczyścić potencjalnie ciernistą drogę zdrady, na przykład doradziłby mu zakup drugiego telefonu komórkowego albo prezentów dla żony, które trafiłyby w jej ręce w odpowiednim czasie.

Przede wszystkim James, życzliwy i dyskretny niczym ksiądz, wybaczyłby Christopherowi zdradę. Wtedy zrozumiałam, że to był prawdziwy powód, dla którego mój mąż zaznaczył to ogłoszenie. Nie trzeba było telefonować ani rozmawiać z Jamesem, wystarczyła ta reklama i jej bezczelne przesłanie — na świecie są inni ludzie, którzy robią to samo, a nawet tacy, którzy mają ochotę na niewierność, tylko nie wiedzą, jak zdradzać. Mój mąż na pewno poczuł się tym pokrzepiony, na pewno pomyślał, że to całkowicie naturalne, ten jego nałóg, który wykroczył już poza przyjemność i wszedł w jakąś o wiele gorszą fazę. Pod koniec życia Christopher był trochę jak Moira Shearer w *Czerwonych trzewikach*, zmuszony tańczyć bez najmniejszej przyjemności czy radości i wejść tanecznym krokiem do królestwa śmierci.

Ile dokładnie miał kochanek? „Nigdy nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach”. Ja wiedziałam o trzech, dla dobra nas wszystkich udawałam przed sobą i przed nim, że były tylko trzy, że ich liczba jest skończona. Trzy to już niedobrze, jak na tak krótkie małżeństwo, to już kilka zdrad, kilka romansów, nie jeden albo dwa. Ale zawsze wiedziałam, że były jeszcze inne kobiety, może wiele innych, „nie mam do ciebie pretensji, znam swojego syna, wydaje mi się, że żadnej kobiecie nie udałoby się go powstrzymać od skoków w bok”. Isabella traktowała niewierność Christophera jak coś w rodzaju raka, rokowania nigdy nie były dobre.

A mnie nie udało się go wyleczyć — teraz to do mnie dotarło i zrozumiałam, że chłód jej rozpaczy, ten niewytłumaczalny i beznamiętny jad, skierowany pod adresem syna, w końcu znajdzie swój prawdziwy cel. Odsunęłam gazetę. W końcu Isabella obwini mnie, już mnie obwiniała, chociaż na razie nie zdawała sobie z tego sprawy. Ścisnęło mi się serce — nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć na swoją obronę. Christopher nie żył, a ja mieszkałam z innym mężczyzną, pozostawiłam męża jego niewierności — tak, ostatecznie to ja od niego odeszłam.

# 9.

Czy to właśnie dlatego nie powiedziałam Isabelli i Markowi, że rozstałam się z Christopherem, ze względu na jej pytanie, zamaskowane w zdaniu oznajmującym — „umarł kochany” — i ze względu na poczucie winy, oczywiste poczucie winy żywych, które wbrew powszechnemu przekonaniu wcale niekoniecznie słabnie z upływem czasu? Już kiedy pierwszy raz trafiłam na posterunek, wiedziałam, że nie powiem o tym Isabelli, że odpowiednia chwila, żeby ją o tym poinformować, nadejdzie i odejdzie, a ja nic jej nie powiem.

Gdy zidentyfikowałam ciało i powiedziano mi, że mogę iść, wyszłam na ulicę, gdzie czekał na mnie Stefano. Jak się okazało, policjant zamówił samochód, który miał odwieźć mnie z powrotem do hotelu. Stefano podbiegł otworzyć drzwi wozu, czerwieniąc się coraz bardziej, jak gdyby na mój widok. Znieruchomiał, chwycił moją dłoń obiema rękami i zaczął szeptać jakieś kondolencje, których prawie nie słyszałam, może: „Dowiedziałem się o pani mężu” albo „Co za straszne wieści”, w końcu spuścił wzrok i powiedział już tylko, że jest mu bardzo przykro.

Kiwnęłam głową, wiedziałam, że znalazł się w dziwnej sytuacji, rozdarty pomiędzy autentycznym współczuciem — nie byliśmy przyjaciółmi, spędziliśmy ze sobą zaledwie kilka godzin, a jednak taksówkarz był z natury miły i wystarczająco empatyczny, żeby sobie wyobrazić, w jakim mogę być stanie — i jakimiś bardziej kompromitującymi emocjami, może ulgą, jeśli nie triumfem. Jeszcze nie podejrzewałam go o to, że przyjął

śmierć Christophera z radością, uważałam go za wrażliwego człowieka, a kontemplacja śmierci inaczej niż jako abstrakcji jest trudna nawet dla osób nieszczególnie wrażliwych.

A jednak było to jakieś wyjaśnienie, dostrzegłam je, choć znajdowałam się w stanie oszołomienia, może posunęłam się aż tak daleko, żeby pomyśleć: Przynajmniej ktoś na tym skorzysta, wszystko ma swoje plusy i minusy, nawet najdziwniejsze i najbardziej nieszczęśliwe zdarzenia. Usiadłam na tylnym siedzeniu, od razu wyczułam u Stefana zdenerwowanie, nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachowywać w towarzystwie świeżo owdowiałej kobiety, w przeciwieństwie do swojej babci nie miał żadnego doświadczenia w tym względzie. Nie wiem, co powiedzieć, jestem wstrząśnięty, oświadczył.

Skinęłam głową, nie znalazłam odpowiedzi na jego komentarz, chciałam przede wszystkim, żeby przestał gadać. Ale nie przestał. Przejeżdżałem przypadkiem tam, gdzie znaleziono jego ciało, ciągnął, byłem w pracy, facet, którego wiozłem, się spieszył, a ta szosa to najkrótsza droga między miasteczkami. Ukryłam twarz w dłoniach. Bolała mnie głowa, miałam rozpaloną twarz. Nie wiem, gdzie znaleziono ciało, powiedziałam, nie poinformowali mnie o tym.

Nie wiedziałem, że to pani mąż, dodał gorączkowo. Droga była zablokowana, stał tam radiowóz, ale nie zauważyłem zwłok — pojawiła się nieproszona wizja, nogi pod brezentową płachtą, stopy przekrzywione na boki, a Stefano mówił dalej — dopiero później dowiedziałem się, kto to był, zaszokowało mnie to, wiozłem go kilka razy, kiedy potrzebował samochodu, mieszkał w naszym miasteczku prawie cały miesiąc.

Opuściłam ręce. Była to chwila niezwykłego potwierdzenia moich podejrzeń, próbowałam sobie przypomnieć, co Stefano wcześniej powiedział o Christopherze — prawie nic, tylko tyle, że wiedział, iż

czekałam, aż wróci. Na pewno nie mówił, że Christopher był jego klientem i że siedział w jego samochodzie, tu gdzie ja w tej chwili. Ale czy nie wyobrażałam sobie Christophera, jak jedzie w tym samym aucie, zajmuje miejsce koło mnie, i czy taka ewentualna koincydencja nie wydawała mi się zaledwie niepokojąca? Teraz gdy Christopher już nie żył, związek między nim i tym człowiekiem wydawał mi się bardziej alarmujący, brzemienny w możliwe znaczenia.

Czy Stefano woził Christophera, zanim się dowiedział, że mój mąż spał z Marią, później, czy i wcześniej, i później? Może Christopher i Maria umówili się w tym miasteczku na potajemne spotkanie po powrocie Christophera z Cape Tenaro — dziwne miejsce, ale taka schadzka nie była wykluczona, spacer za miastem po podróży samochodem — i Stefano pojechał tam śladem Marii, na własne oczy zobaczył grzeszną parę razem, oburzający widok. A potem, kiedy dziewczyna niechętnie wróciła do domu, może Stefano wyskoczył z jakiegoś ukrycia, żeby zaatakować człowieka, który tak beztrosko wywrócił jego życie do góry nogami — ludzie w podobnych sytuacjach tracą głowę, istniały wątpliwości, czy zadany Christopherowi cios miał być śmiertelny.

Stefano chyba nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś niefortunnego. Miałam ochotę zapytać, ile razy go wiózł i kiedy ostatnio. Może nawet zabrał Christophera — który właśnie wrócił z objęć nieznanej kobiety z Cape Tenaro i już szukał innej — z miejscowego przystanku autobusowego, chociaż Christopher nigdy nie wsiadłby do autobusu, taki scenariusz był raczej niemożliwy. Stefano spojrzał w lusterko wsteczne, domyślał się, że go obserwuję.

Odwróciłam wzrok. Może Christopher zapomniał, jak Stefano się nazywa, a może pamiętał i powitał go na tym niemożliwym przystanku autobusowym, bo imię kierowcy przypomniała mu Maria, mogła je

wymienić w czasie nieudanej próby obudzenia zazdrości w Christopherze, który moim zdaniem zazdrosny w ogóle nie bywał. Niewykluczone, że Christopher nawet do niego zadzwonił — bo Stefano podsunął mu wizytówkę w czasie jakiejś wcześniejszej podróży — mogli rozmawiać w drodze, może Christopher opowiadał mu szczegółowo o swojej wyprawie, wycieczce, którą odbył w ostatnich dniach swojego życia, o czym żadne z nas nie miało wtedy pojęcia.

Stefano patrzył na drogę, dawno już zamilkł. Taka wizja — choć może fantasmagoria byłaby trafniejszym słowem, nie miałam co do tego pewności — zaparła mi dech w piersi, nagle jednak odniosłam wrażenie, że po prostu puściłam wodze wyobraźni. Gdyby Stefano był winny temu przestępstwu, gdyby zabił człowieka, czy powiedziałby mi — wdowie, osobie, która powinna być najbardziej zainteresowana sprawą — że woził Christophera? Po co jeszcze ciaśniej splatałby los Christophera ze swoim? A może była to po prostu reakcja nerwowa, bo ponoć przestępcy chcą czasem zostać schwytani.

Siedział z przodu, za kierownicą, i nieoczekiwanie stał się nieznaną wartością, materialną masą możliwości. Wyczuwałam, że jest zdolny do przemocy, co samo w sobie w ogóle się nie liczy, większość mężczyzn potrafi użyć siły, tak jak i większość kobiet. W fałszywym oskarżeniu człowieka o morderstwo, nawet tylko w myślach, było coś okropnego. Ziarno tego rodzaju domniemania zatruwało wszystko, kiedy zostało zasiane, wątpliwości właściwie nie dają się rozwiać, wiedziałam już o tym po moim związku z Christopherem, nasze małżeństwo zginęło z ręki mojej wyobraźni. Mimo to nie mogłam się powstrzymać. Nachyliłam się i zapytałam: Kiedy wiózł pan Christophera?

Na początku jego pobytu tutaj, tylko ze dwa razy. Nie korzystał więcej z moich usług, nie wiem dlaczego.

Odpowiedział bez namysłu, całkowicie naturalnym, normalnym głosem. Mówił jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia, i nie dodał nic więcej, pomyślał pewnie: Ta kobieta przeżyła wstrząs, najlepiej będzie dać jej spokój, nie pozostaje mi nic do powiedzenia. Wpatrywałam się w jego kark, w ręce na kierownicy, znów się zastanawiałam, do czego jest zdolny, a potem poczułam falę swobodnych emocji. Cokolwiek Stefano zrobił czy czego nie zrobił, jego życie zostało wykolejone przez przyjazd Christophera. Znów pojawiło się we mnie — nie można było temu zaprzeczyć, natychmiast je rozpoznałam — współczucie dla tego człowieka. Identyczny mechanizm zniszczenia działał w moim życiu, był czymś, co dzieliliśmy. Milczałam, żadne z nas już się nie odezwało, dopóki nie dotarliśmy bezpiecznie do hotelu.

Dwa poranki później, dzień po przyjeździe Marka i mojej teściowej, spotkałam się z Isabellą na śniadaniu. Gdy przyszłam, siedziała już przy stole na drugim końcu tarasu, z którego roztaczał się niczym nie przesłonięty widok na morze. Była zwrócona tyłem do mnie, jak gdyby sztywna na całym ciele, wyglądała niczym posąg albo drewniana rzeźba, całkowicie nieruchoma, i chociaż niewątpliwie ogarniało ją zmęczenie — kiedy się odwróciła, dostrzegłam, że wokół jej oczu i ust tworzą się zmarszczki, a delikatna twarz jest napuchnięta od stresu — nie można było odgadnąć, ile ma lat, jak gdyby zmumifikowała samą siebie siłą woli.

Mam nadzieję, że nie czekałaś długo.

Odpowiedziała po chwili: „Nie”, a może: „Nieważne”, po czym powoli odwróciła się twarzą do stolika. Usiadłam naprzeciwko i zamówiłam kawę, zauważyłam, że jej filiżanka jest już pusta. Kelner zapytał, czy chciałaby jeszcze kawy. Kiwnęła głową, nie patrząc mi w oczy. Dopiero kiedy odszedł, podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

Chcę cię przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. Nigdy nie powinnam była mówić takich rzeczy o Christopherze. Mark bardzo się na mnie rozgniewał, kiedy mu o tym powiedziałam.

W jej zachowaniu na chwilę pojawiła się nuta kokieterii, jak gdyby teściowa zapraszała mnie do obejrzenia domowego konfliktu między nimi, rozrywkowego spektaklu z udziałem jej kobiecego szacunku oraz jego męskiego autorytetu — o ile wiedziałam, Mark raczej nie był czepialski — choćby na krótką chwilę, w której zapomniałaby o swoim smutku i mogłaby się zabawić.

Jeszcze chwila i jej wesołość zniknęła. Isabella zmarszczyła brwi, splotła ręce na kolanach. Była ostrożna, najwyraźniej chciała zatrzeć wrażenie, jakie dzień wcześniej wzbudziły we mnie jej emocje, które teraz wywołały w niej skruchę.

To wszystko nieprawda. A poza tym ty ewidentnie nic o tym nie wiedziałaś.

Mówiła z namysłem, ale zdawałam sobie sprawę, że bez większego sensu, bo skoro to wszystko nieprawda, to jak mogłam o tym nie wiedzieć? (Jak mogłabym o czymś wiedzieć, jeśli to była nieprawda, niby co miałabym wiedzieć w takim przypadku? Czy chodziło jej tylko o to, że nie żywiłam nieuzasadnionych podejrzeń i nie słyszałam nieprawdziwych plotek?) Wyglądała na zmęczoną, na pewno nie spała dobrze. Odwróciłam wzrok.

Nie mówmy o tym.

Isabella i Mark też mieli coś do ukrycia, nie tylko ja. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym się tego nie domyśliła. Nie miałam pojęcia, jak powiedzieć teściowej, że jej wynurzenia to jedynie potwierdzenie czegoś, o czym wiem już od dawna, chociaż przez lata nie chciałam tego dopuścić do świadomości, aż wreszcie nawet ja nie mogłam dłużej podtrzymywać tej

fikcji ani w nią dalej wierzyć. Należało wysunąć pewne argumenty — że monogamia jest nienaturalna, prawie na pewno, choć z drugiej strony bardzo wielu osobom udaje się jej dochować albo prawie dochować, a w każdym razie wielu ludzi próbuje żyć w monogamicznych związkach. Czy Christopher też próbował? Możliwe, a przynajmniej realne — ale nie była to pora na takie argumenty. Ich czas już przeminął.

Tak czy inaczej Isabella nie wyglądała na kogoś, kto czułby się częściowo winny, jej skrucha nie wydała mi się szczera ani długotrwała. Kelner przyniósł Isabelli śniadanie — dużą tacę pełną grzanek, soku pomarańczowego, jajek w koszulkach i boczku — które jadła z zaskakującym apetytem. Sądziłam, że zmartwienie go jej odbierze, ale jak wielu Anglików, miała zdrowy i nieugięty organizm.

Zjadła śniadanie, które w każdych okolicznościach zostałoby uznane za duży posiłek, a w zaistniałej sytuacji na pewno za ogromny, jej mocne zęby przegryzały się z chrzęstem przez grzanki, boczek i jajka. Delikatnie otarła usta — udawanie delikatności po takim pokazie apetytu było nonsensem, ale leżało w jej charakterze, podobnie jak delikatność — po czym odłożyła serwetkę na stolik.

Jak myślisz, szybko aresztują zabójcę?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Isabella nie podejmowała dotąd kwestii śledztwa, a nawet nie mówiła o tym, że jej syn nie umarł tak po prostu, lecz został zamordowany, w jej głosie zabrzmiała jakaś surowa promienność, przez co wydała mi się jeszcze delikatniejsza. Zwykle ludzie mają do czynienia w takich sytuacjach tylko z jednym niesłychanym faktem, ze śmiercią, ale w tym przypadku dochodziła kolejna sprawa: zgon wskutek aktu przemocy, zabójstwo, morderstwo.

Nie wiem.

Co powiedzieli ci na posterunku o śledztwie?

Zdałam sobie sprawę, że zapomniałam zapytać komendanta o przebieg dochodzenia, nie zadałam mu na ten temat nawet jednego pytania. Było to niewytłumaczalne, znaczące przeoczenie, którego nie potrafiłam uzasadnić, z pewnością nie Isabelli. „Jak myślisz, szybko aresztują zabójcę?” Znowu pomyślałam o Stefanie, który miał powody, żeby nienawidzić Christophera, i który woził go swoim samochodem, jak sam powiedział, parę razy. Isabella chciała szukać nie tylko sprawiedliwości, lecz i zemsty, matki zawsze są najbardziej krwiożercze, więc moja teściowa oczekiwałaby ode mnie, żony swojego syna, że będę pragnąć tego samego co ona.

Nie potrafili wiele powiedzieć, odparłam. Śledztwo jest w toku.

Rozumiem. Ale muszą mieć jakichś podejrzanych.

Niewątpliwie.

Nic jednak nie powiedzieli.

Byłam na posterunku, żeby zidentyfikować ciało.

Odetchnęła głęboko i osunęła się na oparcie krzesła, a ja wyciągnęłam rękę, chcąc ją uspokoić. Ramię Isabelli okazało się wątlejsze, niż myślałam, pod spektakularnymi, szerokimi, pięknymi rękawami nie było widać jej dłoni. Byłam zaskoczona, mogłabym złamać jej ramię w łokciu palcami. Po chwili wyciągnęła rękę i teraz z kolei ona chwyciła moje ramię.

Oczywiście, kochanie. To musiało być straszne.

„Straszne” nie znaczyło nic, było pustym słowem, ale głos Isabelli brzmiał słabo, miałam słuszność, byłoby przesadą prosić tę kobietę, starszą, niż wskazywał jej wygląd, żeby obejrzała zwłoki Christophera. Teraz ja odczułam skruchę, bo przywołałam ciało swojego męża, aby uniknąć konfrontacji, to było obrzydliwe. Isabella odchrząknęła i cofnęła dłoń, dając mi sygnał, żebym ją puściła, więc zwolniłam uścisk.

Mark bywa przydatny w takich sytuacjach, mężczyzna lepiej daje sobie radę z takimi rzeczami niż kobieta… A to jest w końcu Grecja. Grecy są

okropnie seksistowscy.

Zrobiła się troskliwa, nawet matczyna. Moje wyraźne przygnębienie, wynikające, jak sądziła, ze wspomnienia widoku zwłok Christophera, w jakiś sposób dodało jej otuchy, jak gdyby to, że nie musi się skupiać na własnych burzliwych emocjach, przynosiło jej ulgę.

Obie go kochałyśmy, powiedziała. To zawsze będzie nas łączyć, bez względu na to, co się jeszcze stanie.

Była to bardzo osobista uwaga, ale Isabella nie patrzyła na mnie, tylko ponad moim ramieniem, jak gdyby obserwowała kogoś, kto się do nas zbliża. Odwróciłam się — myślałam, że może to Mark, a może kelner — taras był jednak pusty, moja teściowa wpatrywała się w nicość. Potem odwróciła głowę w stronę morza, ciągle z tą samą niewyraźną miną, z jaką oświadczyła, że łączy nas obie miłość do Christophera, jak gdyby uważała, że właśnie taki wyraz twarzy jest stosowny do rozmowy o miłości, miłości i Christopherze.

Będziemy musieli zdecydować, co zrobić z ciałem.

Nie chciałam używać słowa „ciało”, ale nie wiedziałam, jak to inaczej ująć — byłoby makabrycznie mówić o zwłokach „Christopher”, bo z pewnością nie był to Christopher, tylko gnijące mięso i kości, coś, co wzbudzało niemałe przerażenie, zwłoki. Mimo to w moim spostrzeżeniu kryła się pewna szorstkość, która mi się nie podobała, i gdybym miała do dyspozycji jakieś eufemizmy, chętnie bym ich użyła, wszystkich, tyle, ile byłoby trzeba. Isabella skinęła głową.

Zwłoki — zaakceptowała to odczłowieczające określenie, użyła go tak samo, jak przed chwilą ja w myślach — zostaną oczywiście odesłane do Londynu. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy miały skremować Christophera tutaj, a tym bardziej tutaj go pochować, bo i po co? To miejsce nie miało

dla niego żadnego szczególnego znaczenia. Po prostu znalazł się tu przypadkiem, gdy został zabity. Nie mam zamiaru nigdy tu wracać.

Będziemy musiały pójść na posterunek. Trzeba dopełnić formalności.

Zmarszczyła brwi.

Myślę, że powinnyśmy wysłać tam Marka. On sobie z tym poradzi. Jak już powiedziałam, Grecy są okropnie seksistowscy.

W tym momencie Mark pojawił się wreszcie na tarasie. Był potężnym, a nawet imponującym mężczyzną, dbającym o siebie, teraz też ubranym niczym typowy Anglik za granicą — w jasne płócienne spodnie i słomkowy kapelusz — jak gdyby przyjechał właściwie na wakacje i tylko przypadek sprawił, że musi też zabrać stąd ciało własnego syna. Dopiero kiedy przyjrzałam mu się bliżej — ruszył przez taras w kierunku naszego stolika — dostrzegłam na jego twarzy smutek i w myślach zobaczyłam swojego teścia, jak krąży po mieszkaniu przy Eaton Square, mechanicznie pakując torbę na tę podróż, której jeszcze dzień wcześniej nie tylko nie potrafiłby przewidzieć, ale nawet sobie wyobrazić.

Załatwianie wszystkich spraw związanych z wyjazdem do Grecji sprawiłoby mu przyjemność, znałam Marka dość dobrze, żeby móc to powiedzieć. Sprawdziłby w komputerze, jaka temperatura panuje w Gerolimenas, nie wiedziałby tak z głowy, gdzie leży to miasteczko, i musiałby je najpierw znaleźć na mapie. Potem wyciągnąłby walizkę i położył ją na łóżku, a później wybrałby koszule, spodnie i marynarki, tyle ubrań, żeby starczyło na tydzień, ponieważ wtedy jeszcze by nie wiedział, co konkretnie czeka go na miejscu.

Chociaż Mark z natury był cierpliwy, pomyślałam, że różnica w przeżywaniu żałoby łatwo mogłaby otworzyć przepaść między nim i Isabellą; wyobrażałam sobie, jak zareaguje na smutek żony, może przyszło mu do głowy albo nawet powiedział sobie w duchu coś takiego:

Obserwując zachowanie Isabelli, można by pomyśleć, że Christopher był wyłącznie jej dzieckiem. I Mark mógł powrócić wtedy myślami do swojej starej, uporczywej wątpliwości: Christopher w ogóle nie był do niego podobny, tylko do Isabelli, jak gdyby nikt inny poza nią nie stał za jego poczęciem.

Wynikały z tego różne możliwości, Christopher, a nawet Mark powiedzieli kiedyś coś na ten temat, i przypomniałam sobie, jak pewnego razu pomyślałam, że Isabella ma szczęście, że w czasach jej młodości nie istniały jeszcze badania DNA, ustalające ojcostwo. Niemniej Mark nie poddałby się hańbie dowodów naukowych — i zawsze kochał Christophera, było to widoczne na pierwszy rzut oka. Zaakceptował ten stan rzeczy, chociaż nie od razu, najpierw chyba przez dosyć długi czas zastanawiał się nad odejściem od żony, mimo że taki krok dzisiaj wydawał się nie do pomyślenia.

Lecz nawet gdy pogodził się już z życiem, jakie dzielił z Isabellą — która pozostawała mu wierna tylko przez krótki czas, mniej więcej do momentu, kiedy Christopher skończył pięć lat, czyli kiedy otoczenie zaczęło go zauważać — moim zdaniem na pewno nadal dręczyły go podejrzenia, tak jak i Christophera, chociaż jedyną niewiernością mającą znaczenie dla Marka była ta, w której wyniku mógł przyjść na świat jego syn. Mark nie szukałby więc poszlak świadczących o jakimś kolejnym związku Isabelli, o jej zdradzie w czasie teraźniejszym, tylko szczątków dawno już zakopanego romansu, którego możliwy owoc żył, oddychał i rósł na jego oczach. Przez lata czekał na jakiś telefon, na odwiedziny człowieka, którego twarz wreszcie potwierdziłaby grzeszne pochodzenie Christophera, na innego mężczyznę, który nagle stałby się widoczny w twarzy jego syna, na znamię oblicza, którego nie zapomniałby już nigdy, gdyby je raz zobaczył. Na mężczyznę, który wtedy… Co? Czego Mark mógłby się bać?

Może po prostu tego, że zabraknie dla niego miejsca, bo Isabella już wielokrotnie spychała go na margines, robiła to nawet teraz. Było to jednak tylko przypuszczenie, wymagające hipotezy, że jego podejrzenia są słuszne. A tego nigdy byśmy się nie dowiedzieli, Isabella w żadnym wypadku by nam o tym nie powiedziała, chyba że zostałaby zmuszona do wyznań na łożu śmierci; dla Christophera z kolei łoża śmierci nie było, Mark nigdy nie wiedział na pewno, że jest jego ojcem, śmierć zaskoczyła go tak samo jak nas. Wyobrażałam sobie, że mojego teścia zalewa kolejna fala nieznośnego żalu, kiedy tak stoi w swoim mieszkaniu, pogrążonym w półmroku. Ostatecznie, mógł pomyśleć, nie ma na świecie nic równie nędznego i głupiego, jak niewierność.

Nie można było jednak poświadczyć żadnego z tych domysłów i żadne ich potwierdzenie nie uwidaczniało się na twarzy mojego teścia, idącego w słomkowym kapeluszu przez taras do stolika — wyglądał po prostu na zmęczonego, przygaszonego, trochę w złym humorze. Wstałam, żeby się z nim przywitać, a on poklepał mnie po ramieniu przyjaźnie, ale z roztargnieniem, po czym usiadł obok Isabelli.

Obawiam się, że my już jesteśmy po śniadaniu, powiedziała.

Nie szkodzi. Nie jestem głodny.

No, ale zamów coś. Nie możesz tracić sił.

Zignorował tę uwagę, ze skwaszonym wyrazem twarzy przejrzał jednak kartę; nie, śmierć Christophera nie zabliźniła ran w tym związku ani nawet na chwilę ich nie zakryła. Zauważyłam przez lata, że moi teściowie potrafią się traktować zdumiewająco niegrzecznie, także w obecności innych, więc kiedy byli sami, dochodziło zapewne do skrajności. Mark odłożył menu i gestem przywołał kelnera, który pojawił się szybko, Mark działał w ten sposób na ludzi, choć nie na Isabellę; pociągnęła nosem i odwróciła głowę z powrotem w stronę morza.

Zamówiłem dla nas taksówkę na posterunek, oznajmił Mark, kiedy kelner zniknął. Musimy się zająć sprawami organizacyjnymi.

Nie chcę tam jechać, kochanie, odparła Isabella. Na pewno nie ma takiej konieczności.

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, jak gdyby przeprowadzając jakieś wewnętrzne obliczenia, a potem pokręcił głową i powiedział: Dobrze. Następnie zwrócił się do mnie: A ty? Zabierzesz się ze mną czy mam jechać sam? Mogę pojechać sam.

Zauważyłam z drugiej strony stołu, że źle zapiął koszulę, wypuczała się na środku wokół guzika, dziwna pomyłka, jak na mężczyznę tak bardzo dbającego o swój wygląd, znak, że był naprawdę rozkojarzony, prawie na pewno nie popatrzył w lustro przed wyjściem z pokoju. Zawstydziłam się, jak gdyby mój teść zarzucił mi ręce na szyję i zaczął płakać. Kiwnął głową, kiedy kelner przyniósł mu kawę i postawił przed nim dzbanuszek z ciepłym mlekiem i cukierniczkę.

Pojadę z tobą na posterunek, powiedziałam.

Podniósł wzrok, zaskoczony.

Świetnie, odparł. Dobrze. Dziękuję.

Fałda na koszuli rozszerzyła się jeszcze bardziej, kiedy się pochylił, żeby popić kawy, trzymając filiżankę w obu rękach. Miał duże i właściwie piękne dłonie, drobnokościste, ale męskie; pomyślałam, że nawet trochę przypominają ręce Christophera. Isabella nie zwróciła na nie uwagi, pewnie przyglądała się im wcześniej przez całe ich wspólne życie.

Co będziesz robić, kiedy pojedziemy? — zapytał ją Mark.

Wzruszyła ramionami, a potem leciutko westchnęła, jak gdyby chciała dodać, że jest mnóstwo spraw do załatwienia, co było na pewno prawdą, powiedziałam jej już, kiedy stało się jasne, że chce przejąć dowodzenie w kwestiach pogrzebowych, by się nie krępowała. Ona musiała

zachowywać pozory w Londynie, ja nie. Znowu poklepała mnie po ręce i stwierdziła, że jej zdaniem, tak będzie najlepiej, ja jestem zbyt zdruzgotana, żeby wziąć takie zadanie na swoje barki, a poza tym nie wiedziałam, z kim trzeba się skontaktować, byłoby dużo łatwiej, gdyby to właśnie ona się tym zajęła.

Jestem starsza od ciebie, stwierdziła, i obawiam się, że niedawno zdobyłam doświadczenie w załatwianiu tego rodzaju spraw.

Potem umilkła, może wspominając niedawno zmarłych przyjaciół, rodzinę, złą wiadomość przekazaną drogą telefoniczną, czasem może z drugiej ręki — nekrolog w gazecie albo przyciszony głos: „pamiętasz?” i zaraz potem czyjeś nazwisko — mniejsza z tym, w pewnym wieku śmierć jest wszędzie wokół. Na przykład jakiś aktor, którego pamiętacie z wielkiego ekranu, był od was dwa lata młodszy, kiedy zmarł, jak wynikałoby z artykułu w gazecie. Nigdy jednak nie przypuszczalibyście, że wasz rodzony syn też umrze przed wami. Isabella spoglądała w niewłaściwą stronę, śmierć, której wypatrywała, przyszła z tyłu.

Musisz ich przekonać, żeby wydali nam ciało, powiedziała do Marka. Jak najszybciej.

Sądzę, że je wydadzą, jeśli tylko będą mogli, odparł. Zrobili sekcję? Christopher miał przecież ranę na głowie.

Przestań! zawołała Isabella, zakrywając uszy gestem jednocześnie dziecinnym i w pewnym sensie obraźliwym, nie był to odpowiedni moment na taki teatr. A jednak dobrze zrobiła, zatykając uszy, istniało niebezpieczeństwo, że gdy dowie się o szczegółach śmierci Christophera, uczyni z tego główny temat rozmowy, nie tylko z jego śmierci, ale i z życia. Wszystko, co było wcześniej — jej wspomnienia z dzieciństwa Christophera, jego błyskotliwość, wylewność, urok, potrafił ją oczarować, nawet jako dziecko — wszystko to miało zblaknąć i zblednąć wobec

niepodważalnej ostateczności rany na jego głowie, bezsłownej przemocy, tłumiącej poza tym wszystko.

Jak najszybciej, powtórzyła, odejmując dłonie od uszu. Sprowadzimy go do Anglii. Jedną z najgorszych rzeczy w tej całej — machnęła ręką, wskazując stolik ze śniadaniem, taras, morze i niebo — sytuacji jest to, że jego ciało leży na jakimś komisariacie na greckiej prowincji. Będzie lepiej, ja się poczuję lepiej, kiedy przetransportujemy go bezpiecznie do domu.

Bezpiecznie do domu, a co potem? Oni jednak nie zrozumieliby tego pytania, dla Isabelli i Marka droga była wyraźnie wytyczona, chociaż bolesna, rozpacz podążała znajomą ścieżką, łatwo przychodziło im uwierzyć w wyjątkowość swojej rozpaczy, ale ona dotyka przecież nas wszystkich, w smutku nie ma nic wyjątkowego. Isabella i Mark mieli wrócić do domu z ciałem swojego syna i opłakiwać go, jego nienaturalną śmierć i zbyt krótkie życie. A co zrobię ja? Jak i kogo — męża, byłego męża, kochanka, oszusta — będę opłakiwać?

# 10.

Stefano wysiadł z samochodu. Był w koszuli z kołnierzem zapinanym na guziki, nieogolony. Kiedy się z nami witał, miał uprzejmą, nieco bojaźliwą minę, w jasnym słońcu wyglądał całkowicie nieszkodliwie, moje podejrzenia z poprzedniego dnia nagle wydały mi się kompletnie absurdalne. Po raz pierwszy zauważyłam, że jest niski, niższy i słabiej zbudowany niż Christopher. Jego ewidentna impulsywność czyniła go większym, niż był w rzeczywistości, ale Christopher łatwo by go obezwładnił.

Mimo wszystko, kiedy witaliśmy się z nim przed hotelem, wyczuwałam, że stojący obok mnie Mark jest spięty. „Ktoś taki zabił mojego syna”, widziałam, że ta myśl przebiega mu przez głowę. Gdy Stefano otworzył dla nas drzwi, niesmak Marka najwyraźniej się wzmógł. Przedstawiłam ich sobie. Taksówkarz ochłódł, jak gdyby w moim teściu ujrzał nie tylko ksenofobicznego obcokrajowca — chociaż to też by zobaczył, Mark uścisnął jego dłoń z wyrazem pogardy i konsternacji, trudno było inaczej to zinterpretować — ale i ojca swojego rywala.

Czy pomiędzy Markiem i Christopherem istniało jakieś podobieństwo? Ludzie zawsze mówili, że nie, ale ojciec i syn wywierali na nich podobne wrażenie. Obaj byli pewni siebie, na luzie, uważali, że wszystko im się należy; może Stefano sądził, że każdy Anglik jest taki. Zatrzasnął drzwi samochodu i siadł za kierownicą. Spojrzał na Marka w lusterku wstecznym,

starając się nie zdradzić swoich uczuć, jak gdyby ojciec mógł zawłaszczyć uczucia kobiety, która kiedyś obdarzała nimi jego syna.

Mark nie zwracał na niego uwagi, gdy wyjeżdżaliśmy z miasteczka, z niezmiennym wyrazem pogardy na twarzy wyglądał przez okno. Zapytał: To przez pożary? Przytaknęłam. Pokręcił głową, a potem zapatrzył się w dal. Wiedziałam, że kiedy stąd wyjedziemy, nie wróci do Mani, najprawdopodobniej nigdy nie wróci do Grecji. Cały ten kraj stanie się dla niego strefą śmierci, skażoną tym jednym wypadkiem, tak jak stał się nią już dla Isabelli. Przyglądał się spalonej ziemi; z pewnością było to wszystko, co mógł zrobić, żeby nie powiedzieć po prostu, że to miejsce jest piekłem, i na tym skończyć.

To wrażenie nie mogło się zmienić, gdy przyjechaliśmy na posterunek, gdzie panował większy ruch niż poprzedniego dnia, ale wciąż dominowała atmosfera znużenia. Ludzie w poczekalni wyglądali tak, jak gdyby wystawali tu całymi godzinami, jeśli nie dłużej; jakiś mężczyzna z otwartą raną na głowie siedział cicho w kącie, pewnie przyszedł złożyć doniesienie o przestępstwie, może chodziło o kolejny napad rabunkowy; gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Christopher też mógłby się tu pojawić w podobnym stanie. Mark wpatrywał się w tego mężczyznę i jego ranę, w ducha swojego syna, po czym wzdrygnął się i odwrócił.

Stefano został na zewnątrz przy samochodzie. Uparł się, że poczeka — był to z jego strony wyraz troski, który Mark wydawał się interpretować jako groźbę albo wyrachowanie. Kierowca stał koło swojego wozu, kiedy Mark w milczeniu ruszył w stronę budynku policji. Stefano popatrzył na mnie z miną znamionującą niemą prośbę i jeszcze coś, czego nie umiałam zidentyfikować, ale co mnie zaniepokoiło, gdy go mijałam. Po wejściu do środka Mark zapytał mnie, dlaczego nie moglibyśmy po prostu wezwać taksówki, kiedy już skończymy, czas naszego szofera będzie kosztował

fortunę, a poza tym Stefano chyba nie za bardzo mu się podoba. Przed odpowiedzią uratowało mnie nadejście komendanta, którego wcześniej nie widziałam; na widok mężczyzny przyspieszył kroku, Isabella miała rację.

Przedstawił się — mówił do nas obojga, lecz zwracał się do Marka — i złożył nam kondolencje, które mój teść skwitował niecierpliwym machnięciem. Ruchem ręki i uprzejmym „proszę” komendant wskazał nam drogę do swojego gabinetu. Mark usiadł bez zaproszenia, policjant spytał, czy mamy ochotę na kawę, szklankę wody. Mark pokręcił głową i strzepnął ze spodni nieistniejący pył — drobny gest, oznaczający niezadowolenie. Drżały mu przy tym ręce, po chwili jego palce zaczęły się przesuwać mimo woli w górę i w dół wzdłuż szwu spodni.

Komendant usiadł przy biurku i splótł dłonie. Wpatrywał się w rozedrgane palce Marka.

Dziś wydamy państwu zwłoki. Przypuszczam, że zabierzecie ciało do Londynu?

Mark kiwnął głową, że tak.

Trzeba będzie je zabalsamować, żeby mogło wyjechać z kraju. To wymóg linii lotniczych. W Aeropoli jest zakład pogrzebowy… Policjant zapisał nazwisko i numer telefonu na kartce i podsunął ją Markowi. Kostas chyba będzie mógł państwu w tym pomóc.

Kostas…

Recepcjonista z waszego hotelu.

Mark wziął kartkę, wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem złożył ją na pół.

Poinformowałem już ambasadę brytyjską. Przeprowadzą własne dochodzenie.

Oczywiście. Jak zwykle w podobnych przypadkach.

Co może mi pan powiedzieć o wynikach waszego śledztwa?

Komendant rozparł się na krześle i rzucił mi krótkie spojrzenie, zanim znów przeniósł wzrok na Marka.

W ostatnich latach mieliśmy drastyczne cięcia budżetowe. Nasze stosunki z rządem w Atenach weszły w fazę krytyczną, na pewno czytali o tym państwo w gazetach.

Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze śmiercią Christophera.

Komendant skinął głową.

Z jego śmiercią nic. Ale ma wiele wspólnego ze śledztwem w jego sprawie, czyli z prawdopodobieństwem zatrzymania osoby — zakładamy, że sprawcą był mężczyzna, choć mogła to być kobieta, a nawet kilka osób — która zamordowała pańskiego syna.

Westchnął i pochylił się nad biurkiem.

Ludzie giną bez śladu, czasem dochodzi do zabójstw, a winowajców często się nie wykrywa. Ten gabinet — wskazał stojące pod ścianą metalowe szafki — jest pełen takich nierozwiązanych spraw. Śledztw, które zostały zamknięte, bo nie doprowadziły do satysfakcjonujących wyników. Obawiam się, że nie mamy najlepszej wykrywalności.

Sprawa śmierci mojego syna nie może pozostać nierozwiązana.

Szkoda, że nie udało mi się przyjechać wcześniej na miejsce zbrodni, ale niestety, byłem wtedy w Atenach, u rodziny. Na tym etapie nie mamy jeszcze nawet podejrzanego, zwykle gdy ginie mąż, przyglądamy się żonie, ale w tym przypadku…

Wskazał mnie ruchem głowy i kontynuował.

Oczywiście od śmierci pańskiego syna minęło niewiele czasu, więc pod wieloma względami jest to przedwczesna rozmowa. Zrobimy, co w naszej mocy. To leży w naszym dobrze pojętym interesie. Możecie sobie państwo wyobrazić — zamożny obcokrajowiec znaleziony martwy przy drodze, na

taką wiadomość ludzie przestają się czuć bezpiecznie. Krążyły pogłoski, że w sprawę zamieszana była kobieta…

Mark niemal uniósł się z krzesła. Zrobił się czerwony na twarzy; kiedy odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, uświadomiłam sobie, że nie było to jedynie oburzenie na komendanta, który podniósł kwestię zdrady Christophera w mojej obecności, osoby zdradzonej. Cudzołóstwo mojego męża musiało mu przypomnieć o cudzołóstwie Isabelli, jak gdyby była to u nich cecha dziedziczna, a zatem nieunikniona i stanowiąca zarazem zrządzenie losu. Z tego punktu widzenia nieuniknionym zrządzeniem losu jawiła się nie tylko niewierność Christophera, lecz także cała obecna sytuacja, a zatem też jego śmierć.

…Nic podobnego jednak nie ustaliliśmy, plotki okazały się nieuzasadnione, chociaż przesłuchaliśmy wszystkie osoby mogące mieć jakikolwiek związek z tą sprawą, którą zazdrosny mąż na pewno by nam rozwiązał. Niestety, tak się nie stało i nie wydaje mi się, żeby zabójca i pański syn się znali.

Czy była to tylko moja wyobraźnia, czy Mark na te słowa rozluźnił napięte mięśnie? Jak gdyby oddano mu dziecko. Odwróciłam głowę raz jeszcze, żeby na niego popatrzeć, ale się nie poruszył, nie odwzajemnił mojego spojrzenia, zachowywał się tak, jakby w ogóle nie było mnie w pokoju. Po krótkiej przerwie komendant mówił dalej.

Próbuję teraz tylko dać państwu pełny obraz aktualnego stanu rzeczy. Nie wiem, czy zamierzacie zostać w Mani, muszę się jednak zastrzec, że nie spodziewam się, aby ta sprawa mogła szybko dobiec końca. Jeśli dojdzie do jakiegoś przełomu, naturalnie natychmiast państwa o tym poinformujemy. Znów urwał. Według mnie powinniście na razie wrócić do Anglii, i to razem z synem.

Mark zgarbił się na chwilę — niewiele brakowało, żebym zapytała, czy nic mu nie jest — ale zaraz się wyprostował i poprosił, żebym zechciała zostawić ich samych. Wstałam i powiedziałam, że dobrze, zaczekam w holu, w poczekalni. Nie odwracając się do mnie, Mark odparł, że to nie potrwa długo. Ociągałam się trochę przy drzwiach, wahałam, ale ani on, ani policjant nie podnieśli głowy.

Przyglądałam się tym dwóm mężczyznom, siedzącym twarzą w twarz. Nie powiedziałam jeszcze policji o Stefanie, który był jeśli nie zazdrosnym mężem ani choćby kochankiem, to zazdrosnym przyjacielem, zazdrosnym facetem, może właśnie tym, który „rozwiązałby nam tę sprawę”; wiedziałam, że ma wystarczające powody do zazdrości. Ale wydawało mi się, że nie powinnam wspominać o tym zwłaszcza w obecności Marka — prawdopodobnie potraktowałby to jako oskarżenie, którym może moja hipoteza w istocie była, oskarżeniem jego syna… W tym scenariuszu Christopher nie był bez winy.

A zazdrość sama w sobie i ze swej natury nie jest przecież równoznaczna z winą. Z mojej strony wystarczyłby jedynie drobny gest — artykulacja strachu, choć może nie bałam się tego, że kierowca zabił mojego męża, lecz tego, że zdrady Christophera sięgały jeszcze dalej i głębiej, że będą wciąż wychodzić na jaw, długo po jego śmierci — żeby zniszczyć człowiekowi życie, nie należało tego lekceważyć. Stałam przy drzwiach, nie mogłam nawet potwierdzić sama przed sobą, co takiego wydawało mi się, że wiem, Christopher spał z Marią, ale prawdopodobnie przespał się tu, w Mani, jeszcze z kilkoma innymi kobietami, mógł postawić wielu mężczyzn w podobnej sytuacji, w jakiej się znalazł Stefano, nie miałam jednak nic więcej poza mglistym podejrzeniem w tej sprawie.

Wróciłam do poczekalni. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że jestem wdową, że brakuje mi opieki mężczyzny, było to całkowicie atawistyczne

uczucie. Tutaj, w poczekalni na posterunku policji w Grecji, poczułam nagle, że nie obchodzą mnie sprawy tego świata, to znaczy świata mężczyzn; tkwiąc w tym progu, stałam się niewidzialna. Usiadłam na jednym z plastikowych krzeseł. Mężczyzna z raną na głowie zniknął, a ja dopiero teraz pomyślałam: jakie to dziwne, że przyjechał na policję, zamiast najpierw się zająć opatrunkiem, powinien był udać się do szpitala albo do lekarza; może w pobliżu nie było żadnego szpitala albo może najpierw trzeba było złożyć doniesienie, które z pewnością odniosłoby lepszy skutek, gdyby składający pojawił się na posterunku z zakrwawioną głową. Szkoda, że Christopher nie mógł tego zrobić.

Mimo wszystko, mimo że śmierć mojego męża wydawała mi się zasadniczo niesprawiedliwością — może każda śmierć jest niesprawiedliwa, ale jedne bywają bardziej niesprawiedliwe od drugich — nie potrafiłam sobie wyobrazić takiego rozstrzygnięcia, jakie przedstawił nam komendant, zresztą tylko po to, żeby się z niego wycofać: że znajdzie się jakiś zazdrosny mąż albo kochanek, ktoś taki jak Stefano, mężczyzna szukający zemsty. Była to odpychająca myśl, nie tylko dlatego, że ujawniała niewierność Christophera, ale też z uwagi na jej patentowaną absurdalność, zakładającą istnienie zdradzonego mężczyzny owładniętego żądzą mordu, bo przecież taki człowiek przyszedłby chyba na miejsce zbrodni z nożem albo bronią palną, nie zaplanowałby zabójstwa przy użyciu takiego narzędzia jak kamień.

Nie, prawie na pewno było tak, jak przypuszczaliśmy od początku: to napad rabunkowy, śmierć tyleż głupia, co nieskomplikowana. Wydawało mi się jednak prawdopodobne, że Mark przekona komendanta, że sprawca musi zostać wykryty, wejdzie mu na ambicję, czy nie tak to bywa w podobnych sytuacjach? Już miałam wstać i wrócić do gabinetu, kiedy pojawił się mój teść. Miał ponurą minę i rzucił tylko: Chodźmy.

Wyszłam za nim na drogę, a kiedy wsiedliśmy do wozu i zanim udało mi się go powstrzymać, dodał: Będą dalej prowadzić śledztwo, ale nie robię sobie większych nadziei. Wygląda na to, że nie wpadli na żaden trop, choćby jeden. Nie wiem, jak mam powiedzieć o tym Isabelli, nie wiem, co ona zrobi.

Stefano przyglądał się nam. Podejrzewałam, że przysłuchuje się naszej rozmowie; kiedy tylko napotkałam jego spojrzenie w lusterku wstecznym, natychmiast wrócił wzrokiem na drogę, zdążyłam jednak zauważyć, że na twarzy kierowcy odmalowało się jakieś złożone uczucie, Mark też to spostrzegł. Pochylił się bez ostrzeżenia i wykrzyknął: Dlaczego pan podsłuchuje, dlaczego wtyka pan nos w nie swoje sprawy? Co mój syn ma z panem wspólnego?

Chwyciłam Marka za ramię i pociągnęłam go z powrotem na siedzenie, a on po chwili zaczął płakać i znowu powiedział: Nie wiem, co zrobi teraz Isabella, nie wiem. Uściskałam go najlepiej, jak umiałam — był potężnym mężczyzną, a samochód podskakiwał na wybojach. Trzymał mnie za rękę, wciąż płacząc; nadal go obejmowałam. Podniosłam wzrok i ponownie napotkałam spojrzenie Stefana, patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka długich sekund, po czym kierowca znów wbił wzrok w drogę przed samochodem.

Zapytałam: Jak się miewa Maria?

Wprawdzie nie patrzył na mnie, ale zobaczyłam w lusterku wstecznym, że jest zdziwiony. Dobrze, odpowiedział po chwili, wszystko u niej w porządku. Dalej wyglądał na zaniepokojonego, został zaskoczony; ciągle przyglądałam mu się w lusterku, nie próbował jednak odwzajemnić mojego spojrzenia, patrzył na drogę, może naprawdę musiał uważać, bo nawierzchnia była w opłakanym stanie.

W głębi duszy z pewnością wiedział, że Christopher był tylko zewnętrzną manifestacją — niczym ektoplazma wypływająca z ust medium — głębszego i trudniejszego zwarcia między nim i Marią, problemu nieodwzajemnionej miłości. Nadal przyglądałam się Stefanowi, kiedy wyjeżdżaliśmy z miasteczka w stronę hotelu; Mark ciążył mi w ramionach. Co miała znaczyć ta ulga, którą zobaczyłam na twarzy kierowcy, kiedy słuchał Marka, czy chodziło mu o to, że policja nie ma podejrzanych ani prawie żadnych dowodów, że sieć jest pełna dziur, przez które może się jeszcze wymknąć? Czy to możliwe, myślałam, gdy wiózł nas z powrotem do hotelu, że siedzi za kierownicą z takim poczuciem ulgi — policja nie znalazła żadnych śladów, nie wiedzieli nawet, że Maria widziała Christophera tuż przed śmiercią — i wierzy, że wciąż jest wolnym człowiekiem?

Wolny człowiek. Który wkrótce znów zacznie niespieszne zaloty, który znów ma przed sobą całą wieczność. Maria będzie potrzebowała pociechy, a Stefano znajdzie się w doskonałym położeniu, żeby ją zapewnić dziewczynie. Jeżeli jest mądry, nie pozwoli sobie na zbytnie poniżanie Christophera („to śmieć, dostał to, na co zasłużył”), wręcz przeciwnie, będzie dobry, wrażliwy i całkowicie wyrozumiały („jaka to straszna, niezgłębiona zagadka, mężczyzna w sile wieku, nie, nikomu bym nie życzył takiej śmierci”).

A jeśli zachowa cierpliwość, jeśli nie zacznie za bardzo jej naciskać (co miał w zwyczaju, była to jego zgubna wada, ale może czegoś się wreszcie nauczył), to możliwe, że Maria w końcu się zwróci ku niemu. Bo bez względu na to, jak nieistotny był jej romans z Christopherem — z tego, co wiedziałam, chodziło o jedną noc, najwyżej dwie — razem z jego śmiercią dziewczyna coś straciła. Tam, gdzie kiedyś było marzenie o miłości i ucieczce, podekscytowanie spotkaniem z nowym mężczyzną, ziała teraz

nicość, żadna kobieta nie zdołałaby dłużej pielęgnować marzenia, zwłaszcza już martwego.

Znalazłoby się więc miejsce dla Stefana. Może nawet nie trwałoby to tak długo — kiedy człowiek już się zdecyduje, gdyby Maria się zdecydowała, wszystko zaczęłoby się dziać bardzo szybko, może nawet dlatego była taka niechętna, że miała świadomość, że gdy już podda się kierowcy, jej życie zostanie natychmiast określone, że będzie wiedziała, co ją czeka w przyszłości.

Bez względu na to, czy kierowca był winny czy niewinny, wiedziałam, że siedzi przed nami w męce oczekiwania, którą usiłował ukryć, miał nadzieje na przyszłość, a raczej jedną nadzieję, która w dodatku mogła jeszcze okazać się płonna. Była jednak bliżej spełnienia niż kiedykolwiek przedtem, dosłownie w zasięgu ręki, z czego nie mógł nie zdawać sobie sprawy, więc siedział za kierownicą, starając się zachowywać odpowiednio grobową minę — na tylnym siedzeniu jechał przecież dorosły mężczyzna i płakał — chociaż wzbierała w nim cała symfonia emocji. Wyciągnął rękę za siebie i podał nam chusteczkę higieniczną, którą przyjęłam w milczeniu i przekazałam Markowi, a on wydmuchał nos i powiedział do mnie i do Stefana: Dziękuję.

***

Zostawiłam Marka, żeby sam opowiedział o wszystkim Isabelli. Wchodził na schody wyjątkowo niemrawo — jeśli będzie się poruszał dość wolno, to nigdy nie dotrze na górę i nie będzie musiał stanąć oko w oko ze swoją żoną; było jasne, że boi się powiedzieć jej o przebiegu śledztwa, a raczej jego braku, o tym, że sprawa właściwie nie ruszyła i nie ruszy z miejsca, obawia się jej reakcji — że dojdzie do awantury, histerii, Isabella nie przyjmie takiej informacji na klęczkach. Ofuknie Marka, stanowiącego

najbliższy i najbardziej oczywisty obiekt jej agresji, będzie nalegać, żeby bardziej się zaangażował (jak lady Makbet, strofująca swojego pana i władcę), chociaż Mark powiedział: Nie da się nic zrobić, i ja mu uwierzyłam.

Ale czy zostało zrobione wszystko, naprawdę wszystko? Wahałam się, gdy weszłam do pokoju, potem jednak sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam na posterunek. Natychmiast połączono mnie z komendantem — nie przedstawiłam się, nie musiałam, wiedzieli, kim jestem, nie przebywało tu zbyt wielu Amerykanów — który odezwał się znużonym głosem: Tak? Powiedziałam, że mam pewne informacje, które mogą, chociaż nie muszą, okazać się istotne, biorąc jednak pod uwagę, że policja szuka kobiety, jakichś dowodów, że chodziło o romans albo że…

Tak?

Niecierpliwił się. Otworzyłam usta, ale się nie odezwałam. Powtórzył: Tak? Odpowiedziałam gwałtownie, że Christophera widziano na Cape Tenaro z jakąś kobietą. Może głos uwiązł mi w gardle, a może było słychać, że się wstydzę. Komendant zapytał, dlaczego nie powiedziałam o tym policji wcześniej, a ja odparłam, że nie chciałam mówić na ten temat przy ojcu mojego męża: on żywi złudzenia co do Christophera, które powinien zachować, a ja już ich nie mam. Policjant milczał przez chwilę, po czym odrzekł: Rozumiem.

Proszę się jednak nie martwić, ciągnął dalej, wiemy o tej kobiecie, to był przelotny flirt, zostawił ją na Cape Tenaro i ona ciągle tam jest. Nie ma męża, brata ani ojca, a sama dysponuje niepodważalnym alibi, była z innym mężczyzną.

Milczałam. Policja wiedziała więcej, niż udawała, że wie, co czyniło sprawę bardziej, a nie mniej beznadziejną — zmniejszało bowiem liczbę niezbadanych dróg czy też możliwych rozwiązań — ale tym, co odebrało

mi odwagę, było nagłe ujawnienie informacji o tej kobiecie, kolejnej kochance Christophera, do tej pory osobie całkowicie abstrakcyjnej, teraz jednak mającej się za chwilę ukonkretnić. Wystarczyło, żebym o nią zapytała, a dowiedziałabym się czegoś więcej na jej temat, może poznałabym nawet jej nazwisko, wiedziałam już, że jest niezamężna, nie ma ojca ani brata, mieszka w Cape Tenaro i jest rozwiązła, w każdym razie według pewnych standardów.

Zbrodnia w afekcie to coś, o czym czyta się najczęściej w książkach. I chociaż pani mąż — komendant urwał na chwilę — najwyraźniej wszedł w kontakt z miejscową ludnością, to nie sądzę, żeby kryło się za tym coś więcej, niż się wydaje.

Były też inne kobiety, odpowiedziałam.

Zapadła długa cisza.

Tak, odezwał się w końcu. Mogę jednak tylko powtórzyć: nie sądzę, żeby kryło się za tym coś więcej, niż się wydaje.

Zaraz potem się rozłączyłam. Gdy odłożyłam słuchawkę, czerwona lampka zabłysła pulsującym światłem. Wzięłam telefon do ręki, przyszła wiadomość od Yvana, prosił, żebym oddzwoniła. Wykręciłam numer, odebrał od razu.

Co się dzieje? Nagrałem ci trzy wiadomości.

Przepraszam.

Wszystko w porządku?

Tak. Przyjechali Isabella i Mark, jest dużo do zrobienia.

Oczywiście.

Chyba niedługo wrócimy.

A jak tam śledztwo?

Policja nie spodziewa się, że znajdzie zabójcę.

Jak to?

Nie mają żadnych poszlak. Żadnych podejrzanych, żadnych prawdziwych dowodów… Komendant właściwie dał nam do zrozumienia, że śledztwo utknęło w martwym punkcie i nie powinniśmy robić sobie nadziei.

Nie odpowiedział, więc mówiłam dalej: W pewnym sensie byłoby nam łatwiej, gdyby nie znaleziono zabójcy, gdyby Christopher okazał się po prostu przypadkową ofiarą. Gdybyśmy mogli powiedzieć, że wszystkiemu są winne okoliczności.

Umilkłam, ale Yvan wciąż milczał.

Jesteś tam? — spytałam niespokojnie.

Tak. Jestem.

To dobrze.

Mów dalej.

Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Co będziesz teraz robić?

Wydaje mi się, że to nie zależy ode mnie.

Jesteś wdową po Christopherze, odpowiedział Yvan. Jesteś jego żoną.

Milczałam.

Nie powiedziałaś im, prawda?

Jak mogłabym powiedzieć coś takiego?

A powiesz? Czy to w ogóle ma jeszcze jakieś znaczenie?

Nie wiem.

Z prawnego punktu widzenia wciąż jesteś jego żoną.

Z prawnego punktu widzenia, czyli zgodnie z pewnym systemem prawnym, ale wedle innego…

Jakiego?

Chodzi mi o nasze wewnętrzne prawo; że próbujemy robić to, co uważamy za słuszne.

I zgodnie z tym prawem…

Pozwolę zdecydować Isabelli i Markowi. Chociaż zrobię to tak, żeby nie podejrzewali, że jestem kimkolwiek innym niż żoną Christophera, wdową po nim.

Bo inaczej mogłabyś ich zranić.

Bo ja… Bo my… Na pewno możemy im dać chociaż tyle. Żywią pewne złudzenia, które moim zdaniem powinniśmy pozwolić im zachować — znowu użyłam tego określenia — skoro odarto ich już z tylu innych… Na przykład, że rodzice żyją dłużej od swoich dzieci.

Chodzi ci o Christophera?

Nie rozumiem.

Miałem na myśli, czy robisz to wszystko ze względu na Christophera, nie z uwagi na Isabellę i Marka. Urwał. Christopher nie żyje i więzy obietnicy małżeńskiej, jaką mu złożyłaś, już nie obowiązują.

Milczałam. Na zewnątrz w jednej z tawern siedziała grupka mężczyzn, zwróconych twarzami w stronę morza. Musiało być już później, niż myślałam, słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, a ci mężczyźni pili, może nawet od jakiegoś czasu. Byli daleko, o wiele za daleko, żebym mogła rozpoznać rysy ich twarzy… Zresztą wydawało się mało prawdopodobne, że znam któregoś z nich, w miasteczku widziałam najwyżej kilka osób, wciąż byłam tutaj obca. Słyszałam jednak ich śmiech, najwyraźniej dobrze się bawili.

Jesteś tam?

Tak, odparłam.

Oczywiście, Yvan miał rację. W *Pułkowniku Chabercie*, powieści Balzaka o kimś, kto niejako powraca zza grobu do żony — tłumaczyłam to kiedyś, chociaż z niewielkim sukcesem, nie udało mi się znaleźć odpowiedniego rejestru, żeby uchwycić specyficzną gęstość frazy Balzaka,

na co dzień przekładam prozę współczesną, a to jest zupełnie inna sprawa — tytułowy bohater zostaje uznany za zmarłego po bitwie pod Pruską Iławą, w czasie wojen napoleońskich. Żona pułkownika szybko wychodzi ponownie za mąż — jak jej się wydaje, legalnie — i zostaje hrabiną Ferraud. Pułkownik jednak okazuje się tylko ciężko ranny, zostaje odratowany i odnajduje małżonkę, wywracając jej życie do góry nogami — i w tym miejscu zaczyna się właściwa akcja utworu.

Chociaż opowieść faworyzuje Chaberta — hrabina, która jest w niej czarnym charakterem, jeśli w ogóle występuje tu czarny charakter, została sportretowana jako płytka i nieznająca życia manipulatorka — to w miarę pracy nad przekładem nabierałam do żony coraz większej sympatii, tak dużej, że zaczęłam się zastanawiać, czy moje uczucia nie znajdują odbicia w tłumaczeniu, czy mimo woli nie obciążyłam nimi tekstu. Oczywiście, ta sympatia niekoniecznie była mocno chybiona, takie mogły być intencje Balzaka, może właśnie takie uczucie chciał wzbudzić w czytelniku; w końcu cóż to za straszliwy los — być niewierną i popełnić bigamię, nie zdając sobie z tego sprawy; to wszystko było w powieści.

Pomyślałam teraz o Chabercie zapewne z tego powodu — z powodu kwestii wierności; tłumacze zawsze się martwią, czy dochowują wierności oryginałowi, choć jest to niemożliwe, istnieją bowiem liczne i często sprzeczne ze sobą sposoby dochowywania wierności, poza tym istnieje wierność literalna oraz wierność wobec ducha tekstu, mimo że temu drugiemu określeniu właściwie brakuje konkretnego znaczenia. W moim przypadku nie chodziło jednak o nieoczekiwany przyjazd męża, tylko o jego niespodziewane odejście, które doprowadziło do kryzysu wiary; to raczej śmierć — nie życie — spowodowała powrót niechcianego związku, na nowo otworzyła coś, o czym sądziłam, że zostało zamknięte już na zawsze.

Czy nie tego obawiał się Yvan? Że zatoniemy pod ciężarem tego rumowiska; granica między śmiercią i życiem nie jest nieprzekraczalna, pozostają ludzie i problemy. Powrót Chaberta jest w zasadzie niczym powrót ducha — tylko on sam nie zdaje sobie sprawy, że jest duchem, że nie należy już do świata żywych i że na tym polega jego tragedia — ducha albo raczej *homo sacer*: człowieka, który z punktu widzenia prawa nie istnieje. Z punktu widzenia prawa Chabert to zmarły; trzecią główną postacią w książce po pułkowniku i jego niewiernej żonie albo wdowie jest adwokat Derville — a hrabia Ferraud, czyli odpowiednik Yvana z mojej sytuacji, rzadko pojawia się w powieści.

Chociaż jednak działamy w złudnym przekonaniu, że istnieje jakieś jedno prawo kierujące ludzkim zachowaniem — jakiś powszechny standard etyczny, jednolity system prawny — w rzeczywistości mamy wiele praw, i to właśnie próbowałam powiedzieć Yvanowi. Czy nie podobnie wygląda to w *Billym Buddzie*? Kapitan Vere tkwi między jednym prawem a drugim, pomiędzy prawem wojennym i prawem bożym. Nie ma sposobu, żeby dokonać dobrego wyboru, dręczy go śmierć Budda, Billy’ego Budda, o tym mówi umierający kapitan (w powieści Melville’a; w operze, do której libretto napisał E.M. Forster, Vere dostaje życie, Forster i Britten postanowili bowiem uniknąć operowego banału, a mianowicie kolejnego śpiewaka, który w ostatnim akcie opłakuje umarłych).

Dopiero kiedy Chabert zaczyna rozumieć, że jego status prawny nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, w której żyje — że dla hrabiny nigdy nie będzie nikim innym, jak tylko duchem, że będzie straszył żywych, chociaż nie powinien — kiedy zaczyna rozumieć, że ludzkim zachowaniem rządzi wiele praw, daje się wysłać do hospicjum, a raczej domu wariatów, i wreszcie akceptuje swój status *homo sacer*. Rezygnuje z praw, do których uzyskania wynajął Derville’a, szukał bowiem urzędowego potwierdzenia,

że jest żołnierzem w stopniu pułkownika oraz mężem, i usuwa się na bok, przebywa poza zasięgiem i terytorium prawa; właściwie przestaje istnieć.

Od Christophera jednak trudno byłoby wymagać, by umarł po raz drugi. A prawo tylko czekało, żeby uznać ważność więzów łączących mnie z moim mężem. Byliśmy małżeństwem, to nie ulegało wątpliwości — a przecież nim nie byliśmy, tak jak nie byli nim pułkownik i hrabina, bez względu na to, co mógł odkryć lub udowodnić Derville. Życie wyraźnie różni się od fikcji i rzadko znajduje dokładne odbicie w literaturze, nie na tym zresztą polega cel powieściopisarstwa, chociaż istniało tu pewne podobieństwo sytuacji, echo będące wynikiem rozdźwięku pomiędzy literą prawa i prywatną, ludzką rzeczywistością. Pytanie brzmiało, któremu z nich powinnam się podporządkować, które chronić.

Mniejsza z tym, stwierdził Yvan. Nie czas rozmawiać teraz o takich sprawach.

Jeden z mężczyzn siedzących przed tawerną wstał, podszedł na skraj nabrzeża i wyciągnął ręce, w których trzymał szklankę. Koledzy zachęcali go okrzykami do czynu, może wznosił toast albo opowiadał jakąś historię, mężczyźni byli we własnym towarzystwie, takie sytuacje zdarzały się coraz rzadziej, trzeba było jakiejś specjalnej okazji — niedzielnego meczu piłki nożnej w parku, raz w miesiącu pokera — ale to nie to samo, takie spotkania zawsze były trochę przearanżowane i krępujące. Nie miałam zobaczyć Christophera w tej grupce na nadbrzeżu, ale może siedział wśród nich zaledwie przed tygodniem, może tak.

Ktoś, kto macha do was z zaświatów — zwłaszcza jeśli jego życie na tym świecie naprawdę już się skończyło, kiedy nie chodzi o żadne realne opcje, o małżeństwo, które trzeba naprawić, o życie, które trzeba zacząć na nowo, pójść w lewo albo w prawo, powiedzieć tak albo nie — może być niesamowicie przekonujący. Nie bez powodu zmarli nawiedzają żywych,

żywi zaś nie mogą straszyć żywych w taki sam sposób. Jeśli chodzi o kwestię dołączenia do świata tych ostatnich, przypominają się wam wszystkie przyczyny, dla których wolelibyście tego nie robić (chociaż w większości przypadków, tak jak w przypadku Christophera i mnie, właściwie nie potrzeba żadnego przypomnienia). Jednak gdy chodzi o zmarłych, zamkniętych we własnym świecie, sprawa wygląda inaczej.

Nie, powiedziałam, powinniśmy porozmawiać. Powinniśmy porozmawiać, zanim będzie za późno. Yvan milczał przez chwilę, po czym odparł: Dobrze. Porozmawiajmy.

# 11.

Bez względu na to, co mu obiecałam, postanowiłam, że nie powiem Isabelli i Markowi o rozstaniu z Christopherem. Nie dlatego, że chciałam chronić Isabellę, jak sugerowałam Yvanowi, ani z jakiejś lojalności wobec mojego męża, co podejrzewał Yvan, i nie dlatego, że złożyłam taką obietnicę, jemu, sobie czy komukolwiek innemu. Nie chciałam tego robić z bardziej egoistycznych powodów: pragnęłam bowiem udawać, że wszystko jest tak, jak wyglądało z pozoru i w co wszyscy dzięki mnie wierzyli, czyli że nie było żadnego rozstania, nasze małżeństwo się nie rozpadło i nie groził nam rozwód. Pragnęłam trwać dalej w przestrzeni naszego małżeństwa — które nagle i niewytłumaczalnie ożyło.

Ile z tej argumentacji rozumiałam wtedy, w pierwszych dniach po śmierci Christophera? Powiedziałabym, że moja motywacja była w tym czasie niejasna dla mnie samej. Działałam na podstawie niedookreślonych odczuć — które nazywa się instynktami i bodźcami — a z początku jedyną oznakę tej ogromnej zmiany w moim stosunku do Christophera i naszego małżeństwa stanowiło to, że świat Gerolimenas, w którym byłam szarlatanką, a który z tej przyczyny jawił mi się jako nędzny i nieistotny, stał się dla mnie mimo wszystko bardziej konkretny niż jakiekolwiek inne miejsce, jak gdyby Ziemia skurczyła się do rozmiarów tego miasteczka na jednym z greckich półwyspów.

Wrażenie to potęgowało się tym bardziej, im bardziej zbliżała się pora naszego wyjazdu. Nie widziałam Marka ani Isabelli do rana; kiedy zeszli na

śniadanie, wyglądali całkiem normalnie, może byli tylko trochę bardziej wyciszeni niż zwykle. Isabella podniosła wzrok, gdy podeszłam do stolika, a potem powiedziała bez ostrzeżenia: Będziesz gotowa, żeby jutro wyjechać? Ja nawet nie miałam czasu, żeby usiąść choć na chwilę. Nie zostało tu już nic więcej do roboty, a chciałabym zabrać Christophera do domu.

Miała na nosie duże okulary przeciwsłoneczne, których nie zdjęła (może chciała ukryć czerwone i opuchnięte oczy), i powiedziała o zmarłym po imieniu, nazwała go Christopher. Wcześniej to było „ciało", „zwłoki", bezimienne „coś"; ta zmiana to drobiazg, ale wiele mówiący. Postanowiła wyjechać, więc zdecydowała się zacząć żałobę i określać rzeczywistość nie zgodnie z prawdą — jej syn był już gnijącym trupem — ale zgodnie ze swoim pragnieniem: chciała, żeby Christopher wciąż był jej dzieckiem, człowiekiem noszącym swoje imię i nienaruszonym.

Nie powiedziała nic na temat śledztwa; do tej pory nie wiem, jak Markowi udało się ją przekonać, że nic się nie da zrobić, bo sprzeciwiałaby się temu cała natura mojej teściowej. Niezmordowanie kręciła głową. Decyzja, żeby dać sobie spokój ze śledztwem — uznałam, że tylko na razie, że walka zostanie podjęta na nowo, kiedy Isabella wróci do Anglii i twardo stanie na ziemi — w jakimś sensie ją oswobodziła i zrozumiałam, że jest gotowa wyjechać, dosłownie żyć dalej.

Chciałabym tylko, ciągnęła cicho, nadal na mnie nie patrząc, chociaż teraz siedziałam obok niej, odwiedzić jeszcze przed wyjazdem to miejsce, w którym zginął. Nie powiedziała: „miejsce, w którym został zabity" albo „miejsce, w którym go zamordowano", powiedziała: „miejsce, w którym zginął". Wyjątkowy charakter tej śmierci został już stępiony, opatrzony glosą, Christophera nikt nie zabił ani nie zamordował, on po prostu zginął.

Nie spodziewam się, żeby to coś pomogło, mówiła dalej, ale chciałabym to zrobić. A potem nigdy więcej tam nie wrócę.

Mark pokiwał głową, było to ewidentnie coś, o czym rozmawiali między sobą już wcześniej, wyciągnął nawet rękę nad stołem i ujął jej dłoń. Isabella chciała stanąć w miejscu, w którym został zabity jej syn, chociaż niczym się nie wyróżniało, śmierć zebrała swoje żniwo przy jakiejś drodze pozbawionej znaczenia. Chciała przekształcić ten bezsensowny pejzaż w coś innego, był to akt pamięci, chciała, żeby rzeczywistość zmieniła się w coś, czym nie mogła być. Pustka śmierci jest trudna do zniesienia, ledwie udaje nam się ją znosić przez jeden dzień, godzinę po zgonie.

Było coś egoistycznego nie tylko w smutku Isabelli, ale w smutku w ogóle, który ostatecznie nie dotyczy zmarłych, tylko tych, co zostają. Dochodzi do swoistego transferu: zmarli zastygają, ich życie wewnętrzne nie stanowi już niezgłębionej i nieodgadnionej tajemnicy, jaką mogło być kiedyś, na pewnym poziomie ich sekrety nie są już ciekawe.

Łatwiej opłakiwać znane niż nieznane. Dla własnej wygody wierzyliśmy w totalność naszej wiedzy, chroniliśmy nawet to złudzenie. Gdybyśmy w pewnym momencie natknęli się na dziennik z zapiskami najintymniejszych myśli zmarłego, zastanowilibyśmy się dwa razy, większość z nas nawet nie otworzyłaby notesu, tylko odłożyłaby nietknięty z powrotem na miejsce, bo już sam jego widok byłby przerażający. Pomyślałam sobie, że w ten sposób zmieniamy umarłych w duchy.

Nie wiem, gdzie to jest, odezwałam się w końcu.

Mark już załatwił samochód, odparła Isabella. Odwróciła się do męża i ścisnęła jego dłoń, stosunki między nimi uległy wyraźnej poprawie. Możemy pojechać po południu, po lunchu. Po naszym ostatnim lunchu w tej okropnej restauracji, muszę powiedzieć, że nie będę za nią tęsknić. I chociaż mnie też przyszła do głowy podobna myśl, natychmiast poczułam

niechęć do Isabelli z tego powodu, ostatecznie to jej syn wybrał ten hotel, była to jedna z ostatnich decyzji w jego życiu. Znowu spojrzała na Marka, a potem się pochyliła. Położyła dłoń na mojej dłoni i powiedziała: Oczywiście zadbamy o ciebie. Dostaniesz wszystko.

Chyba nie zrozumiałam, a może zrozumiała tylko połowa mnie — wszyscy wiedzą, co znaczy „zadbać o kogoś”, podobnie jak „dostaniesz wszystko”, bo wszystko znaczy wszystko. Druga połowa mnie pozostawała jednak zdezorientowana, Isabella tak nagle zmieniła front albo może po prostu to ja byłam uparta w swoich myślach i nie chciałam zrozumieć. Co niby miała na myśli, mówiąc „wszystko”? Było mieszkanie, o którym Christopher, kiedy rozmawialiśmy na temat naszego rozstania, powiedział niemal w przelocie: To ty powinnaś je dostać, jeżeli do tego dojdzie.

Ale ja nie podejmowałam z nim tego wątku, chociaż już wiedziałam, że „do tego dojdzie” — nie byłam nawet pewna, co rozumiał przez „dostać”; czy to, że powinnam tam mieszkać, gdy on będzie szukał sobie innego lokum, jak zresztą właśnie się stało, tyle tylko, że wkrótce potem ja też się wyprowadziłam, a mieszkanie stało puste? Czy raczej chodziło mu o to, że powinnam zostać właścicielką tego apartamentu? Bo o tym chyba mówiła Isabella, to miała na myśli, wspominając, że o mnie zadbają i że dostanę wszystko, nie chodziło jej o rzeczy osobiste, pamiątki ani wspomnienia, chodziło o pieniądze.

Wysunęłam rękę spod dłoni Isabelli. Kiedy się pobraliśmy, Christopher nalegał, żebyśmy oboje spisali testamenty — makabryczny i jak mi się wydawało, niezwykły krok, chociaż wiedziałam, że dość powszechny, wielu naszych przyjaciół postępowało podobnie po ślubie. Ślub zawsze każe nam myśleć o tym, co może kiedyś nastąpić, a takie dokumenty zabezpieczają nas przed skutkami tego rodzaju zdarzeń, o ile ich oczywiście same nie powodują: ustalenia przedślubne prawie niewidocznie wiodące do

rozwodu, testament, który prowadzi — jak w naszym przypadku — do śmierci, szokująco przedwczesnej i nieprzewidzianej.

Czy Isabella i Mark zaglądali już do testamentu Christophera? Czy tego właśnie chciał Christopher, „dostaniesz wszystko”? Czy może — w dniu, w którym się wyprowadził lub nawet wcześniej — umówił się ze swoim adwokatem: Zmieniły się okoliczności, chciałbym zmodyfikować testament, nowe warunki i nowi spadkobiercy? A może taka myśl przyszła mu do głowy, ale nie podjął na jej podstawie żadnych działań, bo nie była to pilna kwestia — komu w końcu miałby zostawić pieniądze? Dzieci nie mieliśmy, Christopher nie miał rodzeństwa, a jego rodzice byli zamożni.

Jeśli jednak zmienił testament, to może adwokat — Christopher korzystał z usług rodzinnego prawnika, oboje z nich korzystaliśmy, działał na nas uspokajająco — wspomniał już o tym Markowi i Isabelli, Mark pewnie zadzwonił do niego natychmiast po otrzymaniu wiadomości o śmierci Christophera, a potem drugi raz po radę w kwestii śledztwa, i wówczas nasz doradca mógłby powiedzieć tak: Christopher telefonował do mnie przed miesiącem, dwa miesiące temu, chciał zmienić testament. Jego małżeństwo się rozpadło albo znalazło na granicy rozpadu. Przypuśćmy więc, że Isabella i Mark wiedzieli o wszystkim od samego początku; jak w takim wypadku mogłabym się przed nimi wytłumaczyć?

Christopher zadzwonił do mnie przed wyjazdem, ciągnęła Isabella. Nie powiedziałam ci o tym, wydawało mi się to nieistotne. Oczywiście teraz się nad tym zastanawiam. Zostawił wiadomość, nagrał się, stwierdził, że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Jej głos był pytający, dociekliwy. Nie mogłam znieść jej spojrzenia. Widocznie Christopher postanowił powiedzieć Isabelli, że się rozstaliśmy. Opadłam na oparcie krzesła — nie sądziłam, że może mnie to tak bardzo zdenerwować, w ogóle nie myślałam, że się zdenerwuję; a zatem dla niego

naprawdę był to koniec, bez żadnej nadziei na zgodę lub naprawienie naszego związku. Na pewno zrobiłam się czerwona na twarzy albo zaczęłam dyszeć, poczułam, że za chwilę wybuchnę płaczem. Mark nagle się pochylił i spytał, czy chcę wody, machnęłam ręką na znak, że nie. Zauważyłam, że wymienili spojrzenia z Isabellą.

Odchrząknęła.

Naturalnie zastanawialiśmy się, czy nie jesteś w ciąży, oświadczyła Isabella. Christopher powiedział, że musi mi zakomunikować coś ważnego, a ponieważ ty nie wyjeżdżałaś z nim za granicę…

Popatrzyłam na nią, oszołomiona. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na mnie z nadzieją, było to kolejne pytanie ukryte pod postacią zdania oznajmującego: „umarł kochany, zastanawialiśmy się, czy nie jesteś w ciąży”. Nie odpowiedziałam natychmiast; byłam zbyt zaskoczona, chociaż właściwie nie wiem, z jakiego powodu, bo czego pragnie matka, kiedy jej syn się żeni, jeśli nie potomstwa? Koszmar cudzych oczekiwań. A przecież potrafiłam zrozumieć tę niesforną nadzieję, którą przedwczesna śmierć Christophera, jej jedynego syna, z pewnością tylko wzmocniła.

Isabella nie spuszczała wzroku z mojej twarzy, była to czysta fantazja albo złudzenie, jakaś myśl, która nie tylko przemknęła jej przez głowę — „coś ważnego do powiedzenia”, podobnie jak „zadbać o kogoś”, najpierw wydaje się mieć tylko jedno znaczenie, dopiero potem okazuje się, że tak nie jest — ale na dobre się w niej zagnieździła. W spojrzeniu mojej teściowej widziałam zarówno cień chciwości, jak i niedowierzania — miałam coś, czego ona chciała, jakieś ziarno informacji (byłam w ciąży czy nie?), może nawet ziarno embrionu, wnuka, o którym marzyła. Byłam nadzieją Isabelli na to, że może coś jeszcze zrekompensuje jej nieszczęśliwą, piekielną śmierć jedynego syna, absurdalnie zamordowanego, byłam szansą na zachowanie pewnej ciągłości, która

wprawdzie nie unieważniłaby tej śmierci, ale w pewnym sensie mogła złagodzić jej skutki.

Wszystko wtedy wyglądałoby o wiele lepiej. Wnuk, dziecko Christophera. Dziecko, w którego rysach byłoby widać podobieństwo do syna Isabelli, to coś w rodzaju zmartwychwstania. Poza tym — ta myśl była wbudowana w jej marzenie od początku, zespolona z jego atrakcyjnością, do czego moja teściowa przyznałaby się przed sobą, choć pewnie przed nikim innym — były jeszcze pieniądze, nie tylko Christophera, ale również ich, wszystkie rodzinne pieniądze przeszłyby na własność tego potomka, kogoś, kogo słusznie mogliby nazywać swoim spadkobiercą. Innych dzieci nie mieli, a ja byłam tylko ślepą uliczką i niewątpliwie wyszłabym znowu za mąż (niewątpliwie tak).

Nie miałam pretensji do teściowej, że przeprowadzała takie gruboskórne kalkulacje — nie miałam do niej pretensji, chociaż uważałam, że jest do nich zdolna — wydawało mi się to naturalne, może na jej miejscu zachowałabym się tak samo. I żałowałam, że nie mogę odpowiedzieć: tak. Przez krótką chwilę było to dla mnie równie niepojęte, jak dla Isabelli: Christopher odszedł i nie było nic, żadnej materialnej pozostałości, jaką w pewnym sensie są przecież dzieci, wyłącznie sieć emocji, które z czasem osłabną.

Nie byłam w ciąży. Pieniądze nie pozostaną w rodzinie. Isabella i Mark rozdzielą je pomiędzy różne organizacje charytatywne.

Nie jestem w ciąży, powiedziałam.

Przytaknęła skinieniem głowy, spodziewała się tego, ostatecznie myśl o dziecku była jedynie nadzieją. Spuściła głowę. Przyglądając się Isabelli, zauważyłam, że w jej spojrzenie wkrada się podejrzliwość — szybko, jak gdyby już wcześniej gdzieś się w niej czaiła, jak gdyby była pod ręką. Mogłam wtedy powiedzieć teściowej o naszym rozstaniu — ta myśl już

prawie przyszła jej do głowy, było to wyłącznie podejrzenie, ale ziarno tymczasem zakiełkowało, bo skoro nie jestem w ciąży, to co takiego chciał powiedzieć swojej matce Christopher? Zmartwiłaby się, choć może nie całkiem zdziwiła. Byłaby to kolejna okropna wiadomość, ale czy po zmianie, jaką przyniosła śmierć, po oswojeniu się z myślą, że jej syn nie żyje i nie ma go na świecie, ta drugorzędna już sprawa naszego rozstania znaczyłaby tak wiele dla Isabelli, czy w ogóle miałaby dla niej jakieś znaczenie?

Zawahałam się, chodziło o proste słowa — „Christopher i ja się rozstaliśmy, dlatego nie pojechałam z nim do Grecji” — ale nie chciały mi przejść przez gardło, budziły moje obrzydzenie, nie byłam już w stanie wypowiedzieć tej prawdy. Prędzej wymyśliłabym jakieś wieczne kłamstwo, rzeczywistość alternatywną: że niby faktycznie rozmawialiśmy o dziecku, Christopher pracował ciężko nad książką, był bardzo blisko finału, i umówiliśmy się, że kiedy skończy pisać, zaczniemy na poważnie starać się o dziecko.

Isabella raptownie odwróciła głowę.

To straszne pomyśleć, że Christopher nic po sobie nie zostawił.

Jest jego twórczość, powiedziałam. Do ukończenia książki zostało mu bardzo niewiele. Przyjechał do Grecji sam, bo musiał się skupić na pracy, w samotności udawało mu się zrobić dużo, dużo więcej.

Jest jego twórczość, powtórzyła.

Może moglibyśmy utworzyć jakiś fundusz imienia Christophera.

Isabella pociągnęła nosem.

Fundusz? Na jaki cel? Mam już dość fundacji i stypendiów. One właściwie nigdy nie upamiętniają człowieka. Możemy o tym porozmawiać później, ciągnęła po krótkiej przerwie. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że twoja sytuacja nie jest w żadnym przypadku niepewna, domyślam się, że

nie zarabiasz zbyt wiele, ale pieniądze to ostatnia rzecz, o jaką mogłabyś się martwić.

I zrozumiałam, że wbrew temu, co sobie wcześniej wyobrażałam, więź między nami nie zniknie tak po prostu, będzie jeszcze trwać jakiś czas. Mieliśmy sprawy finansowe, które łączyły nas jako pogrążonych w żałobie, nawet bez wnuka. Będą więc wspólne obiady z Isabellą i Markiem, a także telefony, bo proponowane przez nich pieniądze właściwie mi się nie należały. Było to ogniwo łańcucha, który nie chciał pęknąć, miałam do końca grać rolę zrozpaczonej wdowy. Już ją grałam — usankcjonowaną wersję kogoś, kim byłam, mój smutek, moje uczucia zostały opatrzone odpowiednimi etykietami i skatalogowane.

W rzeczywistości jednak moja rozpacz nie znalazła schronienia i miała pozostać bez adresu. Wciąż będę świadoma różnic między tym, co jest, i tym, co powinno być, będę się bała, że ludzie je zobaczą w mojej twarzy, usłyszą w tym, co i w jaki sposób opowiadam o Christopherze, i wszystko ciągle będzie mi przypominać, o ile gorzej wypada moja miłość w konfrontacji z miłością silniejszą i idealniejszą, doskonalszą, która mogłaby przeżyć nasze małżeństwo nawet w obliczu zdrad Christophera, z miłością, która mogła go ocalić. Powinnam była bardziej się poświęcać, powinnam była mu okazać takie uczucie, jakiego oczekiwałaby — nie — jakiego oczekiwała Isabella od żony swojego syna.

Ile razy dostajemy sposobność, żeby przepisać przeszłość, a zatem i przyszłość, żeby od nowa skonfigurować własną osobowość — wdowa zamiast rozwódki, raczej wierna niż niewierna? Przeszłość podlega najróżniejszym rewizjom, wcale nie jest stabilna, a każda zmiana w przeszłości wywołuje zmianę w przyszłości. Nawet zmiana w naszym pojmowaniu przeszłości może skutkować inną przyszłością niż ta, którą planowaliśmy.

Niedługo potem wstaliśmy od stolika. Samochód przyjedzie po nas za pół godziny, zapowiedziała Isabella. A jutro pojedziemy do Aten i wrócimy do Londynu, zarezerwowałam już bilety. Mark zamówił tego samego szofera, z którym jechaliście wczoraj, nazywa się chyba Stefano. Znieruchomiałam, to niemożliwe, żeby właśnie Stefano miał nas wieźć na miejsce śmierci Christophera; położyłam jej rękę na ramieniu.

O co chodzi?

Możesz poprosić Marka, żeby zamówił innego kierowcę?

Ale dlaczego? Myślałam, że już korzystałaś z jego usług.

Wolałabym kogoś innego. Czułam się przy nim — zawahałam się, nie za bardzo wiedziałam, co powiedzieć — niezręcznie.

To było dobre, to słowo nic nie mówiło, sugerowało jednak wiele, Isabella natychmiast przyjęła życzliwą postawę, oplotła mnie ramieniem. Tak, oczywiście, stwierdziła. Niełatwo jest samotnej kobiecie, mężczyźni potrafią być okropnie nieznośni. Mark poprosi o innego kierowcę. Gdy tylko to powiedziała, zdałam sobie sprawę, że Stefano zinterpretuje odwołanie kursu jako potwierdzenie swoich podejrzeń: Mark jest tym, za kogo go wziął, jeszcze jednym ksenofobem z zagranicy. Nie mogłam też się spodziewać, że moje kłamstwo — chociaż była w nim pewna doza prawdy, bo rzeczywiście czułam się teraz niezręcznie przy Stefanie — odmieni predylekcje Marka do okazywania uprzedzeń etnicznych.

Tak czy inaczej, oznaczało to, że nie będzie nas podwoził Stefano, i to było ważne, nie miałam ochoty znowu go widzieć. Zeszliśmy z tarasu restauracji. Już w recepcji przez twarz Isabelli przemknął dziwny grymas, a ja przypatrywałam się jej przez chwilę, zdziwiona. Miała nieruchome oczy i wydęła wargi, wyglądała na poruszoną, była blada, prawie jak gdyby zobaczyła ducha.

Odwróciłam się, by sprawdzić, czemu się tak przygląda. W recepcji było pusto, jeśli nie liczyć Marii — stała za ladą i patrzyła prosto na nas; nie widziałam jej od dnia, w którym znaleziono ciało Christophera. Zrozumiałam, że wpatruje się nie we mnie, ale w Isabellę, i to tak intensywnie, że moja teściowa musiała być tym zdumiona, bo oczywiście nie miała zielonego pojęcia, kim jest Maria, ani o jej związku z Christopherem, nie wiedziała, że przyglądając się jej, Maria widzi nie kolejnego gościa hotelowego, turystkę zwiedzającą okolicę, lecz matkę mężczyzny, w którym się zakochała.

I tak jak Stefano, patrząc na Marka, widział zapewne widmo Christophera, Maria, patrząc na Isabellę, widziała kobiecą, a zatem jakby odwróconą wersję swojego cudzoziemskiego kochanka, Christopher zaś, którego dostrzegała w delikatnych, kobiecych rysach twarzy Isabelli, w takich samych oczach, jak jego oczy, spoglądających z takim samym uporem, na pewno ją zaniepokoił. Maria i Isabella patrzyły dalej na siebie, widziałam, jak wyraz twarzy mojej teściowej się zmienia, jej zdumienie przeszło w mglistą pogardę i obrzydzenie; być może pomyślała, że Maria jest zbyt natarczywa.

Tyle tylko, że wcale na to nie wyglądało, bo Isabella przyglądała się dalej Marii z miną znamionującą nieufność, zbyt wyrazistą, jak na obcą osobę; zaczęłam podejrzewać, że mojej teściowej udało się w jakiś sposób (matczyna intuicja) domyślić, co łączyło tę dziewczynę i Christophera, że to dlatego Maria przypatrywała się jej takim nieruchomym wzrokiem. Odnosiło się wrażenie, że nie jest w stanie oderwać od niej oczu, jak gdyby widok Isabelli był zbyt fascynujący.

Isabella zarumieniła się i odwróciła głowę. Wydała słyszalny odgłos dezaprobaty: Dziwne maniery ma ta kobieta, a ja poczułam się pewniej; to zadziałała tylko moja wyobraźnia, jak Isabella mogła się domyślić, co

łączyło jej syna i Marię, skąd mogłaby wiedzieć, że ostatnio, co najmniej od miesiąca, bliżej był z tą surową, młodą recepcjonistką niż ze mną, swoją żoną?

Właśnie takie kobiety podobały się Christopherowi, ciągnęła. Zdumiałam się, mimo woli zaimponowała mi, dobrze znała swojego syna, o wiele lepiej ode mnie, bo ile razy widziałam Marię, zanim zobaczyłam ją naprawdę? Isabella przyglądała mi się figlarnie, jak gdybyśmy po prostu dyskutowały o dziwactwach naszego wspólnego znajomego; wzruszyłam ramionami i odparłam, że nie wiem, nie umiem powiedzieć, najwyraźniej ja i ta kobieta nie mamy ze sobą nic wspólnego, nie jesteśmy ani trochę podobne. Isabella rzuciła Marii jeszcze jedno zaniepokojone spojrzenie, a potem się odwróciła, jak gdyby sprawa została już zamknięta.

I została, dopóki Isabella nieostrożnie nie uchyliła znów drzwi, chociaż na krótko. Zacisnęła zęby, idąc w kierunku schodów, jakby chciała powiedzieć: Dość tego, już dość. Zorientowałam się, że jej żałoba jest aktem woli, tak jak wszystko, co robi. Poinformowała mnie, że Mark poprosi w recepcji o zamówienie dla nas innego kierowcy, spytała, czy będę gotowa, żeby wyjechać za godzinę, a ja odparłam, że dobrze, że spotkam się z nią i z Markiem na dole, w recepcji.

# 12.

Przysłali innego kierowcę. Mark nie okazał najmniejszego zdziwienia, że poprosiłyśmy go o dokonanie tej zmiany, nasze wcześniejsze spotkanie naprawdę nie było szczęśliwe, słowo „niezręczne” bez wątpienia opisywało je najlepiej. Mark nie należał do ludzi, którzy lubią się awanturować, a przecież zrobił małą awanturę, jadąc wtedy na tylnym siedzeniu samochodu Stefana.

Na pewno nie miał zamiaru tego powtórzyć. Siedział teraz z przodu z roztargnioną i poniekąd dostojną miną, nie patrząc na kierowcę, który się nam nie przedstawił. Isabella i ja zajęłyśmy miejsca z tyłu. Nie było mowy o tym, by któraś z nas usiadła obok kierowcy, dał o sobie znać wrodzony instynkt rycerski Marka, jak gdyby trzeba było osłonić mnie i Isabellę przed taksówkarzem, uchronić nas przed skrępowaniem, które wszyscy odczuwamy, siadając obok obcego człowieka.

Wyjeżdżaliśmy sprzed hotelu i Mark zapytał szofera, czy wie, dokąd jechać, a on odparł, że tak, Kostas wszystko mu wytłumaczył, wie już, gdzie to jest. Isabella wyglądała przez okno, jak gdybyśmy jechali do miejscowej restauracji albo obejrzeć jakąś atrakcję turystyczną, miała spięty i oszołomiony wyraz twarzy, nadal nie mogła zrozumieć, co sprowadziło tutaj jej syna, zawsze będzie to dla niej niepojęte, bez względu na to, jak długo zostanie w Grecji, i bez względu na to, czy zobaczy miejsce śmierci Christophera. Z tego punktu widzenia miała rację, że chciała wyjechać, nie było tu nic, czego mogłaby się dowiedzieć lub co mogłaby zrozumieć.

Usłyszałam, jak Mark mówi do kierowcy: Chcemy zobaczyć miejsce, w którym umarł nasz syn.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to powiedział, bo nie należał do ludzi, którzy spoufalają się z nieznajomymi, nie miał w zwyczaju nikomu się przypochlebiać i nie lubił gadać o byle czym. Taksówkarz się nie odezwał, tylko lekko kiwnął głową na znak, że słyszał — trudno było nawet stwierdzić, jak dobrze zna angielski, wcześniej powiedział zaledwie kilka słów, więc może wcale nie zrozumiał Marka i jego nierealnie brzmiącej wypowiedzi — Mark jednak ciągnął bez zachęty ze strony Greka: Musimy to zrobić przed wyjazdem. Kierowca znowu kiwnął głową, jakby potwierdzając, że zrozumiał, że się z nami zgadza.

Najwyraźniej był dobrym słuchaczem, biegłym w milczeniu, może była to umiejętność potrzebna w jego fachu, chociaż z mojego doświadczenia wynikało, że to zwykle taksówkarze pierwsi zaczynają rozmowę, to oni muszą zrzucić jakiś ciężar z piersi; czy nie tak zachowywał się Stefano, w każdym razie ze mną? Po krótkiej chwili milczenia między mężczyznami kierowca zwrócił się do Marka niemal bezbłędną angielszczyzną: To ważne sprawy. Był to pusty frazes, Mark jednak przytaknął i rozjarzyły mu się oczy, jak gdyby tamten powiedział coś istotnego, wyrażającego głębokie współczucie.

Być może Mark chciał się podzielić swoim smutkiem z kimś jeszcze oprócz Isabelli, oprócz mnie — nieznajomy, niemający własnego powodu do rozpaczy, ktoś, przy kim nie trzeba uważać, żeby go nie urazić, może być dla nas większym pocieszeniem niż ludzie dzielący z nami ból po stracie bliskich — a może sprawiał mu przyjemność kontakt z mężczyzną, lubił przebywać w męskim towarzystwie, poza tym opłakiwał syna, kiedyś byli oni dwaj i Isabella, teraz natomiast został w małżeństwie sam. Mówił

dalej: Wie pan, że mojego syna zabito, a kierowca znowu przytaknął: Wiem, to straszne; sam ma dwoje dzieci i nie widzi świata poza nimi.

Mark spojrzał na niego. Moglibyśmy zostać, ale po co? Nasi adwokaci twierdzą, że na tutejszą policję możemy dalej naciskać z Londynu. Śledztwo będzie też prowadzone w Anglii, pomogą nam władze brytyjskie — zginął przecież obywatel Zjednoczonego Królestwa, ta sprawa leży w sferze ich zainteresowań. Ale to nie przywróci Christophera do życia. Być może nawet nie znajdą jego zabójcy. Urwał. Niekompetencja greckiej policji przechodzi ludzkie pojęcie.

Nie widzę powodu, żebyśmy mieli zostać. Ale z drugiej strony jest trudno, trudno jest stąd wyjechać i nie odnieść wrażenia, że porzucamy Christophera… Naszego syna, miał na imię Christopher. Zabieramy go stąd, zostanie pochowany w Anglii. Tak czy owak, mam poczucie, że go opuszczamy, że pozostaną tu niedokończone sprawy. Isabella wciąż wyglądała przez okno, jak gdyby nie dochodziło do niej nawet słowo z tego, co mówił Mark, może nie słuchała męża z przyzwyczajenia. Wydaje mi się, że ci, którzy zostają, zawsze się czują w ten sposób, dodał Mark, że wszystko, co robimy, jest zdradą.

Było to jeszcze intymniejsze niż wszystko, co już wcześniej powiedział temu człowiekowi, miało wymiar wyznania. Wpatrywał się w drogę przed maską, tak jak i kierowca, obaj wbili wzrok w szosę. Po krótkiej chwili — taksówkarz milczał, jak gdyby mój teść w końcu wprawił go w zakłopotanie — Mark odwrócił głowę i zaczął wyglądać przez okno.

Tak daleko w głębi lądu jeszcze tu nie byłam; minęliśmy kilka miasteczek, a potem wjechaliśmy na pustą szosę. Po obu stronach jednopasmówki ciągnęły się spalone krzaki, między nimi kępy osmalonych kaktusów, ich ramiona były obwisłe i częściowo stopione od żaru. Przez poczerniałą ziemię zaczynały się przebijać małe zielone pędy, chociaż nie

była to pora wzrostu roślin, kolejne świadectwo szaleństwa. To mogło być właśnie owo miejsce, między jednym miasteczkiem a drugim, wieczorny spacer, Christopher miał skłonność do takich rzeczy.

Kierowca odchrząknął. Na pewno zdenerwowało go przemówienie Marka, musiał się domyślić, że jest niezwyczajne, że nie pasuje do spiętej i sztywnej postawy tego Anglika, kamienna fasada runęła pod naporem smutku. Grek wyraził prostą prawdę, mówiąc, że nie potrafi sobie tego wyobrazić — smutku, utraty dziecka. Jesteśmy już niedaleko, powiedział niemal niechętnie.

Isabella znieruchomiała, całe jej ciało natychmiast zrobiło się sztywne. Mark znów się odezwał, jak gdyby nie słyszał kierowcy, jak gdyby chciał się mu sprzeciwić albo przynajmniej opóźnić moment, w którym dotrą do niego jego słowa, wolałby jechać dalej, jeśli tylko byłoby to możliwe, jeszcze przez długie godziny. Żaden ojciec nie spodziewa się, że przeżyje swojego syna, powiedział, to wbrew naturze. Ale nie zdążył skończyć, kiedy kierowca zwolnił i zatrzymaliśmy się, nie dojeżdżając do kolejnego miasteczka, a potem Mark już nic nie mówił. Bez szumu silnika zrobiło się nagle cicho. Isabella zmieniła pozycję na tylnej kanapie.

To tutaj?

W jej ostrym głosie zabrzmiała dezaprobata, jak gdyby niekompetentny agent nieruchomości pokazywał jej posiadłość o niskim standardzie, przykro mi, ale ten dom jest do niczego, w żadnym razie nie odpowiada moim oczekiwaniom. Nie dałoby się jednak znaleźć tak dużego domu, by mógł pomieścić jej smutek; gwałtownym ruchem odpięła pas bezpieczeństwa i wysiadła. Mark siedział z przodu z rękami na kolanach, nie patrzył na żonę, która stała na zewnątrz, opierając dłoń o dach samochodu. Kierowca też otworzył drzwi i wysiadł, a wtedy Isabella się cofnęła.

Skąd pan wie, że to tu?

Szofer odwrócił wzrok. Odezwała się władczo, jak gdyby smutek był normalną częścią rynku towarów i usług, obsługa smutku Isabelli nie spełnia jej wymagań, więc chciałaby rozmawiać z kierownikiem. Mark odetchnął głęboko — był to chrapliwy, urywany oddech, mój teść zbierał się w sobie — po czym otworzył drzwi i wysiadł. Chwilę później wysiadłam i ja, nie mogłam zostać w aucie, chociaż tego bym chciała.

Jest pan pewien, że to jest to miejsce? — nie ustępowała Isabella.

Teraz kierowca przytaknął: Tak, to jest to miejsce, bez wątpienia. Zaczęłam się wtedy zastanawiać, czy podobnie jak Stefano, również on nie przejeżdżał tędy przypadkiem tamtego ranka, czy nie widział policyjnych blokad i radiowozów, może nawet zobaczył ciało, nogi wystające spod płachty. „Ta szosa to najkrótsza droga między dwoma miasteczkami”, na pewno tylko tamtego ranka przejechało tędy co najmniej kilkanaście samochodów.

Odwróciłam się, żeby poszukać wzrokiem Marka i Isabellę, nie odeszli daleko, znajdowali się może dwadzieścia stóp ode mnie. Stali ramię w ramię, zapatrzeni w pas poczerniałej ziemi. W oddali było widać poplątane kable telefoniczne, opustoszałe szopy, zardzewiałe beczki po oleju napędowym i kilka betonowych zabudowań. Mark i Isabella tkwili w bezruchu, nie dotykali się, ale pozostawali ze sobą w fizycznej bliskości, pod pewnymi względami intymniejszej niż dotąd, nie widziałam ich w podobnej sytuacji od przyjazdu do Grecji, ba, od kilku lat.

A jednak nie odniosłam wrażenia, że jest to chwila pojednania, a tym bardziej zamknięcia ich pobytu w Mani, wyglądali jak dwoje starszych ludzi, którzy stracili orientację w nieznanym terenie, a nie mogą na sobie nawzajem polegać, bo żadne z nich nie wie, jak się stąd wydostać, za chwilę z łatwością mogło dojść do karczemnej kłótni, jedno z nich

odeszłoby przed siebie, nie odwracając się, drugie z kolei zostałoby przy samochodzie, bezsilnie wymachując trzymaną w ręku mapą. Jak do tego doszło? Co ja tu robię? Patrzyli na czarną ziemię i zwęgloną albo więdnącą roślinność, może mieli nadzieję, że znajdują się tam jakieś ślady, które mogłyby pomóc w śledztwie, ale nic nie znaleźli, to było zwyczajne miejsce, nie było tutaj nic, dzięki czemu mogli się dowiedzieć czegoś nowego.

Patrzyłam, jak kołysząc się na nogach — Isabella wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć na ramieniu Marka — schodzą z szosy na pobocze. Nagle wydali mi się o wiele starsi, jak gdyby to miejsce, nie tylko śmierć Christophera, postarzyło ich, i przez chwilę gotowa byłam uwierzyć, że jest nawiedzone, że jakiś złośliwy duch wyssał z nich życie, w Grecji krążyło wiele takich opowieści, stanowiły część miejscowej kultury. Przypomniałam sobie, że to właśnie ona sprowadziła Christophera do Mani — bez względu na to, co mówiła Isabella, że „na pewno w grę wchodziła jakaś kobieta, Christopher nigdy nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach”, przyciągnął go tutaj kult śmierci.

Można by niemal powiedzieć, że mój mąż przyjechał do tego kraju, by umrzeć. Nie miał skłonności autodestrukcyjnych, sam nigdy nie odebrałby sobie życia. Przyjechał jednak do Mani w poszukiwaniu oznak śmierci, jej symboli i rytuałów, niejasnych pozostałości, oglądał ten krajobraz i przekształcał go w model obrzędów, odprawianych wokół umarłych i śmierci. Jak jego własny koniec mógł nie stać się elementem rozmyślań Christophera na temat śmierci jako takiej, jak taka ewentualność mogła mu nie przyjść do głowy? Nie można było zastanawiać się nad ostatnimi dniami jego życia, nie dostrzegając nad nimi całunu śmierci, nawet jego kobieciarstwo — nieodparty nałóg, kształtujący się przez całe jego życie — zaczęło wyglądać na daremny sprzeciw w obliczu nieuchronnego końca.

Kiedy człowiek przekroczy pewien wiek, koniec to już kwestia tylko kilku dziesięcioleci, dwóch albo — jeśli ma się szczęście — trzech, właściwie tyle co nic. A jak Christopher oceniałby stan naszego małżeństwa, gdyby wyczuwał śmierć? Nawet jeśli nie żałował rozstania, mógł mieć podobne wrażenie jak ja, że już jesteśmy za starzy, aby zaczynać od nowa. Był osiem lat starszy ode mnie. Co widział, kiedy stał w tym miejscu na kilka chwil przed śmiercią? Może nic — może było to dla niego zwyczajne miejsce i absolutnie zwyczajna sytuacja, dopóki nie dostał oślepiającego uderzenia w głowę.

Rozejrzałam się. Wrażenie minęło, nie wydawało mi się już, że jesteśmy w miejscu, w którym umarł ktoś, kogo wszyscy kochaliśmy, brakowało tu pewnej intymności — jaką z oczywistych powodów i bez wątpienia ma łóżko, w którym sypiała osoba nam bliska, biurko, przy którym pracowała, czy stół, przy którym jadła — to był po prostu fragment pustej drogi, pustej, choć nie do końca, w oddali dało się bowiem dostrzec miasteczko, na którego tle krzyżowały się kable telefoniczne, w spalonych krzakach leżały śmieci, a pod naszymi nogami pętały się zmiażdżone puszki po piwie i pety.

Zapatrzyłam się na nie, wszystkie zdawały się stosunkowo świeże, bibułka tylko trochę pożółkła, leżały wszędzie, ziemia była nimi usłana. To nieprawdopodobne, że jacyś ludzie mogli stać w tym spopielonym otoczeniu i rzucać niedopałki — może wciąż się żarzące, nie wiadomo — na ziemię. Może wydawało im się, że okolica została tak zniszczona, że nie warto już niczego szanować, to prawda, że nic już tutaj nie ma; szczerze mówiąc, trudno było nawet zrozumieć, jak ktoś mógł stać w tym miejscu na tyle długo, by wypalić papierosa, ba, trudno było pojąć, że ktoś w ogóle mógł stać na tej drodze. Nawet my, a raczej powód, dla którego tutaj przyjechaliśmy, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nieokreślony.

Spojrzałam na rodziców Christophera. Przypomniałam sobie, jak ich poznałam, spotkaliśmy się, dopiero gdy byłam zaręczona z ich synem i mieliśmy się pobrać, znałam go już dość długo i dużo o nich słyszałam, chociaż nic dobrego. Najpierw mówił o Marku i Isabelli bardzo niewiele, a potem nagle miał mnóstwo do powiedzenia o rodzicach oraz ich małżeństwie, może dlatego, że w końcu sam poprosił mnie o rękę — nie był już młody, kiedy wzięliśmy ślub, udało mu się go odkładać — a może po prostu z tej przyczyny, że kiedy już otworzyło się to osobliwe pudło, skład uczuć Christophera wobec swoich rodziców, a zwłaszcza Isabelli, trudno je było zamknąć, zaś jego zawartość chociaż trochę musiała się wysypać.

Dlatego byłam zdenerwowana, pewnie nawet bardziej niż zwykle w takich wypadkach — pierwszy kontakt z przyszłymi teściami rzadko uważa się za łatwe spotkanie — sądziłam jednak, że nie będzie tak źle, jak twierdził Christopher, który sam zresztą powiedział: Pewnie się w nich zakochasz, są niezwykle czarujący; jak gdyby chodziło o zdradę, której już się wobec niego dopuściłam. Ale nie zakochałam się w nich i nie wydali mi się specjalnie czarujący, i od tamtej pory było to widać w moich relacjach z nimi. Przypomniałam sobie, że siedziałam naprzeciwko nich w trakcie jednej z wielu niekończących się kolacji — po tym, jak już zostałam im przedstawiona, odbywały się regularnie, raz w miesiącu kolacja z Isabellą i Markiem, bez dyskusji, prawie tego nie zauważałam, nigdy nie byłabym w stanie przewidzieć czegoś takiego na początku naszego związku — i myślałam, jak wielką mam nadzieję, że nasze małżeństwo, moje i Christophera, nie będzie wyglądać podobnie.

Mówię, że miałam nadzieję. Tak naprawdę byłam jednak tego beztrosko pewna, wydawało mi się, że nie możemy być tacy jak Isabella i Mark, nie potrafiłam sobie wyobrazić przyszłości, która mogłaby przynieść tak opłakane skutki. Okazało się, że miałam rację, nie skończyliśmy jak moi

teściowie, chociaż nie z takich powodów, o jakich wtedy myślałam. W tamtym czasie zachowywałam się jak wszyscy młodzi, którzy przyglądają się osobie starszej — mimo że wcale już taka młoda nie byłam, Christopher też nie — i tak jak wszyscy ludzie, którzy nie mogą uwierzyć, że kiedyś się zestarzeją, a tym bardziej umrą, nie mogłam uwierzyć, że nasze małżeństwo zacznie przypominać ich związek, a tym bardziej, że całkiem się rozpadnie.

A jednak się rozpadło, po pięciu latach. Pięć lat — zaledwie ułamek czasu, jaki spędzili ze sobą Mark i Isabella, których związek wciąż trwał, nawet teraz. Stali tuż obok siebie, a ich małżeństwu przybywały kolejne godziny, z każdą minutą trwało coraz dłużej. Może i było to okropne małżeństwo, zbudowane na zdradzie — chociaż co właściwie znaczy „okropne”, są takie zdrady, które z zewnątrz wydają się niewybaczalne, a przecież się je wybacza, i takie formy intymności, które wcale nie wyglądają na intymne — ale jednak małżeństwo.

Tymczasem moje małżeństwo już się skończyło — dwukrotnie. Trudno się było dziwić, że kiedy patrzyłam w tej chwili na rodziców Christophera, oglądałam ich relację w nowym świetle. Wydawało mi się niewiarygodne, że przypatrując jej się kiedyś, widziałam w niej różne rzeczy godne pogardy; pogarda brzmiała za mocno, ale mimo wszystko była trafna, tak wyglądała prawda. Jednym z problemów, jakie niesie szczęście — a byłam bardzo szczęśliwa po zaręczynach — jest to, że człowiek robi się zadowolony z siebie i traci wyobraźnię. Przyglądając się teraz małżeństwu Isabelli i Marka, uświadomiłam sobie, że nic nie rozumiałam ani z tego małżeństwa, ani z małżeństwa w ogóle, że Mark i Isabella znali takie jego aspekty, jakich ja z Christopherem nie zdążyłam poznać — albo na jakich poznanie nie znaleźliśmy czasu.

Isabella odwróciła się gwałtownie i podeszła z powrotem do samochodu. Chyba skończyliśmy, powiedziała. Kierowca skinął głową i moja teściowa wgramoliła się na tylne siedzenie. Miała sztywne plecy, a kiedy wpatrzyła się w zagłówek fotela przed sobą, zauważyłam, że oczy ma szkliste od łez. Skrzywiła się, jakby nie zamierzała poddać się rozpaczy, a potem wyprostowała grzbiet i powiedziała: Mark? Idziesz? Chciałabym już pojechać, nie mam ochoty sterczeć tutaj dłużej.

Mark dał znak kierowcy i razem wsiedli do auta. Taksówkarz pospiesznie wsunął kluczyk w stacyjkę i uruchomił silnik, ruszyliśmy z piskiem opon. Plecy i głowa Isabelli kołysały się w czasie jazdy, ale grymas na jej twarzy nie znikał i nie znikały też łzy. Dokąd mam teraz jechać, do hotelu? — spytał kierowca, a Mark odpowiedział: Tak. Wracajmy do hotelu. Kiedy wyjeżdżają państwo z Grecji? Mark odparł: Jak najszybciej, gdy tylko się spakujemy.

# 13.

W zimie na południowym Pacyfiku zaginął niewielki statek wycieczkowy. Pewien nowozelandzki meteorolog odebrał o drugiej w nocy telefon od niezidentyfikowanej kobiety. Powiedziała, że statek, z którego dzwoni, wszedł w obszar sztormowej pogody, podała swoje położenie i poprosiła o wskazówki, dokąd powinni płynąć, aby znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Pełniący nocny dyżur meteorolog kazał kobiecie zadzwonić ponownie za pół godziny, gdyż aby coś jej poradzić, musiał najpierw przyjrzeć się dokładnie prognozie pogody.

Nieznajoma więcej nie zatelefonowała. Zgodnie z obowiązującą procedurą meteorolog wszczął alarm. Ratownicy podjęli poszukiwania radiowe, próbowali połączyć się ze statkiem i tajemniczą kobietą, która prosiła o pomoc i na której numer dyżurny oraz grupa poszukiwawcza dzwonili przez następnych kilka godzin — jej telefon działał, tylko po prostu nikt go nie odbierał. Potem ratownicy nawiązali kontakt z innymi jednostkami pływającymi w pobliżu, żeby ustalić, czy ktoś nie widział statku znajdującego się w niebezpieczeństwie albo w ogóle jakiegoś statku.

W następnej kolejności w rejon, skąd — jak sądzono — dzwoniła kobieta, wysłano samolot wojskowy. Było to prawie trzydzieści sześć godzin później — po telefonie, który niekoniecznie należało uznać za wołanie o pomoc, chyba raczej za prośbę o odpowiedź na przezorne pytanie, za zapowiedź niebezpieczeństwa, jakie dopiero mogło nadejść; czas na morzu płynie jednak wolniej niż gdzie indziej, na ziemi czy

w powietrzu. Obszar wyznaczony na podstawie koordynatów podanych przez kobietę był olbrzymi, jego promień mierzył ponad tysiąc mil morskich. Załoga samolotu przez wiele godzin przepatrywała pomarszczoną, cętkowaną powierzchnię oceanu, nic jednak nie znaleziono.

Minął tydzień. Na pokładzie statku były dwieście trzydzieści dwie osoby, w tym kapitan i załoga. W czasie tych niespokojnych siedmiu dni oczekiwania rodziny zaginionych zostały przewiezione drogą lotniczą do Australii i pozostały na miejscu — firma, do której należała jednostka, niewielkie przedsiębiorstwo specjalizujące się w luksusowych rejsach po południowym Pacyfiku, zakwaterowała przybyłych w ekskluzywnym hotelu — jak gdyby to, że będą przebywać bliżej miejsca wypadku, mogło w jakiś sposób zmniejszyć napięcie nerwowe. Wiele z tych osób pochodziło jednak z Europy, więc dzięki podróży do Australii znaleźli się o dwadzieścia godzin bliżej swoich bliskich, mogli ich zatem w ten sposób szybciej uściskać, kiedy już zostaną odnalezieni i przewiezieni na ląd.

Poszukiwania zataczały coraz szersze kręgi — do akcji włączyło się stopniowo kilka państw, a historię zaginięcia wycieczkowca mocno nagłośniono w Anglii, bo armator, którego statki mogły się pochwalić przestronnymi kabinami i wysoką liczebnością załóg, troszczących się o swoich pasażerów, cieszył się popularnością wśród brytyjskich emerytów — a rodziny zaginionych z czasem zaczęły mieć dość przedłużającego się pobytu w Cairns. Pięciogwiazdkowy hotel zapewniał — wśród innych atrakcji — widok na zatokę i marinę, ale na tych gości morze raczej nie działało kojąco. Wkrótce miejscowe luksusy przypominały rodzinom już tylko o tym, że nie znajdują się w domu, lecz w czymś w rodzaju czyśćca, i że nadal czekają.

Okazało się, że tych kilkanaście tygodni stanowiło zaledwie wstęp do kolejnych miesięcy, a potem lat czekania — w końcu zaprzestano

poszukiwań, zaś firmy ubezpieczeniowe zaczęły przygotowywać olbrzymie wypłaty dla rodzin zaginionych pasażerów i załogi — nie znaleziono bowiem żadnych śladów po statku, a o ludziach na pokładzie mówiono nie jak o martwych czy żywych, tylko jak o zaginionych. W licznych wywiadach, których udzielali członkowie rodzin (wywiady też ustały, z początku media bezustannie wałkowały tę historię, dziennikarze nie dawali rodzinom spokoju, prosząc o komentarze, potem jednak nagle stracili zainteresowanie sprawą, często tak bywa w podobnych sytuacjach), mówili oni, jak trudno jest im rozpaczać i się smucić, nie wiedzą bowiem, czy mają dalej żywić jakąś nadzieję, czy — jak to ujął jeden z nich — żyć dalej.

Jednym z powodów, dla których tak trudno przychodziło im jednak „żyć dalej”, było to, że zniknięcie takiej jednostki bez śladu w dzisiejszych czasach jest wydarzeniem niezwykle mało prawdopodobnym; była może niewielka jak na statek wycieczkowy, ale dosyć duża jak na zaginiony obiekt, w dodatku wyposażona w najnowszą technologię i mnóstwo dublujących się systemów bezpieczeństwa. Nie znaleziono żadnego sensownego wyjaśnienia katastrofy, bo prawdę mówiąc, nie było też żadnych doniesień o jakimkolwiek załamaniu pogody tamtego dnia — czyniło to telefon od niezidentyfikowanej kobiety tym bardziej niewytłumaczalnym — i nigdy nie udało się odnaleźć wraku ani żadnych szczątków statku. Po prostu zniknął bez śladu.

Powstało wiele teorii dotyczących tego zdarzenia, począwszy od klęski żywiołowej (statek miał zostać dosłownie połknięty przez morze), aż po wyjaśnienia natury geopolitycznej (statek uprowadzili terroryści). Jedna z popularniejszych w owym czasie hipotez zakładała, że pasażerowie weszli w jakieś porozumienie z załogą, by wspólnie zaaranżować swoje zniknięcie. Kupili bilety, pożegnali się z rodzinami, a potem rozpłynęli bez

śladu; najważniejszym szczegółem, na jakim opierała się owa teoria, było to, że trasa podróży obejmowała tak odległe i egzotyczne miejsca, jak wyspa Vanuatu (znana z pięknej przyrody oraz czci, jaką tamtejsi tubylcy oddawali księciu Filipowi), a także Wyspy Salomona.

Myśl, że wszyscy zaginieni mieszkają razem na jakiejś tropikalnej wyspie, wydawała się oczywiście niesłychana, a chociaż byłoby to atrakcyjne wyjaśnienie tajemnicy — zaginieni wcale nie zaginęli i prowadzili względnie szczęśliwe życie, bawiąc na czymś w rodzaju przedłużonych wakacji w pięknym zakątku świata — przysparzało jednak pewnych komplikacji, zważywszy, że opierało się na założeniu, iż wszyscy na pokładzie rozpaczliwie pragnęli uciec nie tylko od swojego dotychczasowego życia, ale i od będących jego częścią ludzi, czyli także od tych, którzy zgromadzili się w Cairns w nadziei na połączenie się z zaginionymi.

Czy jednak często nie żywimy podobnych podejrzeń również wobec zmarłych? Oczywiście w naszej historii nie było takiego dramatu, jak zaginiony statek, ani też żadnych wątpliwości co do tego, że Christopher nie żyje — nie żył z całą pewnością, nikt tego nie kwestionował i nie chodziło tu o mistyfikację — ale w jego śmierci kryła się wciąż nierozwiązana zagadka. Każda śmierć wydaje się nierozwiązaną zagadką, gdy bliżej jej się przyjrzeć (w obliczu ostateczności śmierci zawsze płyną za nią fale zwątpienia), i śmierć Christophera nie była wyjątkiem.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami śledztwo nie zakończyło się sukcesem i sprawa została zamknięta nieco ponad rok później, po cichu i bez zauważalnego poczucia porażki. Policja nie spodziewała się znaleźć zabójcy, a zatem nie wydawała się zdziwiona ani zawiedziona, kiedy śledztwo nie przyniosło rezultatów. Takie informacje przekazała mi Isabella. Zamknęli sprawę, powiedziała przez telefon. Moglibyśmy na nich

naciskać, żeby ją ponownie otworzyli, ciągnęła, ale nie ma żadnej gwarancji, że tym razem poszłoby nam lepiej, a prawdę mówiąc, prawdopodobieństwo, że tak by się stało, jest niewielkie. Nie ma żadnych dowodów, sprawa została spaprana na samym początku. Jesteśmy gotowi zamknąć ten rozdział i żyć dalej, oznajmiła. Chcieliśmy jednak zapytać, jak się czujesz.

Powiedziała to pytającym tonem, więc może naprawdę była ciekawa, co u mnie. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam w duchu, że się z nią nie zgadzam, miałabym raczej ochotę kontynuować śledztwo, uruchomić wszelkie procedury prawne, które by to umożliwiły, bo jak powiedziała Isabella, sprawa była prowadzona nieudolnie już od samego początku. Mimo wszystko istniała chyba jakaś szansa, że znajdziemy osobę odpowiedzialną za śmierć Christophera, dopiero takie odkrycie autentycznie zamknęłoby ten rozdział i pozwoliłoby nam żyć dalej (Isabella używała dziwacznego języka, wyrażała się inaczej niż zwykle, całą tę wypowiedź najwyraźniej przygotowała zawczasu i wygłosiła w złej wierze).

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zaczęła nowy wątek. Chciałam cię też poinformować, że inwestycje Christophera — a raczej inwestycje, które poczynił Mark na jego rzecz — zostały sprzedane, ich wartość wynosi mniej więcej trzy miliony funtów. Byłam zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek powiedzieć, nic wcześniej nie wskazywało, że odziedziczę tak znaczną sumę pieniędzy. W sprawie wszystkich szczegółów skontaktuje się z tobą nasz adwokat. To niezbyt wiele, ciągnęła bez jakiejkolwiek słyszalnej ironii, w dzisiejszych czasach ledwie wystarczy ci to na zakup domu w Londynie. Potem nagle zakończyła rozmowę, mówiąc, że jest zmęczona i że odezwie się jeszcze za dzień lub dwa.

Wcale nie odebrałam wydarzeń tego dnia jako zakończenia. Wieczorem te pieniądze gniły już w moich myślach i zarażały wszystko. Nie wiedziałam, jak mogłabym je przyjąć, i nie wiedziałam, jak mogłabym odmówić ich przyjęcia. Zaczęłam się zastanawiać, jaka suma byłaby dla mnie do zaakceptowania; czy jeśli byłby to tylko milion funtów, mniej gryzłoby mnie sumienie? Dwa miliony? Czy to ważne, że moje uczucia wobec Christophera zmieniły się od czasu jego śmierci albo że gdyby żył, a my przeprowadzilibyśmy rozwód — bo rozwiedlibyśmy się na pewno — to połowa tych pieniędzy i tak byłaby moja, biorąc pod uwagę, że zgodnie z terminologią rozwodową to ja byłam stroną pokrzywdzoną?

Ludzie wynajmowali adwokatów i płacili im ekstrawaganckie kwoty, żeby osiągnąć taki skutek, jaki mnie przydarzył się przypadkiem, a dokładniej mówiąc, w wyniku nieszczęścia. Zastanawiałam się, dlaczego Christopher nie powiedział mi nic o tych pieniądzach, o tych inwestycjach; po powrocie do Londynu zostałam tylko poinformowana, że mój mąż przed dwoma laty, czyli w czasie, kiedy nasze małżeństwo wciąż jeszcze dobrze się trzymało, odziedziczył sporo pieniędzy, a Mark zainwestował te środki w imieniu Christophera. Byłam ciekawa, dlaczego postanowił zostawić tę sprawę w rękach ojca, niewykluczone nawet, że Mark inwestował te środki na swoje nazwisko, o takie szczegóły już nie wypytywałam. Może Christopher zdecydował się na tego rodzaju krok, mając na uwadze nasze przyszłe rozstanie, może już o tym myślał — w jaki sposób obejść podział majątku — a może po prostu nie był zainteresowany, nie potrzebował pieniędzy.

Mnie też nie były potrzebne. A mimo to się pojawiły i coś musiałam z nimi zrobić. Trzy miliony funtów; nie byłam wyrachowana ani zachłanna na forsę i za żadne skarby nie chciałam okazywać zachłanności w takiej sytuacji, przekonałam się jednak, że tak pokaźna suma działa na

wyobraźnię. Wbrew temu, co powiedziała Isabella, za trzy miliony funtów można było sporo kupić, wręcz nowe życie, a nie tylko po prostu nowy dom, dom, który zaczęłam sobie mimo woli wyobrażać.

Może tydzień później dostałam na Facebooku wiadomość od Stefana, z której wynikało, że pobrali się z Marią, są szczęśliwi i myślą o dzieciach. Nie utrzymywałam z nim żadnego kontaktu, w pewnym sensie zdumiałam się, że pomyślał o tym, by znaleźć mnie na portalu społecznościowym i napisać na konto, którego rzadko używałam. Kliknąwszy w wiadomość, dowiedziałam się, że wrzucił zdjęcia ze ślubu na swój profil; pobrali się w tym hotelu w Gerolimenas, w którym mieszkaliśmy, a przysięgę małżeńską — jak wynikało z fotografii — złożyli na tym samym kamiennym molo, na którym kiedyś siedziałam, wpatrując się w okno pokoju Christophera.

W różnych momentach minionego roku martwiłam się, że Stefano za bardzo mi się spodobał, za bardzo go polubiłam, a moje zainteresowanie jego problemem — który z perspektywy czasu wcale nie wyglądał na problem, kobieta po prostu kocha albo nie — zaślepiło mnie do tego stopnia, że nie dostrzegałam jego prawdziwej natury. Ostatecznie kierowca miał jasno określony motyw, silniejszy niż garść zmiętych banknotów, zegarek, ślubna obrączka i kilka wypłat z karty kredytowej. Miał czas, żeby zaplanować morderstwo, miał dostęp do Christophera i taka myśl musiała przyjść mu do głowy: „Wszystko będzie inaczej, kiedy on zniknie”.

W końcu jednak nabrałam pewności, że Stefano nie mógł być winny zabójstwa Christophera, ton facebookowej wiadomości kierowcy był radosny i swobodny, wrzucił swoje zdjęcia ślubne na stronę beztrosko i bez wahania, a fotografie wyglądały zupełnie zwyczajnie. Nigdy nie mógłby mi przesłać takiej wiadomości, gdyby naprawdę zabił Christophera. Ale jeżeli nie Stefano, to kto? Od czasu gdy niemal jednocześnie doszło do tych

kontaktów, od rozmowy z Isabellą i wiadomości od Stefana, znowu zaczęłam wracać myślami do faktów i okoliczności związanych ze śmiercią mojego męża, a także do kwestii winy.

Najczęściej wydaje mi się, że Christopher zginął z rąk złodzieja, że była to bezsensowna, niezamierzona zbrodnia, a więc także i śmierć — chociaż trudno powiedzieć, co jest gorsze w takiej sytuacji, śmierć bezsensowna czy znacząca. Czasem niemal obsesyjnie myślę o tym złodzieju — który moim zdaniem istnieje, chociaż nikt nigdy go nie widział, nie opisał, a tym bardziej nie zatrzymał, więc jest teraz wolny, istnieje naprawdę i pędzi niezmienione życie pomimo swojej zbrodni, może nawet wciąż grasuje gdzieś na greckiej prowincji i napada na niefortunnych turystów. I nadal zdumiewa mnie to, że nie wiemy absolutnie nic o człowieku, który zamordował Christophera, a w każdym razie pozostawił go tam przy drodze na śmierć.

Nie wiemy, jak wygląda, nie wiemy, czy miał ciemne, czy raczej jasne włosy, kręcone czy proste, szczeciniaste czy długie albo ani takie, ani takie, czy ma rodzinę, czy gdzieś w Mani w jakimś domu mieszkają jego dzieci i żona, czy jest niski, czy wysoki, bo może to niski mężczyzna o łagodnych rysach i gładkiej skórze, dlaczego nie? Choć z drugiej strony, może ma sześć stóp wzrostu, a na twarzy blizny po pryszczach, to też jest możliwe. Ten człowiek — pod pewnymi względami, chociaż żadne z nas nie chce tego przyznać, najważniejszy człowiek w życiu Christophera, człowiek, który przyniósł mu śmierć, tak jak Isabella dała mu życie — jest wielką niewiadomą.

Wiemy jednak, jeśli ośmielimy się o tym pomyśleć, że ostatnie chwile Christophera z pewnością były intymne, nawet jeśli detaliczny charakter owej intymności odbiega od tego, o czym zazwyczaj myślimy, kiedy słyszymy i używamy tego słowa — ręka na szyi, dłoń na ramieniu, usta

przy uchu i szeptane słowa. Nie był to czuły uścisk między kochankami, była to jednak intymność, kontakt pomiędzy dwoma bardzo konkretnymi i niezwyczajnymi mężczyznami, wobec którego blednie wszelki dotyk erotyczny, w tym także mój i wszystkich innych kobiet.

Ciekawe, czy Christopher widział tego mężczyznę, czy rozmawiali, zanim został zaatakowany — może napastnik zadał mu jakieś pytanie, żeby uśpić jego czujność, zapytał o drogę, poprosił o drobne albo o ogień, żeby zapalić papierosa, powiedział cokolwiek, chcąc zagaić rozmowę i zmusić Christophera, aby zwolnił kroku. A może rzucił się na niego od tyłu, tak że Christopher nie widział jego twarzy, nie patrzył mu w oczy — nie zobaczył nawet rysów jego twarzy i nie widział, jak jest zbudowany — a jedyny gest powitania ze strony zabójcy stanowiła wyłącznie tępa siła kamienia, którym się zamachnął i uderzył mojego męża w głowę.

Niezbyt mocno, nie po to, żeby zabić, tylko po to, aby go oszołomić i zdezorientować, dość silnie, by stracił przytomność — nic nie wskazywało na to, że celem napadu miało być zabójstwo, chodziło o rabunek, nie o morderstwo. Mężczyzna najprawdopodobniej sądził, że Christopher jest tylko ogłuszony, że ocknie się z okropnym bólem głowy i lekko odwodniony, nic więcej, gdyby go uderzył trochę lżej, mój mąż byłby dziś wśród nas.

Ale to wszystko przy założeniu, że zabił go ktoś obcy, a nie że Christopher na przykład potknął się i uderzył głową o kamienie; pechowy i mało prawdopodobny wypadek, ale jednak możliwy, dziwniejsze rzeczy zdarzały się już na świecie, a sekcja zwłok wykazała, że Christopher pił i w chwili śmierci znajdował się pod wpływem alkoholu. Możliwość takiego wypadku w środku nocy zwiększa się nieskończenie, to śmierć kompletnie pozbawiona godności; może w czasie śledztwa najbardziej baliśmy się wniosków gorszych niż końcowy brak rozstrzygnięcia,

dowodów, że nie było żadnego zabójcy, że mój mąż zginął, włócząc się samotnie po okolicy w stanie upojenia alkoholowego.

Bezsensowna, idiotyczna śmierć. Dlatego paradoksalnie wolę czasem myśleć, że została w jakiś sposób spowodowana przez jego postępowanie, chociaż mimowolne i nieznane. Czasami wygodnie jest myśleć, że zginął dlatego, że coś robił, działał, a nie przez stuprocentowy przypadek, jak gdyby świat chciał po prostu wymazać kogoś, kto nie pozostawił na nim po sobie śladu, kto niewystarczająco mocno upierał się przy życiu; wtedy można by naprawdę powiedzieć, że Christopher po prostu zniknął, wyparował.

Niewątpliwie dlatego późną nocą przychodzą mi do głowy inne rozwiązania — że w rzeczywistości był gdzieś jednak mściwy, zdradzany mąż nieznanej nam kobiety, bo nie Marii, który śledził Christophera za miastem — „krążyły pogłoski, że w sprawę zamieszana była kobieta, zazdrosny mąż rozwiązałby nam tę sprawę”. Czy nie było możliwe, że śledztwo nie przyniosło rezultatów nie dlatego, że taki człowiek nie istniał, ale dlatego, że miasteczko zwarło szeregi przed policją, a co za tym idzie, również przed Christopherem, mieszkańcy nie chcieli bowiem sprawiedliwości dla cudzoziemca, obcego? A może policja wiedziała, kto maczał palce w zabójstwie, i postanowiła chronić sprawców?

Oczywiście rankiem takie teorie wydają się bezsensowne, a domysły, które wieczorem brzmią prawdopodobnie, rozsypują się w proch. Za dnia przyznaję, że moja wyobraźnia szuka tylko dodatkowej dramaturgii w śmierci, która od początku była i nadal jest oczywista. Gdy ktoś bardzo wam bliski ginie śmiercią tragiczną, jest naturalne, że szukacie jakiejś większej opowieści, większego znaczenia, bo wywołany takim wydarzeniem wstrząs zdaje się tego wymagać. Okazuje się jednak, że to zwyczajne szukanie wiatru w polu. Winę znajdziemy nie w ciemności ani

w obcym, lecz w nas samych. Ze wszystkich podejrzanych — rozsianych wśród różnych ludzi i istniejących w rozmaitych narracjach — nikt nie miał lepszego motywu niż ja, aby popełnić tę zbrodnię. Miałam motyw, a prawdę mówiąc, nawet kilka motywów — mogłam zyskać mnóstwo pieniędzy, mój mąż był kobieciarzem, nie dbał o mnie i przynajmniej z pozoru właściwie mnie porzucił, ja zaś tymczasem poznałam innego mężczyznę, którego chciałam poślubić. Te motywy zlały się wokół mnie w jedno, tworząc opończę, naznaczoną moim poczuciem winy — winy, za którą nie da się odpokutować, winy osoby żyjącej.

A jednak wydawało mi się, że wszystkim poza mną było to obojętne. Apartament sprzedaliśmy mniej więcej półtora roku po śmierci Christophera — nie chciałam tam mieszkać, a Mark i Isabella uważali, że tak chyba faktycznie będzie najlepiej — i niedługo potem kupiłam dom w tej samej dzielnicy, piętnaście minut drogi piechotą od miejsca, w którym żyłam z Christopherem. Zaręczyłam się z Yvanem i teraz mieszkamy w tym domu, za dużym dla nas, ale w który może, jak mówimy, wrośniemy, jeśli będziemy mieli dzieci albo dziecko. Pieniądze, które zostawił mi Christopher — nadal uważam, że nieumyślnie — leżą nietknięte, sądzę, że Yvan rozumie dlaczego, chociaż nie wiem, czy myśli, że to się zmieni z czasem, za rok albo za dwa.

Nie mogę być tego pewna ani nawet tego, czy mój związek z nim przetrwa, nie ze względu na jakiekolwiek wahanie z mojej strony, lecz z uwagi na niego. Coś się zmieniło, jeśli chodzi o warunki naszej umowy — naszego niepisanego i niewypowiedzianego, ale wiążącego porozumienia — bo Yvan mieszka teraz i jest zaręczony z kobietą nie niedawno rozwiedzioną, lecz owdowiałą, która nadal opłakuje swoją stratę, mimo że stara się to przed nim ukryć. Czasami, leżąc z nim w łóżku,

przypominam sobie pobyt w Grecji z Isabellą i Markiem i to, jak się martwiłam, że przejrzą mój kamuflaż, sztuczność wdowiej rozpaczy.

Ale pomiędzy smutkiem, który przeżywałam, i smutkiem, o którym sądziłam, że jest prawowitym uczuciem prawowitej małżonki — smutkiem, który próbowałam udawać w towarzystwie moich teściów, a później przed całym światem — była mniejsza różnica, niż mi się wydawało. Smutek udawany zajął miejsce prawdziwego, w końcu nie ma nazbyt wielkiej różnicy pomiędzy smutkiem żony i byłej żony; być może żona, mąż i małżeństwo to jedynie słowa, kryjące o wiele więcej niepewnych faktów, bardziej niespokojnych niż te, które można zawrzeć w garści sylab czy w krótszym lub dłuższym tekście.

Podobno istnieje pięć etapów żałoby, podobno najpierw jest gorzej, a dopiero potem robi się lepiej, i w końcu czas naprawdę leczy wszystkie rany. Ale co z tymi ranami, o których nie wiecie, że nie wiecie, i których skutków nie możecie przewidzieć? Jedno jest pewne: gdyby Christopher żył, byłabym dziś żoną Yvana. Nie odwiedzałabym regularnie Isabelli i Marka, nie odbywałabym spotkań dotyczących założenia fundacji imienia Christophera (pomimo swoich pierwotnych wątpliwości Isabella uznała, że chce jednak taką fundację założyć) i nie mielibyśmy planów wydania drugiej, a zarazem ostatniej książki Christophera.

Nie byłoby tego ani licznych e-maili i rozmów telefonicznych związanych z tą sprawą. Nie byłoby bezsennych nocy, morza niezbadanych i nieznanych uczuć, gromadzących się tylko i rozrastających, czarnego, bezimiennego rozlewiska, które mnie przeraża, na którego brzegu wydaję się ciągle leżeć i o którym z nikim nie rozmawiam. Mój związek z Yvanem — mój obecny związek, ten, który się liczy, którego szczegóły są absolutnie świetliste, a może nawet nazbyt rozświetlone jak na mój gust, aż oczy bolą,

kiedy się na nie patrzy, bo nie ma w nim nic, czego bym nie widziała — musi konkurować właśnie z takimi uczuciami.

Czasami Yvan żartuje, że to okropny pech, że Christopher został zamordowany, i muszę się z nim zgodzić, to straszny pech dla nas wszystkich. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu mój narzeczony powiedział, że nie wie, jak długo jeszcze może czekać. I chociaż mogłam go zapytać: Na co? — bo przecież byłam tutaj, w jego domu, w jego łóżku, i zaręczyliśmy się — to doskonale wiedziałam, co ma na myśli; mogłam jedynie stwierdzić, że jest mi przykro i że się z nim zgadzam, choć żadne z nas nie potrafiło powiedzieć, na co czekamy, co to dokładnie jest.

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Ellen Levine, Laurze Perciasepe, Jynne Dilling Martin, Claire McGinnis, Clare Conville, Geoffowi Mulliganowi i Annie-Marie Fitzgerald. Podziękowania zechcą przyjąć też ci, którzy czytali i recenzowali pierwsze wersje tej powieści, Karl Ove Knausgård i Meghan O’Rourke. Dziękuję również mojemu pierwszemu i najlepszemu czytelnikowi, Hariemu Kunzru.

Niniejsza książka powstała dzięki wsparciu Lannan Foundation oraz OMI International Arts Center. Słowa wdzięczności kieruję także pod adresem Iana Seitera, Stephanie Skaff i Hertog Fellowship Program w Hunter College.